ORZEŁ BIAŁY (White Eagle) & SYRENA le 21—28 mai 1964 — Price—Prix 17½, NF 0.75, $0.20

B.D.I.C

ZWYCIĘŻYMY

SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

ROK XXIV
PARYŻ—LONDYN

Nr 21/22 (1141/2) 870 21—28 maja 1964

NUMER PODWOJNY 16 STRON

MONTE CASSINO — PO 20 — LATACH

„Pielgrzymka szlakiem grobów żołnierzy 2 Korpusu" — tak bowiem nazwaliśmy tę niezapomnianą wyprawę do ziemi włoskiej w 20-tą rocznicę bitwy o Monte Cassino — była nie tylko poważnym sukcesem organizacyjnym, ale przede wszystkim wielką manifestacją solidarności politycznej i żołnierskiej. Z samej W. Brytanii wzięło w niej udział ponad 100 osób — b. żołnierze 2 Korpusu, samotnie albo z rodzinami. Byli także dowódcy z tamtych dni, jak i żołnierze, którzy przeżywali tę wyprawę może najgłębiej, najserdeczniej. Pamiętam, jak pociąg nasz mijał okolice Ancony. Staliśmy wszyscy w oknach i tylko słychać było okrzyki: „O, tam, niech pan patrzy, tam stało nasze działo" — „Po tamtych wzgórzach szedłem z moim patrolem" — „Ależ oczywiście, tego domu wtedy nie było" — „A tu są ruiny, których Włosi jeszcze nie usunęli" — „Na tym odcinku stałem z moim oddziałem, tuśmy się po walkach kąpali". Tym wspomnieniom, czasem nawet bardzo rzewnym, i bardzo osobistym — bo imię niejednej Włoszki wymieniane było także — nie było końca. I właściwie o niczym innym się nie rozmawiało...

Nie byłem w 2 Korpusie i nie zawsze najlepiej orientowałem się w nazwach miejscowości, w nazwiskach dowódców, których charakteryzowano tak jak się charakteryzuje najbliższych przyjaciół — żartobliwie, pogodnie i niezliczonymi dowcipami. A jednak bliskie mi były te opowiadania i wspomnienia, gdyż historia 2 Korpusu była nam wszystkim doskonale znana, tak jak znało się walki Armii Krajowej, lotnictwa na Zachodzie i naszej marynarki. Choć byliśmy w 1944 roku daleko od Włoch, bliskie nam były nazwy, daty, walki. I chyba nie ma dziś żołnierza, starego już żołnierza, który by tych dziejów nie uważał za część swoich własnych przeżyć, tak bliskich jak przeżycia i losy własnej rodziny.

Lecz przygody żołnierskie mają zawsze w sobie coś z ryzykanctwa, szaleństwa, nieznanego. Gdy to szaleństwo minie, gdy ustanie huk armat, gdy trzeba się pogodzić, że niejeden z najbliższych przyjaciół pozostał po drodze i gdy wreszcie miną lata — lat dwadzieścia — wspomnienia tamtych dni nabierają innych barw. Nie trud, nie krew, ani nawet własne kalectwo, ale właśnie że się biło Niemców, że się szło naprzód, że się zdobywało miasto za miastem, że ludność wiwatowała i kwiatami obrzucała czołgi, samochody, żołnierzy, że przemawiali burmistrze, że dekorowano ulice, że słowa „Polonia" i „Polacchi" nie schodziły z ust Włochów i ze szpalt prasowych, że każdy Włoch był przyjacielem a każda Włoszka czarowała uśmiechem i czarnymi oczami, że było wiele wina i wiele wesołych wieczorów... Ktoś powiedział mi, gdy za szybami wagonów mijały znane wsie i miasteczka, że „słowo

(Dokończenie na str. 8)

UMIŁOWANEMU SYNOWI
SŁAWNEMU I DOSTOJNEMU
MĘŻOWI WŁADYSŁAWOWI
ANDERSOWI
WOJSK POLSKICH WE WŁOSZECH
WODZOWI NACZELNEMU

PIUS XII PAPIEŻ

Umiłowany Synu, Sławny i Dostojny Mężu, pozdrowienie i Apostolskie Błogosławieństwo.

Jak podczas niedawno udzielonej audiencji, Tobie i tym wszystkim, którzy wraz z Tobą byli obecni, okazując łaskawie ojcowskie Nasze serce, wielokrotnie dziękowaliśmy za złożony w darze ryngraf, przepięknie wykonany, tak i przez niniejszy list miło Nam zapewnić was ponownie o Naszej życzliwości, jaknajbardziej przychylnej dla Polskiego Narodu. Już na pierwszy rzut oka widzimy na tym ryngrafie jakby całą waszą Ojczyznę, spustoszoną dzisiaj doszczętnie przez okrutną wojnę, widzimy na nim sławę Polski i chlubne czyny jej dziejów, jej niezachwianą wiarę, jej nigdy niewyczerpaną miłość dla Katolickiego Kościoła i dla Chrystusa Namiestnika. Bije z tego ryngrafu jakiś blask, który Nam i wam nakazuje mieć dobrą nadzieję. Na srebrnym Orle, umieszczonym na środku tego arcydzieła, otoczona wokół herbami waszych miast oraz odznakami waszych oddziałów, jakby przez nie chroniona, jaśnieje Bogurodzica Dziewica, Polski Królowa, pomocna, łaskawa, zda się biorąca pod swoją matczyną obronę wasz naród i ojczysty wasz kraj. Więc choć dzień w dzień szerzą się dziś niezmierne spustoszenia, choć wszystko dotąd jest niepewne i pogrążone w chaosie, nie jest to — jak dobrze wiesz sam — powód by upaść na duchu. Bowiem ponad chwiejne i znikome zamysły ludzkie i usiłowania — o czym poucza również historia Polski — góruje Opatrznościowa, wiekuista Wola Boska, u której zaiste trzeba wyjednać by wszystko co jest nieszczęsną przewiną, krzywdą, rozlewem krwi, co doszczętną zagładą zrodzoną z nienawiści — to wszystko doznało naprawy, przemiany i było przywrócone do słusznego ładu prawdą, sprawiedliwością i miłością.

I o to dla waszej i Naszej Polski żarliwie się modlimy do Najświętszej Panienki, którą ze szczególną pobożnością czcicie w sanktuariach Ostrej Bramy i Częstochowy. A Tobie, Umiłowany Synu, Sławny i Dostojny Mężu, oraz całemu Polskiemu Narodowi tak bardzo dla Nas drogiemu, jako zadatek łask niebieskich i na znak Naszej życzliwości najmiłościwiej udzielamy w Panu Apostolskiego Błogosławieństwa.

Dan w Rzymie, u świętego Piotra, dnia 27, miesiąca stycznia, roku 1945, Pontyfikatu Naszego szóstego.

PIUS XII PAPIEŻ

Dziś dopiero, po dwudziestu prawie latach, udostępniono nam dokument, którego tekst w przekładzie polskim drukujemy powyżej. Oryginał jest pisany ręcznie na pergaminie po łacinie.

Ówczesny Ojciec św., Pius XII, udzielił generałowi Andersowi błogosławieństwa w czasie specjalnej audiencji. Wręczono wówczas papieżowi dar żołnierzy polskich: ryngraf symbolizujący rycerskie i chrześcijańskie tradycje narodu polskiego. Opis ryngrafu zamieścił papież w swoim liście.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, list ten, choć jego treść była generałowi Andersowi znana, nie został mu wówczas doręczony. Trafił do jednego z archiwów rzymskich gdzie go dopiero teraz znaleziono.

JAN GNIAZDOWSKI

ROZMOWA PAWŁA VI Z PRYMASEM POLSKI

Rzym, w maju.

Prymas Polski, ks. kard. Stefan Wyszyński opuścił Rzym w poniedziałek 18 bm., udając się po krótkim dwutygodniowym pobycie w drogę powrotną do kraju.

W niedzielę 17 bm., tj. tego samego dnia, gdy na Monte Cassino odbywały się obchody 20-lecia polskiego zwycięstwa, papież Paweł VI przyjął naszego kardynała późnym wieczorem, bo o godz. 20 na pożegnalnej audiencji prywatnej.

Rozmowa przeciągnęła się, i po posłuchaniu Ojciec św. przeszedł z księdzem Prymasem do sali jadalnej na wieczerzę, w której prócz kard. Wyszyńskiego uczestniczył również substytut Sekretariatu Stanu ks. arcyb. Dell'Acqua i rektor Polskiego Instytutu Papieskiego ks. prał. Mączyński. W szczupłym tym gronie potoczyła się podczas kolacji rozmowa na tematy polskie, przy czym Ojciec św. interesował się wielce różnymi szczegółami, które doskonale pamiętał z czasów dość dawnego i względnie krótkiego pobytu w naszym kraju.

Szczególnie dużo rozpytywał Paweł VI o Warszawę, gdzie znał z nazwy tyle kościołów, z katedrą św. Jana i kościołem Św. Krzyża. Wspomniał też papież z nazwy Pole Mokotowskie, gdzie oglądał defilady wojskowe. Dużo i z rozrzewnieniem mówił też Ojciec św. o Jasnej Górze, przypominając sobie o pątnikach pieszych, dążących tu z różnych stron kraju, którzy już na sam widok z dala klasztoru padali na kolana, a cóż dopiero, gdy się znaleźli w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej. Dłużej była mowa o pięknie Krakowa z jego wspaniałymi zabytkami i kościołami oraz Zamkiem królewskim na Wawelu. Ale i o innych miastach mówiło się również, a także o morzu polskim. Papież dobrze sobie przypomina nasz równinny krajobraz, podkreślając przy tym, jak na tych rozległych równinach wyłaniają się charakterystycznie spoza lasów i drzew kościoły wiejskie.

Mówiono i o osobach, jak np. o proboszczu parafii św. Aleksandra w Warszawie, ks. prał. Brzeziewiczu, którego adres ówczesny papież doskonale pamiętał. Ile razy ks. prał. Brzeziewicz był w Rzymie, a bywał często, zawsze był gościem Piusa XI. Ojciec św. interesował się Mickiewiczem, o którym wie, że jego zwłoki spoczywają na Wawelu, i o Sienkiewicza zapytywał, i o Chopinie przyjął z zainteresowaniem wiadomość, że jego serce jest złożone w kościele św. Krzyża w stolicy.

Gdy była mowa o tym kościele św. Krzyża, Paweł VI zainteresował się, czy wspaniała rzeźba Chrystusa z krzyżem stoi jak przedtem u wejścia do kościoła. Ks. kard. Wyszyński opowiedział wtedy, jak to w czasie powstania i bombardowań figura spadła na ziemię i to w taki sposób, że wyciągnięta ręka Chrystusa wskazywała napis „Sursum corda". Wówczas nawet Niemcy, którzy robili zdjęcia leżącej figury Chrystusa, tak znacząco wskazującego na ten napis, mówili: „Jeszcze Polska nie zginęła, bo to sam Jezus wskazuje".

Ks. kardynał otrzymał w darze od Ojca św. piękny srebrny kielich mszalny spośród osobistych, a więc noszący papieski, o podstawie z kości słoniowej, i ze złotą patyną. O serdeczności nastroju tych niezapomnianych momentów, najlepiej zaświadczy fakt, iż na krótko przed tym jeden z sekretarzy papieża przyszedł z kielichem i dyskretnie zapytał, czy ten kielich spodoba się Prymasowi.

W otoczeniu biesiadników mówiło się potem, że była to zaiste niezwykła, niespodziewana i nad wyraz swobodna konwersacja, która, jak i cały przebieg owej wieczerzy, wybiegała znacznie poza ramy zwyczajowego protokółu.

Późnym wieczorem dnia następnego, mimo że część tutejszej kolonii polskiej i większość delegacji przybyłych wyjechała z Rzymu na kolejne uroczystości obchodów 20-lecia walk 2. Korpusu we Włoszech, zgromadziła się na dworcu duża grupa Polaków, a także wielu Włochów, by pożegnać odjeżdżającego Prymasa Polski. Licznie przybyło duchowieństwo z ks. arcyb. Gawliną na czele. Obecni byli m.in. ks. ks. prałaci Mączyński, Rubin i Deskur oraz ks. inf. Filipiak. Rodacy obdarzyli ks. kardynała kwiatami. Z ramienia Sekretariatu Stanu Watykanu obecny był na dworcu substytut Sekretariatu ks. arcyb. Dell'Acqua i msgr. Poggi.

Przed odjazdem ks. kardynał Wyszyński udzielił zgromadzonym swego arcypasterskiego błogosławieństwa, poczym wszyscy zaintonowali pieśń „Serdeczna Matko" i w chwilę później pociąg ruszył w drogę.

PO RAZ PIERWSZY OD CZASÓW WŁADYSŁAWA IV

Dowiadujemy się z Rzymu, że papież Paweł VI mianował ks. prof. Waleriana Meysztowicza kanonikiem honorowym Stolicy Apostolskiej.

Aktem tym Ojciec św. dał niechybny wyraz łaskawości i życzliwości wobec osoby ks. prof. Meysztowicza i uznania jego zasług. Nominacja jest i tym znamienna, że jest to, o ile wiadomo, pierwszy polski kanonik honorowy Watykanu od Władysława IV. Ks. kan. Meysztowicz jest prezesem wielce zasłużonej placówki naukowej i kulturalnej, a mianowicie Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie.

Ks. prof. Meysztowicz był przez długie lata radcą kanonicznym ambasady RP przy Stolicy Apostolskiej, obecnie zaś piastuje tytuł honorowego radcy kanonicznego ambasady.

Z okazji tej nominacji redakcja „Orła Białego" składa ks. kan. prof. Meysztowiczowi serdeczne gratulacje.

fraszki

SŁOWA UZNANIA

Świętej pewności o własnej słuszności
Można tylko pozazdrościć.

WĄTPLIWOŚCI CO DO GOSPODARKI PLANOWANEJ

Nawet facet kompletnie zawiany
Także robi sobie jakieś plany.

SŁOWNY

Rzekł: „Z tobą pójdę w piekło!" — i dotrzymał słowa:
Dziś mieszkają z nim razem żona i teściowa.

Rawicz

FP 2156

WŁADYSŁAW OPOLSKI

UPADEK RZEMIOSŁA W POLSCE

Zagadnieniem, które w czasie dokonywanych obecnie redukcji w gospodarce uspołecznionej nabrało szczególnego znaczenia, jest sprawa rzemiosła. Po prawie piętnastu latach bezustannego prześladowania, liczba warsztatów rzemieślniczych, która w roku 1947 wynosiła 138,613, które zatrudniały 312,907 osób, spadła na końcu roku 1962 do 101,222, a cyfra zatrudnionych do 165,577.

Zachodzi pytanie, jakie były przyczyny prześladowania rzemiosła, które spowodowały ogromny spadek liczby warsztatów, co pociągnęło za sobą w miastach i okręgach rolniczych zmniejszenie, a nawet całkowitą likwidację różnego rodzaju punktów usług rzemieślniczych.

Odpowiedź no to pytanie znajdujemy w zasadach marksizmu, które nie dopuszczają wyzysku człowieka przez człowieka. Drugą zasadą, którą reżim komunistyczny, niezależnie od przyrzeczeń zawartych w różnych aktach prawnych, stosuje do dnia dzisiejszego, to nakaz wydany jednostkom administracji że rzemiosło prywatne istnieć może tylko tam, gdzie warsztaty i innego rodzaju usługi, nie zostały jeszcze zorganizowane przez państwowy lub spółdzielczy sektor. Jednak w żadnym wypadku, warstaty nie mogą konkurować z wymienionymi dwoma sektorami. Stosując te zasady, należało zlikwidować na wsi „bogacza wiejskiego" nazwanego popularnie kułakiem, zaś w mieście rzemieślnika, nazwanego „kapitalistą".

Likwidacja rzemiosła polskiego rozpoczęła się równolegle z wejściem w życie sześcioletniego planu gospodarczego (1950-1955). Okres ten pozostał w pamięci rzemieślników polskich jako okres urzędowego barbarzyństwa, a skutki tej barbarzyńskiej polityki wyrażają najlepiej cyfry. W roku 1956, liczba warsztatów rzemieślniczych skurczyła się do 96,652, które zatrudniały już tylko 141,300 osób. W tym samym okresie mnożyły się procesy przeciw rzemieślnikom o nielegalne nabycie surowców i przekroczenie ustalonych urzędowo cen. Zasądzenie pociągało za sobą konfiskatę kapitału, surowców i warsztatów. Wielu z nich skazano na dodatkową karę „deportacji wewnętrznej", t.j. przymusowe przesiedlenie do innej części kraju.

Jednak środkiem, który w tym okresie zrujnował finansowo większość rzemieślników, były tzw. domiary podatkowe, polegające na samowolnym wymiarze podatkowym za kilka lat wstecz. W takiej sytuacji, rzemieślnik nie tylko utracił swój własny kapitał i oszczędności, zdobyte dzięki ciężkiej pracy ale jeszcze opuszczał warsztat jako dłużnik urzędu skarbowego, który zaległości ściągał z jego dochodów, jeśli udało mu się znaleźć pracę zarobkową. Charekterystyczną ocenę tych domiarów wypowiedział w 1956 r. Gomułka, gdy oświadczył, że „za pomocą domiaru podatkowego można zrujnować każdy warsztat rzemieślniczy".

Równolegle z upadkiem warsztatów rzemieślniczych spadła liczba uczniów. W 1956 r. pozostałe warsztaty zatrudniały już tylko 20,372 uczniów.

ZMIANY W 1956 R.

Po zapowiedziach Gomułki wydawało się, że dla rzemiosła nastał nowy okres, okres odrodzenia rzemiosła polskiego, zwłaszcza po wydaniu zarządzenia, że warsztaty uruchomione między 1956 a 1958 r. korzystać będą z ulg podatkowych. Już w 1957 r. liczba warsztatów wzrosła do 131,737, a liczba osób w nich zatrudnionych. do 209.500. Jednak i wtedy przypadało na warsztat tylko półtora człowieka.

W 1958 r. okres ulg się zakończył, a władze finansowe wprowadziły w życie przepisy nowej ustawy o licencjach dla handlu, przemysłu i rzemiosła prywatnego. Koszt licencji rzemieślniczej wynosił od 500 do 20,000 złotych. Jednocześnie z chwilą skończenia się ulg podatkowych, władze skarbowe przystąpiły na nowo do wymierzania domiarów podatkowych. Przy wymiarach rozróżniano między dochodem uzyskanym za pracę wykonaną dla sektora państwowego i prywatnego. Dla pierwszego zeznanie podatkowe uznano, dla drugiego odrzucono, a podatek wymierzano arbitralnie według uznania kontrolujących księgi urzędników skarbowych. Rezultatem tej tradycyjnej już polityki skarbowej. był ponowny spadek warsztatów rzemieślniczych. Których liczba w 1959 r. spadła do 109,657, liczba zatrudnionych w nich osób do 177,300, a liczba uczniów, która w roku 1958 wzrosła do 43,378, spadła znowu do 36.655.

STAN DZISIEJSZY

Stan jaki panuje w dziedzinie rzemiosła w 1964 r., opisuje najlepiej i najbardziej autorytatywnie, prasa krajowa, z której podajemy kilka wyjątków:

„Jak zdobyć ucznia", pisze Życie Warszawy z 1 kwietnia b.r. i wyjaśnia, że n.p. na jeden warsztat rzemieślniczy w Warszawie przypada 1/3 ucznia, zaś w województwie warszawskim tylko 1/7 ucznia. Są jednak, pisze dziennik, branże w których od wielu lat nie było ani jednego ucznia. Starzejący się rzemieślnicy twierdzą, że do rzemiosła mało kto się garnie, bowiem utraciło ono swoją dawniejszą atrakcje, ponieważ ciąży na nim piętno tymczasowości. Ciągłe kłopoty z lokalami, utarczki z władzami podatkowymi, a przede wszystkim braki w zaopatrzeniu, zniechęcają ludzi do uprawiania rzemiosła. Pismo raz jeszcze potwierdza sposób dokonywania wymiarów podatkowych dla sektora państwowego i prywatnego i przypomina fakt ogólnie znany, że usługi dają rzemieślnikowi tylko marną egzystencję. Likwiduje się przeważnie warsztaty: szewskie, krawieckie i fryzjerskie, zaś na wsi brak mechaników i elektromechaników. A zresztą, co to za warsztat, pisze dziennik, któryby nie dorabiał choćby w małych tylko rozmiarach, produkcją. Ale przy wymiarze podatkowym, co innego usługi, a co innego produkcja, tu wymiar inny, a przy produkcji znowu całkiem inny.

Sztandar Młodych z 6 kwietnia pisze, że jeśli chodzi o naprawy na wsi, to tam się nic nie zmieniło. Na naprawę żniwiarki, motocykla lub dachu na chałupie trzeba czekać tygodniami, bo liczba warsztatów jest śmiesznie mała. Ludzie się starzeją, a młodzi do rzemiosła wcale się nie garnią bo prędziej i lepiej zarabiają, bez kłopotów w fabrykach. Pismo wyjaśnia, że na wsiach zlikwidowano w stosunkowo krótkim okresie jedną czwartą warsztatów rzemieślniczych. Ucznia na wsi kształci co 11 warsztat kowalski, co 64 warsztat ciesielski, co 33 budowlany i co 40 warsztat wiercenia studzień. Jedna dziesiąta rzemieślników przekroczyła 60 rok życia.

„A inwestycje, unowocześnienie urządzenia warsztatu. Z czego rzemieślnik ma je pokryć. Z oszczędności? Z jakich? Z tych 1,600 złotych, które rzemieślnik zarabia miesięcznie?"

Pismo daje w ten sposób do zrozumienia, że na skutek braku uczniów, za kilka lat, gdy starzy rzemieślnicy staną się niezdolni do pracy, w Polsce, kraju, w którym koń nie przestał być siłą pociągową, zabraknie kowali i nikt nie będzie mógł znaleźć człowieka który by mu podkuł konia.

„Golibroda na dwudziestym kilometrze", pisze ten sam Sztandar Młodych z 13 kwietnia i przytacza nieprawdopodobny fakt, jak to w całym okręgu Dąbrowa nie ma ani jednego fryzjera. Chcąc golić brodę, trzeba jechać do Sokołówki, oddalonej o 20 kilometrów. Nie ma tam również szewców, krawców i brak mechaników dla naprawy sprzętu rolniczego.

A o tym wszystkim pisze dziennik związku młodzieży socjalistycznej, który przy każdej sposobności chwali się wzrastającą liczbą „brygad pracy socjalistycznej". Jak widać, związek nie zorganizował do tej pory ani jednej brygady socjalistycznych szewców, krawców, kowali lub golibrodów. Działalność związku polega tylko na ciągłym „sygnalizowaniu" (w Kraju ciągle coś sygnalizują). A w tym samym czasie rzemiosło polskie zbliża się ku ostatecznemu upadkowi.

TELEWIZJA NA WSI

Warszawska „Polityka" (nr 15) informuje, że na wsi w Polsce zarejestrowanych jest obecnie około 160,000 aparatów telewizyjnych. Około 20,000 z tej liczby to aparaty należące do domów kultury i świetlic wiejskich.

„W sumie — pisze tygodnik — ponad 10 milionów widzów na wsi ogląda dziś telewizję. Oręż ten ciągle jeszcze nie jest w pełni doceniany przez reżymowych propagandzistów. W całym kraju czynnych jest obecnie przeszło 1,130,000 aparatów telewizyjnych. (FEC)

POLSKIE ŻYCIE KULTURALNE

NA RÓŻNYCH TORACH

Ostatnio nasze życie kulturalne w kilku dziedzinach jakby skręciło na boczne tory. Tak np. w dziedzinie teatru, po jubileuszowym „Kramie z piosenkami" i po zakończeniu przedstawień komedii „Dwoje na huśtawce", nastąpiła pozorna przerwa. Wypełniona została przez występy przybyłego z Warszawy „Teatru Współczesnego", który ściągnął do „Aldwich Theatre" wielu widzów na dwie sztuki Sławomira Mrożka („Czarowna Noc" i „Zabawa") i Aleksandra Fredry „Dożywocie". Pokazane one zostały w Londynie na urządzonym w 400 rocznicę urodzin Williama Szekspira Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym. Nie mniej okres ten zluzowania teatru emigracyjnego z jego zwykłych obowiązków jednocześnie był okresem dojrzewania nowych projektów repertuarowych. Stało się zadość dotychczasowemu zwyczajowi, iż na okres przyjazdu artystów z Kraju teatr emigracyjny zawiesza swe przedstawienia, aby nie stwarzać niepotrzebnych kolizji w terminach widowisk.

Obecnie wrócił z dłuższego objazdu po Ameryce Feliks Konarski (Ref-Ren), nowo wybrany prezes ZASPZ (Związku Artystów Scen Polskich Zagranicą). W odbytych tam, tj. w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie dwóch turach, towarzyszyli Ref-Renowi: jego żona, Nina Oleńska, Stanisława Horwat, Stanisław Zięciakiewicz, Maria Namysłowska i Kazimierz Turowicz. Objazd ten długości ok. 7.000 mil organizował dawny członek „Czołówki Lotniczej" Jan Wojewódka. Z Londynu Ref-Ren pojechał przez Paryż na Monte Cassino i po uroczystościach wrócił do Londynu, aby wystawić z końcem miesiąca nową rewię.

Drugą imprezą teatralną przygotowywaną już od pewnego czasu ma być wystawienie przez Teatr Rozmaitości (prowadzony przez Z. Zimanda)) spolszczonego przez Juliusza Sakowskiego widowiska G. B. Shawa „Kochany Kłamca". W obsadzie przewidziani są Kazimierz Pawłowski z Paryża, i Irena Kora-Brzezińska. Impreza ta jednak może być spodziewana dopiero z początkiem nowego sezonu teatralnego. Tymczasem można zanotować jeszcze sukces Tadeusza Orłowicza, którego dekoracje do ibseniowskiego „Branda", wystawionego przez angielski zespół „The Questors" na Ealingu, zyskały sobie duże uznanie.

Na inny sposób również na boczny tor zeszło nasze życie literackie, jak o tym za chwilę, natomiast w pełnym rozkwicie jest dział widowisk pieśniarsko-tanecznych, pomimo pobytu w Londynie zespołu krajowego „Śląska". O tych widowiskach będzie wkrótce sposobność pisania.

Niedawno ogłoszono przyznanie nagrody literackiej „Wiadomości", ufundowanej przez Zbigniewa Morawskiego w wysokości 100 gwinei za najwybitniejszą książkę pisarza polskiego, ogłoszoną na emigracji w r. 1963. Otrzymała ją Irena Bączkowska za „Wróble noce", wydane przez Bibliotekę czy wydawnictwo Polskiej Fundacji Kulturalnej przy „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza". Wydarzenie literackie, które zwykle miało silny oddźwięk nie tylko wśród czytelników, ale i w kołach literackich, dotychczas mało się ujawniło poza zainteresowanymi pismami. Toteż po tę aktualność sięgnęło znowu coraz czynniejsze Zjednoczenie Kobiet, które w swej siedzibie urządziło wieczór literacki, poświęcony autorce i nagrodzonemu dziełu.

Prelegentką na tym wieczorze była mgr Irena Bielatowicz, polonistka, znana z szeregu innych swych wystąpień literackich, żeby tylko przypomnieć wieczór poświęcony Maryli Wolskiej. Zagajając zebranie w imieniu nieobecnej chwilowo przewodniczącej, p. Witkowskiej, prelegentka wskazała na paradoksalny charakter tego wieczoru, jako że Zjednoczenie i jego zebrania mają zazwyczaj charakter towarzyski a nie literacki, a przy tym sama odmawiała sobie kwalifikacji krytyka literackiego. Niemniej w dalszym, bardzo przejrzystym i systematycznym wykładzie dała nie tylko sylwetkę pisarską Ireny Bączkowskiej, przypominając jej poprzednio wydaną książkę, „Droga do Braiłowa" zarówno jak i obecne „Wróble noce" oraz liczne opowiadania, drukowane m.in. w „Wiadomościach". Jako najważniejszą cechę pisarstwa Bączkowskiej uznała ona jej niesłychany witalizm biologiczny o silnym napędzie niejako panteistycznym, który to witalizm i panteizm udziela się czytelnikowi. Poza szczególnym wyczuciem przyrody autorka ma wielkie zdolności zwięzłego kreślenia odrębnych sylwetek charakterystycznych wszystkich postaci, które w jej książkach występują. Poza tym książki jej są kopalnią różnych zwyczajów i obyczajów, a język obfituje w słownictwo i wyrażenia z regionu, który opisuje. Wszystko to razem składa się na pochłaniającą lekturę.

Następnie zabrała głos Irena Bączkowska, aby odpowiedzieć na kilka pytań, które zazwyczaj są stawiane autorom: jak pisze i dlaczego pisze? Trudno jej było na to od razu odpowiedzieć, bo chociaż zwykła pisywać od najmłodszych lat, i pierwszy raz praca jej była drukowana, gdy miała 9 lat, nie odczuwała tego jako niezbędnej potrzeby. W szkole od różnych nauczycieli literatury otrzymywała różne — nie zawsze celujące — stopnie. Tak się zresztą składało, że ucząc się w Kijowie najlepiej pisała po rosyjsku, i bodaj nauczyciel rosyjskiego najlepiej zdołał ocenić i przewidzieć jej później rozwinięte talenty literackie, czy pisarskie. Wówczas szczególnie interesowała się „Bylinami". „Drogę do Braiłowa" napisała w latach 1923-29 nie do druku, ale tylko jako wspomnienie dla siebie a od 1927 roku pochłonęła ją całkowicie praca zawodowa w organizacjach rolniczych a potem w wydawnictwach fachowych. Najpierw był to „Łącznik pocztowy" wydawany przez M. Wańkowicza, a potem różne broszury z zakresu hodowli. Ostatecznie osiadła przed wojną w grodzieńskim i okolice te stały się jej przybraną ojczyzną, gdyż do Ukrainy — gdzie się urodziła— nic ją już nie ciągnęło. Po wojnie przez 11 lat zaszyła się w Norfolku, i nie mając do kogo mówić, w tym obcym środowisku zaczęła znowu pisać. Wielką satysfakcję, jaką dawał jej fach rolniczy, można odnaleźć w jej książkach. Jeśli idzie o jej zainteresowania literackie, to Orzeszkowa budziła w niej zawsze pewne przerażenie swoją pryncypialnością, natomiast specjalne uroki widziała w pisarstwie Wandy Miłaszewskiej i uznaniem darzyła Rodziewiczównę. Swoje zainteresowania Kujawami wyraziła m.in. w „Balu Kujawskim". Wynurzenia swe Bączkowska zakończyła gorącą pochwałą kobiety polskiej, za jej umiłowanie rodziny, inteligencję i nierzadkie bohaterstwo.

Kilka słów o prozie Bączkowskiej dodała p. Mochlińska, podkreślając bogactwo przymiotników i towarzyszącą temu rytmiczność, charakterystyczną raczej dla poezji.. Licznie zebrane członkinie Zjednoczenia i goście dały wyraz uznania dla prelegentek i autorki gromkimi oklaskami.

Wspomnieć by wypadało jeszcze o co najmniej dwóch wystawach plastyków, będących przykładami gościny udzielanej przez polskie galerie obcym artystom. Jedną z nich był pokaz dwudziestu kilku prac olejnych p. Elsie Stevens, uczennicy prof. M. Bohusza-Szyszko, pracującej w Studium Malarstwa Stalugowego zaledwie od 18 miesięcy. Otworzył wystawę kierownik Studium, witając licznych gości angielskich i podnosząc znaczenie, jakie ma dla sztuki wolność panująca w Anglii. Następnie zebrani oglądali ciekawe prace obiecującej malarki, wykazującej już określoną indywidualność, wyrażającą się poprzez duże bogactwo tematyczne, skłonność do scen zbiorowych, i harmonijną kolorystykę, mocno nacechowaną wizyjnością i wizjonerstwem, będącym wyrazem intuicyjnego, bezpośredniego podejścia do malarstwa. Drugą wystawą był pokaz prac Anglika Michael Kidnera w Galerii Grabowskiego, zaawansowanego abstrakcjonisty, wyrażającego się w kompozycjach płaskorzeźbiarskich i obrazach malarskich o ciekawej strukturze prążkowej lub listewkowej, tak skomponowanej, aby wydobyć nie tylko widmowe efekty barwne, ale również i pewne złudzenia ruchowe. Drogą analizy zjawisk optycznych artysta dąży do nowych syntez, których zakres jest daleki od wyczerpania. Jak zwykle w tej galerii prace przedstawione są w sposób jak najkorzystniejszy dla dzieła i widza.

MONTE CASSINO NA WYSTAWIE FILATELISTYCZNEJ

Wrażliwa na wszelkie przejawy polskiego życia publicznego Polska YMCA urządziła w tym roku w swej siedzibie londyńskiej bardzo interesujący pokaz, który znalazł zupełnie nieoczekiwane silne echo ze strony zwiedzających. W dniach 9 i 10 maja 1964 r. odbył się podwójny pokaz pod hasłem „20 Rocznica walk o Monte Cassino". Złożyła się nań 5. okolicznościowa wystawa filatelistyczna połączona z pokazem fotografii dokumentarnej związanej z wędrówki żołnierza i uchodźcy polskiego" z Rosji pod Monte Cassino". Dookoła sali wystawowej rozwieszone były tablice z odpowiednio posegregowanymi zdjęciami z różnych etapów wędrówek i walk, aż do Bitwy o Monte Cassino. Poszczególne eksponaty były starannie opisane i dobrane, i z satysfakcją można było obserwować, jak oglądający rozpoznawali znane sobie miejsca na szlaku od Rosji, przez Persję i Irak, aż do Palestyny, Egiptu i Włoch. Obraz uzupełniały ryciny, szkice i mapy zwłaszcza dotyczące najmniejszych szczegółów terenowych otaczających ośrodek bitwy o Monte Cassino, sporządzone przez kompanię kartograficzną 2. Korpusu. Wieczorem wyświetlany był film dokumentarny, pokazywany już podczas zeszłorocznego obchodu, ale chętnie ponownie oglądany przez wielu widzów, wśród których przeważały rodziny weteranów 2. Korpusu. Wystawę zorganizował z posiadanych zbiorów kierownik klubu YMCA p. Bolesław Lesiecki.

W ciągu dnia w środku sali ustawione były stoiska, na których rozwieszono 12 ram z opracowaniami filatelistycznymi wydań pocztowych władz polskich na emigracji w latach 1941—1946 ze szczególnym uwzględnieniem okresu bitwy o Monte Cassino. Dziewięć ram wypełnionych było kartkami z zeszytów filatelistycznych ze zbiorów płk. dypl. J. Z. E. Berka. Oprócz wydań rządu emigracyjnego w Londynie, i z Powstania Warszawskiego, główną uwagę zwracały serie I i II z Monte Cassino i potem z okazji 10 lecia bitwy o Monte Cassino, z wszelkimi odmianami, próbami, a kasownikami poczty włoskiej. Całe 4 ramy poświęcono Poczcie Polowej 2. Korpusu we Włoszech a dwie poczcie Osiedli Polskich we Włoszech oraz związanym z nimi nalepkom. Dla celów dydaktycznych pokazano jeszcze trzy ramy eksponatów tematycznych ze zbiorów M. S. J. Capes'a, w tym „Muzyków" obejmujących znaczki z Beethovenem, Chopinem i Mozartem. Ta ilościowo niewielka wystawa, pod względem wykończenia stała na bardzo wysokim poziomie i była dodatkowym przeżyciem nie tylko dla zapalonych zbieraczy, ale również i dla amatorów. Nie na tym jednak kończyły się jej atrakcje, przygotowane przez Zw. Filatelistów Polskich.

Szczególnym powodzeniem bowiem cieszyły się przygotowane dla zwiedzających koperty ze znaczkami brytyjskimi, które można było wysyłać pod dowolnym adresem z zainstalowanej na wystawie oficjalnej skrzynki pocztowej, z której listy kasowane były przez pocztę brytyjską specjalnym stemplem okolicznościowym skomponowanym przez kpt. F. S. Lichowskiego, spadochroniarza. W zwykły stempel poczty brytyjskiej wkomponowane zostały napisy: 20th Anniversary of Monte Cassino, Philatelic Exhibition 18.V.1944—10th May, 1964. Nadto w środku widniał wyryty rysunek klasztoru oraz dwie tarcze: z krzyżem 2. Korpusu oraz Syreną. Wśród zwiedzających był taki run na te przesyłki, że w pewnym momencie trzeba było je dozować, aby móc obdzielić wszystkich amatorów. Skrzynki te były wybierane po raz ostatni o godz. 6 wieczorem. Przesyłki te zapewne wkrótce nabiorą dużej wartości kolekcjonerskiej.

Z okazji tej wystawy i rocznicy Monte Cassino, która zbiegała się z 5-leciem istnieniai Związku Filatelistów Polskich w Wielkiej Brytanii, wydany został specjalny numer „Komunikatu Filatelistycznego" za maj 1964, Nr. 72, z artykułem wstępnym gen. bryg. K. Wiśniowskiego, b. Szefa Sztabu 2. Korpusu o znaczeniu bitwy. Resztę numeru wypełniają artykuły fachowe i organizacyjne, m.in. dotyczące przygotowań do wystawy „Polphilex 1964", która odbędzie się w dniach od 6 do 10 sierpnia 1964 r. w salach Instytutu Historycznego im. gen. W. Sikorskiego i stać będzie pod hasłem: „50-lecie Wymarszu ku Wolności".

Z poprzedniego komunikatu otrzymujemy nie tylko nieco wiadomości o organizacji Związku i składzie jego zarządu, którego prezesem jest płk. Jan Z. E. Berek, a sekretarzem — J. R. Nowak, ale również bardzo ciekawe dane o wydawnictwach pocztowych

związanych tematycznie z 600-rocznicą Uniwersytetu Jagielońskiego w Krakowie w opracowaniu płk. Berka. Do Komunikatu dołączony jest dodatek angielski, zawierający sprawozdanie z działalności Związku, oraz apel o branie udziału w wystawie „Polphilex 1964" i o zamawianie katalogów w przedpłacie pod adresem Związku Filatelistycznego: 30, Greencroft Gardens, Flat J, London, N.W.6. Katalogi za poprzednie lata stanowią nie tylko piękną pamiątkę ale również i źródło informacji dla zbieraczy.

Równocześnie z wystawą odbywał się również rodzaj kiermaszu znaczkowego, który podobny w tym roku budził rekordowe zainteresowanie, co też odbiło się też i w dokonanych obrotach. O pozycji zdobytej przez polski Związek Filatelistyczny świadczy m.in. jego udział na corocznych wystawach brytyjskich tzw. STAMPEX odbywających się corocznie w marcu w sali Westminster Central Hall.

SPOTKANIE Z HISTORYKAMI NIEMIECKIMI

Będąc przy wydarzeniach o charakterze retrospektywnym warto wspomnieć o zebraniu naukowym Polskiego Towarzystwa Historycznego w W. Brytanii, poświęconym referatowi prof. dr. Tytusa Komarnickiego o polsko-niemieckiej konferencji historyków w Londynie. Te trzydniowe rozprawy rozpoczęły się 17 marca 1964 r. i odbyły się z udziałem 11 historyków niemieckich, a ze strony polskiej wygłoszono 7 referatów.

W zagajeniu swym gen. M. Kukiel przypomniał okoliczności, w jakich odbyła się ta konferencja, podkreślając, że miała charakter ściśle naukowy, a nie polityczny. Zapowiedział on, że przebieg konferencji omówi prof. Komarnicki, po czym zaprosił na przewodniczącego zebrania prof. B. Hełczyńskiego, który przewodniczył również ostatniemu zebraniu tej konferencji.

W dłuższym referacie prof. Komarnicki wskazał na wstępie powiązania istniejące między tą konferencją a poprzednim spotkaniem historyków, które miało miejsce przed szeregiem lat w Tybindze. Omówił następnie główną treść poszczególnych referatów niemieckich i wspomniał o kontrowersjach między Polakami, do jakich doszło w związku z organizowaniem jej i warunkami w jakich musiała się odbyć. Referaty polskie omawiali potem poszczególni ich referenci, jak prof. L. Koczy, płk. dr. A. Sawczynski, płk. dr. S. Biegański, gen. M. Kukiel i prof. B. Hełczyński. Prof. P. Skwarczynski nie mógł wziąć udziału w zebraniu. Prof. Komarnicki podał przy tym argumenty za tym, aby urządzać tego rodzaju zebrania uczonych polskich i niemieckich, zwłaszcza ze względu na to, że badacze historii obszaru środkowo-europejskiego do którego należy i Polska zwykle posługują się źródłami lub opracowanihami ogłoszonymi w języku niemieckim. Podniósł przy tym wiele objawów dążenia do obiektywizmu u historyków niemieckich, zwłaszcza młodszego pokolenia, którzy z reguły uczą się języka polskiego i niekiedy nim bardzo dobrze władają.

Wzrastające zainteresowanie historią Polski wśród Niemców tłumaczone było m.in. i pewnymi anologiami w sytuacji Niemiec obecnych do sytuacji Polski po rozbiorach. Poza tym prof. Koczy wskazywał na szereg kompleksów które żywią Niemcy, a m.in. wynikającymi z faktu, iż właściwie nie są oni jeszcze tak zwartym czy jednolitym narodem, jak inne, do których należy i Polska. Po referatach odbyła się krótka dyskusja. (n)

SZEŚĆ WIEKÓW PRACY, SŁAWY I ZASŁUG WSZECHNICY KRAKOWSKIEJ

LEON KOCZY

Kraków gości rzesze przybyszów z całego świata, którzy zjechali się tam na uroczystości sześćsetlecia Uniwersytetu. Zaszczyt to wielki i wyjątkowy, ale zasłużony. Bo jeżeli starszeństwo uniwersytetu świadczy o starszeństwie cywilizacyjnym narodu, to zaś o starszeństwie wśród ludów chrześcijańskich, to Kraków nie ma równego sobie w północnej i wschodniej Europie. Przecież dopiero pod koniec XV wieku oglądać będą uniwersytety stolice Skandynawii, dopiero w r. 1505 otrzyma uniwersytet Wrocław i dopiero w r. 1544 powstanie tak pociągające naszą innowierczą młodzież królewieckie Albertinum. A cóż powiedzieć o uniwersytetach rosyjskich? Moskiewski powstanie w 1755, petersburski w 1810, kijowski w 1832 roku, ale tylko dzięki kasacie Uniwersytetu Batorego w Wilnie. Uniwersytet krakowski jest więc najstarszym uniwersytetem na północ od Karpat i pierwszym na długie wieki uniwersytetem słowiańskim.

Starszeństwo to mało. Uniwersytet to jest nauka i jej usługi na rzecz ludzkości. Z tej strony znowu, nasza wszechnica gasi swe siostrzyce w Pradze i Wiedniu a nie ma się czego wstydzić przed macierzami na zachodzie. Tak było w wieku XV, jak go X. Jan Fijałek nazwał, „wiekiem złotym" Uniwersytetu. W tym to wieku zapisał on sobie cztery chwalebne karty, na rzecz chrześcijaństwa, kultury i własnego narodu.

●

Na pierwszej stoją postacie Jadwigi, dobrodziejki i Jagiełły, Odnowiciela Uuniwersytetu. Jak wiadomo w. Książę litewski zobowiązał się przed objęciem tronu przyjąć chrzest wraz z całym narodem — czego dotrzymał ku największemu uznaniu Stolicy Apostolskiej i nawet swego arcywroga Zygmunta Luksemburczyka. Jednak nawrócenia mógł dokonać tylko Kościół polski przy pomocy zastępu duchownych. Tych dać mógł i dał istotnie fakultet teologiczny. Zasługi w tej mierze Uniwersytetu podniósł i kanclerz Uniwersytetu biskup Piotr Wysz i sam Jagiełło w liście do papieża z r. 1407. Smutne tedy, że ten, tak koło dzieła nawrócenia Litwy zasłużony wydział teologiczny, został skasowany na naszych oczach, jak i to, że odwieczny kanclerz Uniwersytetu, biskup krakowski, nie może wziąć udziału w uczczeniu dzieła, do którego wysławienia tak bardzo się jego poprzednicy przyczynili.

●

Na drugiej karcie stoi wielka postać Pawła Włodkowica. Polska go potrzebowała, gdy się okazało, że nie wystarczyło rozłożyć Zakon Krzyżacki militarnie, lecz, że trzeba go zwalczyć „mieczem duchowym" na Zachodzie, gdzie miał ciągle wpływy i uznanie. Tego zadania dokonał właśnie Paweł Włodkowic, rektor Uniwerystetu i to na jednym z największych zgromadzeń Kościoła, w Konstancji, w latach 1414-18.

Tu bronił on zasady, że pogan nie wolno nawracać mieczem, bronił jej z trudem, gdyż zasady tej nie rozumieli jedni, nie podzielali drudzy. Dopiero pełnia dzieł, przygotowana tu na Emigracji, pozwoli ująć w całości oryginalne jego myśli i ich wyjątkowe znaczenie w dziejach misyj.

●

Na trzeciej karcie znajdziemy mnóstwo nazwisk wspaniałych luminiarzy ze wszystkich dziedzin nauk. To że Uniwersytet kwitnął w nauce obojga praw, teologiii i sztukach wyzwolonych, można rozumieć, bardziej się dziwić można rozwojowi fakultetu medycznego, a najbardziej, że Uniwersytet Krakowski jako jedyny na północ od Alp posiadał dwie katedry nauk ścisłych, to jest matematyki i astronomii.

Ta sława nauk ściągała w XV wieku rzesze młodzieży z całego świata. W ciągu tego stulecia imatrykulowało się tu 18,338 studentów, z tego obcych 7,611. Ci ostatni przeważali w latach 1480—1510, kiedy to liczba ich dosięgała 58 procent imatrykulowanej młodzieży. Możemy śmiało powiedzieć, że Uniwersytet Krakowski był w XV wieku seminarium Europy wschodniej, północnej i środkowej, tak jak jego mistrzowie byli nauczycielami ludów w tej części świata.

Te są oto zasługi Uniwersytetu na rzecz chrześcijaństwa, cywilizacji zachodniej i wychowania ludów na wschodzie. Europy. Trudno się oderwać od tych wspaniałych kart starej wszechnicy i tym bardziej boleć można nad jej upadkiem. Ten był powolniejszy, niż wielu uniwersytetów na zachodzie, choć przeciągły i dotkliwszy. Jeszcze w wieku XVI Uniwersytet jaśniał wielkimi nazwiskami, ale już w r. 1599 prymas krakowski zaklinał Zygmunta III, aby nie pozwolił upaść Uniwersytetowi, bo i cokolwiek w Kościele Bożym, w Rzeczypospolitej, w Radzie przy boku WKMości było i jest „ludzi wielkich i godnych stamtąd wszyscy wyszli!"

Na nic się zdały te zaklęcie. Uniwersytet upadał i nie mógł się podnieść, choć były próby jego ratunku. Doszło do tego, że w połowie XIX wieku był on szkołą na obsługę Krakowa i zachodniej Galicji. Potem nagle zajaśniał i to w niebywałej pełni, bo we wszystkich naukach. Było to jego chwałą jak było szczęściem wskrzeszonego Państwa Polskiego. Uniwersytet bowiem posłał swych mistrzów i uczniów na odbudowujące się polskie wszechnice i pomógł nauce polskiej przebrnąć przez trudny okres organizacji wyższego szkolnictwa. Po tamtych zasługach na rzecz Kościoła, chrześcijaństwa i cywilizacji zachodniej ta zasługa była jedną z większych zasług Uniwersytetu na rzecz Narodu.

I oto nagle wydawało się, że po sześciu wiekach istnienia ten prastary Uniwersytet przestanie istnieć, że już tylko jego stare mury o nim mówić będą. Bo w roku 1939 znalazł on się w kręgu Nibelungów, którzy mu zgotowali zagładę. Zbyt znany jest wypadek zegnania profesorów krakowskich do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu i Sachsenhausen, aby go tu opisywać. Trudno opisać, co oni tu przeszli. Ważniejsze jest to, że ci, którzy wyszli, stworzyli potajemnie uniwersytet, choć poza murami, i ciągle narażając życie, nie pozwolili zaniemówić swej Alma Mater. Koniec końcem okazało się słuszne powiedzenie E. Pasquire'a, że „uniwersytety są zbudowane na ludziach" i że w okresach kryzysów ratują je charaktery. Dlatego czcząc Uniwersytet za jego liczne zasługi dziejowe, czcimy przede wszystkim cienie Chrzanowskiego, Estreichera, Kostaneckiego, Siedleckiego i tylu innych, którzy nie poddali się w kaźni germańskiej, lecz swą postawą uratowali honor polskiej nauki i godność ludzkości, której Uniwersytet służył przez wieki.

WIESŁAW STRZAŁKOWSKI

CZŁOWIEK I HISTORIA

Nieraz znani nawet pisarze, mający wpływ na opinię publiczną, nie są wolni od grzechu pomieszania pojęć, szczególnie, gdy występują z teoriami, które mają frapować oryginalnością, a w gruncie rzeczy polegają na nieporozumieniu. Do celu swego zmierzają na drodze fałszywej logiki, posługując się zawiłymi argumentami, których niejasność daje pozory głębi. Przykład tego rodzaju rozumowań znalazłem w interesującym poza tym zbiorze esejów Aldousa Huxleya, gdy omawiając życie francuskiego filozofa Maine de Birana, zaczyna snuć on refleksje ogólne na temat stosunku człowieka do historii.

Temat to rzeczywiście ważny i istotny, bo czyż nie tkwimy wszyscy w danej rzeczywistości historycznej, mówiąc jej językiem, przeżywając nieraz jakże boleśnie konflikty naszej epoki, żyjąc jej nadziejami i . . . złudzeniami. Postawienie tego zagadnienia przez Huxleya jednak jest jakże niezadawalniające. Drogą zawiłą dochodzi on do paradoksalnych wniosków, redukujących wolę ludzką i świadomość do minimum, ukazując rzekomą bierność człowieka w procesach historii, które zdaniem jego odbywają się gdzieś ponad nim i poza nim. Twierdzi bowiem Huxley, że człowiek w dużym stopniu jest wyłączony z biegu historii i że jest on nieświadomy wielkich procesów historycznych, w których sam bierze udział. Do twierdzeń dochodzi on poprzez dowolną analogię o posmaku materialistycznym pomiędzy prawami kierującymi społeczeństwami ludzkimi a prawami fizyki oraz swoistą interpretacją tezy Toynbeego.

Przyjrzyjmy się jego argumentom. Zagadnieniem, które go interesuje przede wszystkim jest zagadnienie do jakiego stopnia jednostka żyje w historii swego czasu. To zaś łączy się zdaniem jego z innym pytaniem: co to jest właściwie ta historia co nas otacza? W związku z tym zastanawia się Huxley, czy historia jest tylko zrozumiała dla przyszłych historyków, czy też jest prężywana bezpośrednio przez ludzi żyjących w danej epoce.

Przypomina przytem Huxley, że podobne zagadnienie postawił sobie i znany historyk kultury Toynbee, choć je sformował inaczej. Dla Toynbeego pytaniem zasadniczym jest, jakie wydarzenia czasów obecnych będą uważane za najważniejsze przez przyszłych historyków naszej epoki. Odpowiadając na nie, powiada Toynbee, że napewno nie będzie nim żadne z politycznych czy ekonomcznych zdarzeń, które dziś wypełniają szpalty gazet, lecz prądy o większym znaczeniu i serszym zakresie. Za takie zaś uważa on nacisk i wpływ zachodniej cywilizacji na wszystkie inne społeczeństwa świata wraz z reakcją innych kultur na cywilizację zachodnią oraz ostateczne ustalenie się religii, podkreślając jedność ludzkości.

Jeżeli Toynbee ma rację, charakteryzując w ten sposób najdonioślejsze tendencje naszej epoki, to w takim razie, powiada Huxley, odpowiedź na pytanie, czy historia jest czymś przeżywanym przez jednostki żyjące w danej epoce wypada nagtywnie. Nikt bowiem nie doświadcza osobiście wydarzeń, które zdaniem Toynbeego będą uważane za najbardziej charakterystyczne znamię naszej epoki. To bowiem co jest najważniejsze w historii to kwestie długich bardzo procesów, dotyczące wielkich liczb. One nadają historii jej właściwe znaczenie. Wydarzenia zaś polityczne czy ekonomiczne, doświadczane przez jednostki, które nawet mogą mieć pewien wpływ na ich przebieg, to są jedynie symptomy naprawdę znaczących procesów, przekształcających oblicze świata.

Dla wyjaśnienia tego kontrastu pomiędzy życiem jednostki, żyjącej w danym wycinku czasu, a głębokimi przemianami historii posługuje się Huxley analogią z fizyki, gdzie inne prawa dotyczą gazów a inne ich składowych cząstek. Filozofa historii zajmującego się wielkimi wydarzeniami dziejów można porównać do fizyka, który obserwuje zachowanie się gazów, a nie ich molekuł.

Czym innym jest historia jako przedmiot badania uczonych, mówi Huxley, a czym innym doświadczenie jednostek w danej epoce, które nie pokrywa się bynajmniej z wydarzeniami istotnie ważnymi.

Wracając zaś do pierwszego pytania, do jakiego stopnia jednostka, którą otacza historia, żyje w historii, zapytuje Huxley, o ile egzystencja człowieka jest uwarunkowana socjologiczną trójcą miejsca, pracy i środowiska. Rozważając to, zaznacza, że każda jednostka trzecią część swego życia spędza w stanie snu, co ją wyłącza częściowo z rzeczywistości historycznej podobnie jak wyłączają ją z niej i inne" prywatne doświadczenia" — urodziny, śmierć i starość. Choć każdy człowiek żyje w danej kulturze i danym okresie historii, nie tylko jego procesy organiczne, lecz również i najgłębsze przeżycie mistyczne, doświadczenie Boga znajdują się poza historią.

Prawa, którym podlega jednostka, która czuje, myśli i poznaje, są inne niż prawa rządzące społeczeństwami pozbawionymi czucia. Postęp stwierdzany przez historyków, dotyczący społeczeństw, nie jest postępem dla żyjących w nich poszczególnych jednostek, które mogą go wcale nie odczuwać w swym indywidualnym życiu. Fakt, że społeczność ludzka opanowała do pewnego stopnia jako całość swe naturalne środowisko, nie znaczy bynajmniej, że każdy człowiek należący do tej społeczności korzysta z tej samej swobody względem własnego środowiska, na które się składa przyroda, ludzie, myśli człowieka, jego uczucia i organiczne procesy. Choć możemy dziś podróżować odrzutowcem, co było niemożliwe w przeszłości, dręczą nas te same problemy życia ludzkiego, jakie mieli i nasi przodkowie.

Na czym zatem polega wartość postępu? Reformy społeczne, polityczne i ekonomiczne, powiada Huxley, mogą dokonać dwóch rzeczy: poprawić warunki organicznego życia i usunąć pokusy, którym poddają się jednostki z katastrofalnymi dla siebie i innych skutkami. Pokusą taką jest przede wszystkim centralizacja władzy w rękach nielicznych jednostek, jaką stwarza szczególnie totalizm. W systemie tym prawo do indywidualnej egzystencji ulega zaprzeczeniu i to co było niemożliwe do przeprowadzenia w praktyce w dawnych tyraniach staje się obecnie tragiczną rzeczywistością. Właśnie dzięki postępowi w organizacji i technice współczesny dyktator ma wszystkie środki, by uczynić jednostkę bezwolnym narzędziem maszyny organizacyjnej, której cele są nie do pogodzenia z celami życia indywiduanlego człowieka.

Rozważania pisarza na temat stosunku człowieka do historii niewątpliwie pobudzają do myślenia, lecz jednocześnie budzą poważne wątpliwości. Szczególnie dotyczy to charakterystyki naszej epoki przez Toynbeego, którą Huxley czyni podstawą swego rozumowania. Żyjąc w danej epoce, powiada Huxley, nie poznajemy jej najistotniejszych cech. Wynika z tego, że nie możemy też wiedzieć czy Toynbeego charakterystyka współczesnej jemu i nam epoki jest prawdziwa czy też błędna. Jeżeli jest słuszna, to świadczyłoby, że człowiek żyjący w danej epoce może ją mimo wszystko poznać, a skoro ją poznał Toynbee, to mogą ją poznać i inni. Jeżeli zaś jest fałszywa, to całe rozumowanie Huxleya traci swoją podstawę.

Podobne wątpliwości powstają w związku z odpowiedzią i na pytanie, czy jednostka żyje w historii, która ją otacza. Nieprzekonywujące wydaje się porównanie ludzi indywidualnych z molekułami gazu, a praw rządzących społecznością ludzką z prawami przyrody martwej. O ileż bliższym prawdy wydaje się Platon, który społeczność ludzką wyjaśniał niemechanistycznie, znajdując analogię pomiędzy strukturą duszy ludzkiej a strukturą idealnego państwa. Człowiek żyjący w społeczności nie jest wyłączony do tego stopnia z biegu historii jak to przedstawia Huxley, pomimo swych „prywatnych doświadczeń". Nawet bowiem te doświadczenia posiadają formę reakcyj, które ukształtowały warunki psychofizyczne danego okresu. Świadczyłyby o tym np. różne formy doświadczenia mistycznego w różnych okresach. co stwierdza m.inn. Albert Schweitzer w swym dziele o mistyce hinduskiej jak również i odmienne formy przeżyć miłości, wyrażone w poezji średniowiecza czy Odrodzenia. Można powiedzieć więcej. Nawet w stanie snu symbolizm marzeń sennych jest w pewnym stopniu odbiciem epoki.

Nie chodzi tu jednak o te szczegóły. Teza Huxleya, pomniejszająca udział człowieka w historii i jego samowiedzę historyczną godzi w podstawowe przekonanie o odpowiedzialności człowieka wobec historii. Do tej zaś odpowiedzialności nawoływali słusznie w imię postulatów moralnych reformatorzy i myśliciele wszystkich epok, poczynając od Konfucjusza, Platona i Arystotelesa, rozumiejąc, że nie ślepy fatalizm, lecz wola ludzka decyduje o biegu historii, przeobrażając oblicze świata.

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE do POLSKI
Tel. FRE 3175
TAZAB
22, Roland Gdns.
London S.W.7
W NOWYM YORKU: TAZAB, 100 East 10th str., N.Y.3 N.Y.
LEKARSTWA! LEKARSTWA!
We Francji ELKA S.A.R.L. 20 rue Legendre Paris 17

STANISŁAW PACZYŃSKI

NAD BRZEGAMI SEKWANY

NA HORYZONCIE — „FRONT LUDOWY"

W grudniu 1920 r., na kongresie francuskich socjalistów w Tours — walne zwycięstwo odniósł Lenin. Słynny telegram-rewolwer Zinowiewa, nagłe zjawienie się na kongresie Klary Zetkin, intrygi i naciski zakulisowe specjalnych wysłanników bolszewickiej Moskwy — wszystko to sprawiło, że kongres poważną większością głosów uchwalił przystąpienie do III Międzynarodówki, której zjazd konstytucyjny — raczej symboliczny niż rzeczywisty — odbył się latem tego samego roku w Moskwie.

Tak powstała francuska partia komunistyczna. Moskwa od razu bierze ją w karby, stopniowo bolszewizuje, niepostrzeżenie przekształca w instrument państwa sowieckiego. I już od 1935 r. tym instrumentem posługuje się zupełnie bezceremonialnie. Wie bowiem, że francuska kompartia zawsze stanie w obronie „bastionów światowej rewolucji". dochowa wierności „ojczyźnie wszystkich pracowników".

Istotnie, ani szalejący terror w Sowietach, ani krwawe stalinowskie czystki, ani układ Ribbentrop-Mołotow nie spotkały się ze sprzeciwem „bratniej partii francuskiej", nie wywołały w niej poważniejszych wstrząsów. Jej zbolszewizowany aparat, kierowany przez „syna ludu" i późniejszego autentycznego dezertera z „imperialistycznej armii francuskiej", Maurice Thoreza — wytrzymał wszelkie próby, z zadziwiającą elastycznością dostosował się do najbardziej karkołomnych akrobacji ideologicznych Moskwy, bez najmniejszego wahania prowadził komunistyczne masy francuskie w kierunku wskazanym przez sowiecki imperializm. Albowiem uległość francuskiej kompartii Moskwie nie ma żadnych granic.

Potwierdził to raz jeszcze 17-ty kongres kompartii, który się odbył w Paryżu w dniach 14-17 maja. Jak było do przewidzenia, Chruszczow odniósł na nim bezapelacyjne zwycięstwo. Jego specjalny wysłannik, Susłow, który stał na czele delegacji sowieckiej — nie miał tym razem trudnej roboty. Francuska kompatria bowiem może przechodzić takie czy inne choroby, mogą w niej powstawać bunty poszczególnych intelektualistów lub uniwersyteckiej młodzieży, ale wszystkie te „ideologiczne odchylenia" nie mają większego znaczenia. Zbolszewizowany bowiem aparat wciąż działa bardzo sprawnie i daje Moskwie pełną gwarancję prawowierności francuskiej kompartii.

Nic więc dziwnego, że uchwały i rezolucje, przygotowane z góry i aprobowane przez Susłowa — zostały przez kongres przyjęte „jednomyślnie i entuzjastycznie". Bez najmniejszego zgrzytu. W sporze sowiecko-chińskim francuska kompartia zdecydowanie i wyraźnie zajęła stanowisko prosowieckie. W jej końcowej rezolucji czytamy, że „17-ty kongres uważa, iż triumf zasadniczej sprawy światowego ruchu komunistycznego czyni konieczną walkę ideologiczną i polityczną przeciwko antyleninowskim i neotrockistowskim pozycjom przywódców chińskich".

Na tym więc odcinku kongres nie przyniósł żadnych niespodzianek. Dodajmy szybko, że nie przyniósł on żadnych niespodzianek na żadnym odcinku. Kubek w kubek powtórzyło się to, co się powtarza od lat prawie trzydziestu. Ten sam fałsz, to samo zakłamanie, ten sam serwilizm wobec sowieckiej Mekki.

Fałszem bowiem i zakłamaniem jest stwierdzenie, że kongres uchwalił „rewolucyjne zmiany statutowe", że „demokratyzacja" francuskiej kompartii poczyniła „kolosalne postępy". Wprawdzie bowiem na podstawie dokonanych zmian statutowych nowe władze kompartii po raz pierwszy były wybierane w „głosowaniu tajnym", ale te „tajne wybory" ograniczyły się do głosowania na jedną jedyną listę, zawierającą tyle nazwisk, co miejsc do obsadzenia. Lista została przygotowana przez specjalną komisję, którą powołał sekretariat kompartii. „Wyboru" więc władz kompartii dokonał zbolszewizowany aparat, nie zaś przybyli na kongres delegaci. Pod tym względem wszystko się odbyło jak w Moskwie.

Fałszem i zakłamaniem jest także twierdzenie, że do władz kompartii napłynęła „nowa fala młodych działaczy". W istocie bowiem odbyła się kolosalna czystka. Elementy niepewne, zwłaszcza sposród intelektualistów i syndykalistów — zostały z władz kompartii po prostu wymiecione. Z komitetu centralnego usunięto 29 leaderów posądzanych o niedozwolone konszachty z formującą się na peryferiach kompartii opozycją. Liczbę członków komitetu centralnego zredukowano z 99 do 93 i wprowadzono doń 23 młodych, których średnia wieku wynosi 34 i pół lata. I stąd właśnie tyle krzyku, że kompartia „patrzy w przyszłość" i dopuszcza młodych. Dla ścisłości dodajmy, że do politbiura kompartii, którego liczbę członków podniesiono z 16 do 18 — weszło trzech młodych, a do sekretariatu, zredukowanego z 7 do 5 członków — wszedł jeden młody. Na pozór tedy wygląda, że można mówić o „nowej fali młodych".

Ale to są tylko pozory. Gdy się bowiem dokładnie przeanalizuje wszystkie te „nowe" nazwiska — wnioski nasuwają się zupełnie inne. Oto wszyscy „nowi" — co do jednego — to wieloletni członkowie terenowego aparatu kompartii. Innymi słowy — to zbolszewizowane kadry urzędnicze francuskiej kompartii. Napływ więc „nowej fali młodych" oznacza w rzeczywistości to, że kierownictwo komkompartii będzie odtąd spoczywało całkowicie w rękach aparatczików. Aparatczików w służbie sowieckiego imperializmu.

Na ich czele, jako sekretarz generalny — stoi obecnie wyszkolony w Moskwie aparatczik, Waldeck Rochet, który w przeciwieństwie do „syna ludu" Thoreza — jest „synem ziemi". Zaiste, trudno o większy fałsz o większą obłudę, o większe zakłamanie. W. Rochet bowiem należy do partii od osiemnastego roku życia, a po odbyciu służby wojskowej wszedł od razu do kadr płatnego aparatu partii. Urodził się na wsi, to prawda. Ale nigdy żadnej ziemi nie uprawiał. Jest po prostu zawodowym rewolucjonistą. Rewolucjonistą moskiewskiego chowu. Wprawdzie w jego dzisiejszej oficjalnej biografii nie znajdujemy na ten temat ani słowa, ale przecież powszechnie jest wiadomo, że towarzysz Mourau, szef francuskiej grupy w leninowskiej szkole w Moskwie w latach 1929-30 — to właśnie dzisiejszy sekretarz generalny francuskiej kompartii, Waldeck Rochet. Jego awans w partii oznacza jeszcze większe jej uzależnienie od Moskwy. Czuwać zresztą będzie nad tym „syn ludu" Thorez, który za oddane Sowietom usługi w ciągu trzydziestu czterech lat na stanowisku sekretarza generalnego — został pierwszym w dziejach partii prezesem.

Jak wobec tego można mówić o „demokratyzacji" francuskiej kompartii? Zdumiewające jest twierdzenie niektórych pism paryskich, jak „Paris-Presse" lub „Monde", że „kongres zapoczątkował nową erę w historii francuskiej partii komunistycznej" względnie „stanowi punkt wyjścia nowej ery". Zdumiewające są zwłaszcza oświadczenia niektórych polityków francuskich, szczególnie socjalistów. Z tych oświadczeń wymieńmy jedno — p. Guy Molleta.

Dziwnym zbiegiem okoliczności (a może wcale nie dziwnym), sekretarz generalny francuskiej partii socjalistycznej SFIO zwołał konferencję prasową właśnie w dniu otwarcia komunistycznego kongresu. Chciał podzielić się z dziennikarzami swymi wrażeniami z ostatniego swego pobytu w Jugosławii. Konferencję prasową rozpoczął od następującego stwierdzenia: „Gdybym był Jugosłowianinem — głosowałbym na Tito". *A potem rzucił następujące pytanie:* „Czy pewne formy demokracji gospodarczej nie prowadzą do nowych form demokracji politycznej?".

W ustach p. Guy Molleta było to naturalnie pytanie retoryczne. W istocie było ono wyrażeniem przekonania, że różnice między komunizmem i socjalizmem zaczynają się zacierać, że francuscy komuniści już dzisiaj powinni współpracować z socjalistami.

Odpowiedź komunistów padła równocześnie — z trybuny kongresowej. W swym inauguracyjnym przemówieniu, Waldeck Rochet dojrzał możliwość nie tylko układu taktycznego, lecz także „ideologicznego zbliżenia" *obu marksistowskich formacji. To zbliżenie jest nawet konieczne, a to* „celem odbudowy prawdziwej demokracji i położenia kresu władzy jednostki".

Widzimy więc jak na dłoni, gdzie jest pies pogrzebany. Chodzi po prostu o obalenie gen. de Gaulle'a przy najbliższych wyborach prezydenckich. Do jego obalenia dążą nie tylko socjaliści i inne ugrupowania opozycyjne, lecz także komuniści. Oczywiście — z różnych powodów.

Francuskie ugrupowania opozycyjne zwalczają przede wszystkim politykę zagraniczną gen. de Gaulle'a, jego stosunek do procesu unifikacji politycznej Europy, do sojuszu atlantyckiego, do problemów Dalekiego Wschodu. Natomiast — tak przynajmniej twierdzą oficjalnie — nie mają one najmniejszej chęci do powrotu do IV Republiki i jej politycznej bezsiły.

Inaczej przedstawia się sprawa w oczach francuskich komunistów. Francuska kompartia nie zwalcza gen. de Gaulle'a z powodu jego polityki zagranicznej. Przeciwnie, politykę tę często oficjalnie aprobuje. Natomiast walczy ona zaciekle z polityką wewnętrzną Prezydenta V Republiki, odrzuca obowiązującą dziś konstytucję.

Cała więc przepaść dzieli francuskie ugrupowania polityczne i piątą sowiecką kolumnę we Francji. Łączy je jednak jedno wspólne uczucie — nienawiść do osoby generała. Wydaje mi się, że ta nienawiść stanie się cementem, który wkrótce złączy socjalistów z komunistami.

I dlatego twierdzą, że na horyzoncie już widać nowy „front ludowy". Będzie on nowym zwycięstwem Chruszczowa i jego polityki „pokojowej koegzystencji".

KSIĄŻKI SAME SIĘ OBRONIĄ...

(ZAMIAST WSTĘPU DO RECENZYJ)

Rok bieżący dobrze się zapowiada w ruchu wydawniczym na emigracji. Nie tylko pod względem ilości drukowanych tytułów. Ważniejszym osiągnięciem jest spora ilość tytułów, które zaliczyć można do potrzebnych i wartościowych pozycji naukowych. Opracowania źródeł i dokumentów, z imponującym Tomem Pierwszym *„Diariusza i Tek Jana Szembeka"* na czele, otwierają listę osiągnięć. I jeśli kiedy to właśnie teraz, przeglądając „Diariusz" nasuwa się oklepane lecz ciągle prawdziwe stwierdzenie, że naszym obowiązkiem wobec nauki i kultury jest opracowywanie i wydawanie książek, które w kraju się nie ukazują. Piszę: „nie ukazują się", gdyż zdanie częściej wygłaszane: „ukazać się nie mogą", zaliczam do bolesno-pesymistycznego repertuaru psychicznej zgody na barbarzyńskie traktowanie nauki obiektywnej pod rządami komunistycznymi. Wolę więc powiedzieć: „nie ukazują się, choć ukazywać się powinny".

Słabiej niż wydawnictwa o znaczeniu naukowym i problemowym przedstawia się beletrystyka. Tu też nie ilość lecz gatunek przynosi rozczarowanie. Powinniśmy się już byli do tego rozczarowania przyzwyczaić, skoro beletrystyki w prawdziwym sensie słów *„belles lettres"* nigdy nie powstawało wśród nas wiele. Głównie dzięki, zrozumiałemu zresztą, zapatrzeniu pisarzy polskich w tło wspomnieniowe, lub refleksyjne na tle wspomnieniowym. Romanowiczowa jest jedna i jeden jest Hłasko. Ustawieni koło siebie w jednym zdaniu rażą jak karykaturalnie dobrana para. Lecz nie mam innego sposobu podkreślenia ich całkowitej choć u każdego innej samotności w licznym przecież gronie ludzi piszących, wśród których są pewno talenty im równe — Czesław Miłosz wystarczy za przykład — lecz nie ma pasji i woli oderwania twórczości od przyjętego na siebie, z pożytkiem lub bez, obowiązku „służenia czemuś" lub „głoszenia czegoś". Hłasce wydała „Biblioteka Kultury" — mówię o najnowszych pozycjach — dwie powieści zamknięte w jednym tomie pod podwójnym tytułem: *„Wszyscy byli odwróceni"* i *„Brudne czyny"*. Fakturę dały im obserwacje autora w czasie pobytu w Izraelu. Ludzie, jak zwykle u Hłaski, są prawdziwi bolesnym realizmem, przez który przebija podejrzenie, że jest przerysowany na czarno. Lecz siła opisu tworzy z mieszanki kompleksów i fotograficznych odbitek to czym autor chce by książka była. To znaczy tworzy powieść.

Wszystkie z ostatnio wydanych książek „Biblioteki Kultury" zasługują na osobne omówienia. Ukazują się z godną pochwały regularnością w wachlarzu tak szerokim, że nie mógłby się takiego powstydzić najzasobniejszy dom wydawniczy, działający we własnym kraju i w oparciu o mocny rynek czytelniczy. Dziś notuję jedynie ukazanie się pierwszego tomu „Pamiętników" Witosa, po którym, w krótkich odstępach czasu, mają się ukazać dwa następne. Co przynoszą pamiętniki jednej z najciekawszych postaci najnowszej historii Polski i jedynego polskiego chłopskiego męża stanu? Dowiemy się wtedy, gdy będą dostępne na rynku i zapewne dla recenzentów także. Tymczasem treść tomu znają tylko subskrybenci.

Wracając do powieści należałoby zanotować próbę „stworzenia czegoś nowego" podjętą przez Czesława Dobka. Książka nazywa się *„Na ratunek gołębicy"*. Wydała ją Oficyna Poetów i Malarzy, czyli krótko mówiąc „wyszła u Bednarczyka", który nie boi się ani tomików poezji ani powieści eksperymentalnych. Dobek próbuje oderwać postać i tło formalne od właściwej treści psychicznej. Technika nie jest rewelacją, lecz jest czymś nowym w pisarstwie polskim. Wrodzony zmysł satyryczny coraz bardziej podbarwia się u Dobka smutkiem, bezradnym i prawie żenującym. Na prawdziwy sąd krytyki „Gołębica" będzie musiała zaczekać. Niemniej przyszłoby żałować, gdyby Dobek zaniedbał swoje „forte" pisarskie w postaci gorzko-dowcipnego felietonu na korzyść trudniejszych dla czytelnika (i może mniej potrzebnych) poszukiwań nowych mediów pisarskich.

Książki drukowane tanim sposobem i przez to tanie, a o treści w założeniu swoim popularnej, ukazywały się od czasu do czasu na emigracji londyńskiej w postaci różnych „serii" i „bibliotek". Sam redagowałem jedną, bez większego niestety powodzenia. Niekiedy zamiast serii pojawiały się tego typu wydania obejmujące cykl kilku autorów, lub tylko jednego. Do nich można zaliczyć książki Józefa Garlińskiego, z których trzecia jest obecnie w druku. Od pół roku z górą krążą wśród czytelników książki dwóch serii wydanych przez *„Polską Fundację Kulturalną"*, mówiąc prościej, przez „Dziennik Polski". Każda seria po pięć tomów. Jest wśród nich kilka książek oryginalnych, kilka wznowień, na przykład pierwsza powieść śp. Zygmunta Nowakowskiego, a także sporo opowiadań i nowel znanych z dawniejszych druków w którymś z czasopism. Serie mają być popularne, w znaczeniu, jak się to kiedyś mówiło, „wydawnictw kolejowych". To znaczy, że łatwo książkę wsadzić do kieszeni i poczytać w podróży by potem, ewentualnie, bez żalu komuś podarować lub po prostu gdzieś zapomnieć. Popularnemu zamiarowi Fundacji by książki były lekkie pod względem wagi papieru i by były małego formatu towarzyszy staranie by, także pod względem treści, format i popularność nie stały w sprzeczności z założeniem typograficznym. Nie zawsze plan utrzymania pionu integralnej „popularności" się udaje, co widać na przykładzie mniej stosunkowo znanych wierszy Hemara, które ukazały się w przykładnej zgodzie z powieścią dla młodzieży w typie „à la Przyborowski", autorstwa śp. Antoniego Bogusławskiego. Obok nich powieść Bączkowskiej ozdobiona laurem nagrody, wymierzonej przez londyński aeropag zawodowych smakoszy literackich. Każdy w aeropagu, gdy mu się przyjrzeć z osobna, jest pisarzem lub krytykiem z prawdziwego (niektórzy z jak najprawdziwszego) zdarzenia. Ale na ucztach geniuszy nie zawsze usługują muzy.

Wróćmy do serii „popularnych" „Fundacji Kulturalnej". Znalazła się w niej rozprawa polityczna Aleksandra Bregmana, pt. *„Jak świat światem...?"* Książka o kontrowersyjnej a w niejednym o rewelacyjnej treści. Zajmuje się całokształtem zagadnienia stosunku „Polska Niemcy". Treść, raczej tezy autora, jak zwykle w publicystyce bywa, podlegają dyskusji. Natomiast forma i metoda przynoszą zaszczyt dziennikarzowi o tak dużym przecież i bogatym dorobku. Dlaczego znalazła się wśród tak zwanych „popularnych", gdy powinna stanąć w jednym szeregu z wydawnictwami, którym kilka superlatywów poświęciłem na początku tych uwag? Może stało się dobrze, bo książka zdobyła tym sposobem szerszy zasięg. A może fakt jej wydania w serii „popularnych" zdradza ostrożne próby Fundacji przesunięcia kierunku planowania na nieco mniej popularne tory?

Pomimo tych gderliwych uwag inicjatywę „popularnych" Fundacji Kulturalnej uważam za potrzebną i udałą. Zdziwienie przerodziło się w pomruk aprobaty...

Nie ze wszystkim tak bywa. *„Pamiętniki"* generała Józefa Hallera także zdumiały. Książka nie mieści się w żadnej ze znanych kategorii. Jest to po prostu nieopracowany stenogram, względnie surowy tekst, pisany pod dyktat Hallera, gdy był już człowiekiem bar-

(Dokończenie obok)

NAWET GDYBY TRZEBA BYŁO ZAPŁACIĆ WIĘZIENIEM

Prymas Wyszyński podzielił się z Polakami w Wiedniu wiadomościami o „Sacrum Poloniae Millenium", to jest o przewidzianych na rok 1966 uroczystościach 1000-lecia przyjęcia przez Polskę chrześcijaństwa. Obchody 1000-lecia państwa polskiego ogranicza reżym do minimalnych rozmiarów, nadając im treść i piętno imprez komunistycznych.

Kardynał Wyszyński raz tylko pośrednio wspomniał o przeciwstawiającym się Kościołowi reżymie, który uniemożliwił uczczenie 1000-lecia jako faktu narodowo-religijnego. Program „Sacrum Poloniae Millenium" będzie miał zatem charakter wyłącznie religijny.

Nawet — oświadczył Prymas — gdyby za organizowanie i uczestniczenie w tych obchodach trzeba było zapłacić więzieniem nie ustraszy nas to. Prawdą jest, że naród polski wie co to jest cierpienie, lecz także i poprzez cierpienie osiąga się wielkość. Zbyt łatwe życie narodu — mówił Prymas — może prowadzić do upadku. Zagranicą — przypomniał — przebywa 10 milionów Polaków, którzy winni uczestniczyć w obchodach 1000-lecia chrześcijaństwa w Polsce.

(FEC)

dzo starym. Jest w nim oczywiście mnóstwo materiału cennego dla historyka. Lecz wydając „Pamiętniki" bez odpowiedniej glossy, bez wprowadzeń, dobierając aneksy w sposób boleśnie niemetodyczny, w małym tylko stopniu wzbogacono wiedzę o czasach i ludziach. Natomiast w moim szczerym przekonaniu wyrządzono bezwiednie krzywdę pamięci człowieka, który dla wielu był postacią symobliczną nieomal, a dla wszystkich był cząstką historii Polski. Na ludzi, którzy stali blisko Hallera, którzy dzielili z nim i przeżycia i przekonania, spada teraz palący obowiązek napisania o nim monografii. Przedstawienie kogoś „en pantoufles" może uzupełnić obraz; nie może obrazu zastąpić.

Sezon na „pierwsze tomy" wydawnictw zakrojonych na lata pracy. O *„Diariuszu i Tekach Szembeka"* w opracowaniu Tytusa Komarnickiego już wspomniałem. Po lekturze tego tomu wzbogaconego imponującą dokumentacją o ileż bardziej wartościową niż najpracowitszy komentarz nabywamy pewności, że prawdziwy obraz historii politycznej Polski i Europy, widzianej od strony interesów państwowych polskich, poznamy dopiero po ukazaniu się całości „Diariusza". Redaktor i wydawcy (Polski Ośrodek Badań) zapowiadają następne tomy w odstępach rocznych. Tom Pierwszy obejmuje, w tekście „Diariusza" i w Dokumentacji wstępnej, okres 1933—1935. Prawdziwe *„Monumenta Diplomatica Poloniae"*.

Następnym z „pierwszych tomów" są *„Działania 2 Korpusu we Włoszech"* pod redakcją Stanisława Biegańskiego. Czekano na jego ukazanie się lat bodaj sześć. Oczekiwań nie zawiódł. Wzorowa, źródłowa historia wojskowa, wzbogacona o konieczny w tym wypadku obszerny aspekt polityczny. Kończy się oprawa pierwszego tomu *„Literatury polskiej na emigracji"* pod redakcją Tymona Terleckiego. Z „tomów pierwszych" zanotować warto ciekawe wydawnictwo dla znawców raczej. To *„Materiały do Biografii, Genealogii i Heraldyki Polskiej"* drukowane w Buenos Aires.

A teraz „tomy drugie". Imponujący *„Pamiętnik Kijowski"* poświęcony głównie czasom powstania styczniowego, choć nie tylko im. Powie ktoś: przyczynki. Nie, coś znaczniej więcej. Ważna książka i nieodzownie potrzebna, gdy się, nareszcie zaczyna myśleć o beznamiętnym i naukowym rozpracowaniu historii współżycia polsko-ukraińskiego. Czymś musimy przeciwdziałać kłamstwom sowieckim, które Ukraińcy nie wahają się po staremu nazywać „moskiewskimi". Warto może przypomnieć, że tom pierwszy „Rocznika" ukazał się w trzechsetlecie „Ugody Hadziackiej".

„Zeszytem drugim", nie „tomem", nazwano skromnie najnowszy numer *„Dokumentów Chwili"*, opracowanych przez Adama Ciołkosza. Tytuł „zeszytu" (bagatela 360 stron drobnego druku!): *„Koniec Monolitu"*. Dokumentacja rozłamu w świecie komunistycznym i jego podziału na dwa ośrodki ideologiczne. Konieczna na biurku każdego dziennikarza, potrzebna każdemu, kto nie zadawala się banałami gdy myśli o problematyce współczesnego świata. Podobnym sprawom poświęcił książkę pt. *„Jedność czy konflikt"* znany „sowietolog" amerykański Zbigniew Brzeziński. Książka ukazała się obecnie w przekładzie polskim, nakładem nieznanej dotychczas komórki wydawniczej „Odnowa".

I wreszcie kilka broszur naukowych. Wymieńmy trzy. Kapitalna i rewelacyjna praca Ciołkosza *„Karol Marks i powstanie styczniowe"* wydana jako nadbitka z ostatniego numeru „Tek Historycznych", lecz wzbogacona oryginalnymi fotografiami. *„Uwagi o zmianie społecznej"* Feliksa Grossa i na koniec prof. Wielhorskiego: *„Trzy pytania i trzy odpowiedzi"*.

Bogata mieszanka. Nie wszystko się w niej znalazło. Jest dopiero maj i daleko do bilansu rocznego. Zapowiedzi wydawniczych jest mnóstwo, zwłaszcza monografii związanych z „rokiem rocznicowym". Wydawcy (wymieniliśmy tylko kilku) i drukarze (nie wymieniliśmy żadnego) pracują pośpiesznie. A przede wszystkim starannie i bardzo celowo.

PZ

ZDZISŁAW STAHL

O POŁOŻENIU EUROPY, POLSKI I ŚWIATOWYM

W POLEMICE Z JANEM BIELATOWICZEM

Rok 1964, jako pięćdziesiąty od wybuchu pierwszej wojny światowej i dwudziesty piąty od początku drugiej, wreszcie jako dwudziesta rocznica bitwy na Monte Cassino, nadaje się szczególnie do ogólnych rzutów oka wstecz czy naprzód. Taka rocznicowa historiozofia jest powszechnym zwyczajem i zarazem rodzajem publicystyki, uprawianym we wszystkich krajach czy systemach politycznych, bez różnicy położenia geograficznego jednych czy ideologii drugich.

Ona też, ta historiozofia okolicznościowych przemówień czy artykułów, nadaje rocznicom właściwy sens etapów narodowej drogi, jej punktów orientacyjnych równocześnie i kontrolnych. Podczas tych rocznic robimy rachunki sumienia narodowego, stwierdzamy czyśmy zachowali prawidłowy kurs naszych dążeń i rozglądamy się dokoła, by ocenić rzeczywistość otaczającego nas świata politycznego, w którym żyjemy i działamy.

Takiemu właśnie, słusznemu i pożytecznemu celowi służył artykuł Jana Bielatowicza pt. „1914-1964, pół wieku między Niemcami a Rosją", zamieszczony na łamach naszego pisma 7 bm. w dodatku „Z życia kombatantów". Obok trafnych i niespornych ocen naszej drogi dziejowej, zwycięstw i osiągnięć minionego 50-lecia, autor wypowiedział tam uwagi, dotyczące międzynarodowej sytuacji politycznej, roli Europy i dzisiejszego położenia Polski, z którymi jednak nie mogę się zgodzić. Nie wszystko, co powiedział mam za słuszne, a rzeczy, moim zdaniem, dla dzisiejszego świata istotnych w ogóle nie dostrzegł.

Upadek czy Renesans?

Po pierwsze chodzi mi o ogląd na współczesną rolę Europy, przy czym dotyczy on w rzeczywistości jej części zachodniej. J. Bielatowicz stwierdza, że okres 1914-64 „zamknął się ... prawie zupełnym wycofaniem Europy z rządów nad światem ... Innymi słowy, pierwsze półwiecze XX stulecia to odwrót Europy ze świata w znaczeniu dominacji politycznej. Rok 1964 zdaje się otwierać dalszy etap tej ewolucji dziejowej ... Już dziś w grze sił nie liczą się prawie wcale małe i średnie państwa zachodnio-europejskie, ale też od dawna przestały dyktować swoją wolę światu i Europie — dawne potęgi: Francja i W. Brytania".

Powyższa charakterystyka upadku Europy, w czym autorowi chodzi w istocie o zachodnią, charakterystyka która stała się szablonem powojennej literatury politycznej trąci, moim zdaniem, anachronizmem. Ani upadek wpływów zachodnio-europejskich w w świecie, związany z likwidacją ich kolonializmu, nie stał się tak całkowity, ani — co ważniejsze — rok obecny nie zdaje się „otwierać — jak przewiduje J. Bielatowicz — dalszego etapu tej ewolucji dziejowej".

Przede wszystkim, po zamianie swoich imperiów kolonialnych, ani W. Brytania, ani Francja nie wyzbyły się zarazem wszelkich wpływów na pozaeuropejskie kraje i części świata. Ich imperia przekształciły się na „wspólnoty narodów", które — wbrew niektórym opiniom — nie pozostały tylko na papierze. Wpływy brytyjskie czy francuskie na kuli ziemskiej zmniejszyły się i zmieniły swój charakter, ale jest propagandową przesadą twierdzenie, jakoby uległy likwidacji. Siła zbrojna i polityczna, kulturalna i gospodarcza obu mocarstw dalej waży na obszarach ekskolonialnych. Podobnie mniejsze kraje zach. europejskie, jak Belgia, Holandia czy Portugalia, nie stały się poza kontynentem naszym nicością. Wszystkie zaś one dostosowują się do nowej sytuacji i zachowały w istocie lub odbudowują stosunki ze swoimi dawnymi posiadłościami kolonialnymi, dziś niepodległymi państwami, na nowych podstawach.

Ponadto, co więcej i może najważniejsze, ostatnie lata nie tylko nie wróżą „dalszego etapu" likwidacji wpływów zach. europejskich w świecie, ale przyniosły oczywisty i ogólnie uznany renesans ich, oparty na wzmocnieniu oraz zjednoczeniu gospodarczym zachodniej Europy. Następstwa międzynarodowe powstania Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i zwłaszcza odrodzenia się światowej roli Francji, to fakty tak ogólnie uznane i rzucające się w oczy każdemu obserwatorowi, że trzeba chyba specjalnego wysiłku, aby ich nie dostrzec.

Konflikt wyolbrzymiony

Po wtóre nie zgadzam się z poglądem, wyrażonym w artykule „1914-1964" na sprawę konfliku między Rosją Sowiecką a Chińską Republiką Ludową. J. Bielatowicz — łącząc starą doktrynę z teoriami dzisiejszych sowietologów — stawia ten konflikt, obok rzekomego końca wpływów Europy, w rzędzie najistotniejszych faktów współczesnej polityki światowej i uważa za milowy kamień historii XX wieku. „Przedmiotem podjętych tu rozważań — pisze — jest próba oceny wydarzeń w Europe w latach 1914-1964, z możliwie syntetycznego punktu widzenia, od wybuchu pierwszej wojny światowej do wybuchu otwartego konfliktu sowiecko-chińskiego. Jeśli nieuniknione starcie wynikające z tego konfliktu odwlecze się o lata, czy nawet o dziesiątki lat, nie zmieni to wcale znaczenia tego, co się już w Europie w ostatnim półwieczu stało".

Przytoczony wywód o konflikcie sowiecko-chińskim nie odznacza się jasnością ani konsekwencją. Wpierw czytamy porównanie jego „wybuchu" z wybuchem wojny światowej roku 1914, jako dwu równorzędnych faktów epokowych, ale już w następnym zdaniu autor, jakby zreflektowany, stwierdza że przecież ten „wybuch" z roku 1964 nie był nawet „starciem", które uważa wprawdzie za „nieuniknione", ale dopiero w nieokreślonej przyszłości. „Dies certus an, sed incertus quando", podobnie jak takie zobowiązanie, przepowiednia bez daty, to czek bez pokrycia i mit polityczny, służący przeważnie do gubienia myśli w mgławicach, osłaniających wątpliwe dogmaty lub dobre życzenia.

Naprawdę rok 1964 ujawnił — nie między Rosją Sowiecką a Chińską Republiką Ludową, które są dalej związane przymierzem z roku 1950, a w ostatnich dniach podpisały nowy traktat handlowy, lecz między rosyjskimi a chińskimi komunistami — wojnę, ale tylko papierowo-słowną, czyli rezolucji i przemówień reprezentantów obu partii. Ponadto, jest ona wciąż wewnętrzną wojną domową między głównymi członkami jednego obozu komunistycznego, prowadzoną zresztą pod hasłem powrotu do ideologicznej jedności, czego nie można też bynajmniej wykluczać. Zestawienie tego sporu, jakkolwiek ważnego i jakiekolwiek kryjącego możliwości na przyszłość, z wybuchem wojny roku 1914, to — delikatnie mówiąc — gruba przesada.

Dotychczasowe doświadczenia z wewnętrznymi kłótniami czy rozłamami nawet dokonanymi w komuniźmie dowodzą, że procesy te nie zmniejszają wcale jego niebezpiecznej i destrukcyjnej agresywności w stosunku do narodów wolnych. Po wewnętrznych kłótniach, najgwałtowniejszych nawet i po rozłamach, określanych na zachodzie, jako „nieodwracalne", poszczególne grupy czy reżimy komunistyczne umieją dalej przeciw światu wolnemu współdziałać, z powrotem się godzić i odbudowywać jedność.

Trockiści przecież czy titowcy, choć pokłóceni z Moskwą, nie przestawali być komunistami, przeciwstawionymi tak samo zasadniczo chrześcijańskiemu światu wolnemu i walczącymi z nim, choć na własną rękę i innymi trochę metodami, lecz równolegle do sowieckich. I czyż, tak reklamowana kiedyś „schizma" jugosłowiańskiego Tity, nie należy dziś w istocie do przeszłości? A obecna, papierowa wojna Moskwy z Pekinem, czy naprawdę osłabiła ekspansję komunistyczną i zagrożenie przez czerwony blok narodów wolnych? Oba, główne reżimy komunistyczne zaczęły raczej z wzmożoną energią rywalizować ze sobą w gorliwości rewolucyjnej i walce z zachodnimi „imperialistami" na obszarach ekskolonialnych, jak ostatnio Chruszczow to w Egipcie pokazał.

Zasadnicze pominięcie

I tu dochodzimy do tego, co uważam za najważniejszy brak i najistotniejsze pominięcie w światowym obrazie politycznym, który w swoim artykule „1914-1964" J. Bielatowicz namalował. Autor pokazał w nim upadek Europy w ujęciu zresztą przesadnym i nieco anachronicznym, bo bez uwzględnienia objawów jej obecnego renesansu; wyolbrzymia znaczenie konfliktu Moskwy z Pekinem, podnosząc go do roli epokowego faktu „wybuchłego" w roku 1964; nie spostrzegł jednak najbardziej „rzeczywistej rzeczywistości" powojennej i dzisiejszej, mianowicie podziału świata na blok komunistyczny i narodów wolnych.

Podział ten jest ostatnio przez część prasy i niektóre ośrodki propagandy kwestionowany, przez innych określany jako znajdujący się w okresie ewolucji i przybierający nowy charakter. W rzeczywistości jednak wewnętrzne stosunki w obu światowych zgrupowaniach ulegają zmianie, hierarchie pierwszeństwa znajdują się w ruchu, powodującym konflikty na polu dyplomacji i propagandy, ale podział świata na komunistyczny i wolny, przeciwieństwo między nimi zasadnicze — to dalej najważniejsza prawda naszej epoki i bieżącego roku. Próby neutralizmu i nieangażowania się w ten zasadniczy konflikt ze strony narodów, głównie ekskolonialnych, jego istnienie tylko podkreślają.

Tę jedność, komunizmu z jednej i świata wolnego z drugiej strony, podkreślają zresztą również ci czołowi przywódcy obu obozów, którzy do zmian w ich łonie dążą. De Gaulle w każdej niemal swojej mowie, dotyczącej polityki międzynarodowej, podkreśla że różnice poglądów ze Stanami Zjednoczonymi nie podważają poczucia związku między nimi wobec wspólnego zagrożenia ze strony imperializmu sowieckiego. Podobnie, reprezentanci Moskwy czy Pekinu, choćby ostatnio Czu En-lai w swojej stolicy i Chruszczow, podczas pobytu w Kairze, zasadę wzajemnej solidarności — mimo sporów — podkreślili.

I nie jest to gołosłowne. Mimo polemik i powstających różnic, przymierza wiążące oba obozy, czyli Płn. Atlantyckie (NATO), Środkowego Wschodu (CENTO) i Płd. Wschodniej Azji (SEATO) po stronie zachodniej, a Paktu Warszawskiego, ZSSR z Chińską Republiką Ludową oraz innymi reżimami komunistycznymi — dalej obowiązują. Odpowiadają tym sojuszom też zbrojenia, naprawdę gigantyczne i nuklearne, których wyścig odbywa się przede wszystkim na linii tego, głównego a niedostrzeżonego przez J. Bielatowicza podziału świata na dwa przeciwstawione sobie bloki.

„Oś Niemcy—Polska —Rosja"?

Po stwierdzeniu, że zachodnia Europa straciła wpływy, a konflikt sowiecko-chiński to zwrotny punkt politycznych dziejów naszego półwiecza omawiany autor przechodząc do Polski oraz jej głównych sąsiadów, m.in. pisze; „... od dawna przestały dyktować swoją wolę światu i Europie dawne potęgi: Francja i Wielka Brytania. Minęły czasy, kiedy Anglia pilnowała skrupulatnie „balansu władzy" na europejskim kontynencie, spełniając jakby rolę nadzorcy tej części świata. Losy Europy ważą się obecnie na szlaku dwu wielkich narodów i potęg: Niemiec i Rosji. Języczkiem u wagi jest zaś Polska. Historia Europy XX wieku to przede wszystkim balans sił na osi Niemcy—Polska—Rosja".

Aż roi się w tym krótkim ustępie od stwierdzeń, z którymi niepodobna się zgodzić. Po pierwsze, trudno — w przeciwieństwie do Niemiec i Rosji — odmówić charakteru wielkich narodów W. Brytanii i Francji i przyjąć dla Polski bez protestu określenie „języczka u wagi" i całej tej potrójnej „osi". Po wtóre, co istotniejsze, nie można wnosić jakoby W. Brytania nie interesowała się „balansem władzy" czyli raczej równowagą europejską, a Francja — zwłaszcza wraz z Europejską Szóstką Wspólnoty — nie wywierała na tę równowagę wpływu i jakoby pozostawiano wolne ręce Niemcom i Rosji, z Polską, jako „języczkiem u wagi". W rzeczywistości, nie tylko wspomniane mocarstwa zach. europejskie są bardziej bezpośrednio, niż kiedykolwiek w dziejach, związane z „balansem władzy" na całym kontynencie, lecz, zaangażowana jest w ten balans Ameryka, a za nią cały zachodni świat, którego granice przez środek Europy dziś biegną.

J. Bielatowicz pisze o odrębności „osi Niemcy—Polska—Rosja", jakby te pierwsze nie były podzielone i nie miały na swoim obszarze wojsk amerykańskich, brytyjskich i francuskich, jakby nie było Przymierza Płn. Atlantyckiego i Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, jakby nie było pocisków jądrowych, zdolnych przelatywać oceany i kontynenty, słowem, jakby nie było tej całej, dzisiejszej rzeczywistości światowej, którą wszyscy znają, z której także J. Bielatowicz przecież musi sobie zdawać sprawę. I doprawdy trudno zrozumieć, dlaczego ją w swoich rozważaniach pomija. Myślę, że to wszystko następstwo zignorowania podziału świata na dwa bloki: komunizmu i narodów wolnych, którego to podziału z przyczyn dla mnie niepojętych autor postanowił nie zauważyć.

W dalszym ciągu omawianego artykułu czytamy trafny na ogół opis walki narodu polskiego od roku 1914 i podczas dwu wielkich wojen, po czym jednak znów na końcu spotykamy się ze stwierdzeniami, budzącymi wątpliwości. Chodzi mi o zdanie, „że naród nasz odparł skutecznie wszystkie burze, nie zmalał i nie skurczył się". A przecież wiemy wszyscy, że właśnie poniósł on ogromne straty biologiczne, kulturalne i — obok doniosłych zysków na zachodzie — terytorialne. Słusznie więc podkreśliwszy ogromne osiągnięcia polskie, wytrwałość żywotność i dzielność naszego narodu, słusznie każąc patrzeć z podniesioną głową w przyszłość, teraźniejszość Polski przedstawia on jednak w barwach, które, niestety, są zbyt różowe.

KAZIMIERZ GLABISZ

SATELICKIE MEMENTO

Utrzymywanie i dozbrajanie przez Sowiety satelickich sił zbrojnych, zależnych całkowicie od moskiewskiej centrali, nie stanowi jakiegoś „novum" w historii. Zbroili swych satelitów i posługiwali się nimi w dalszych podbojach różni despoci w starożytności i średniowieczu, a w czasach nowszych zwłaszcza Napoleon, Bismarck i Hitler, choć sukurs ten częściej zawodził niż pomagał.

Obok Napoleona bodaj najdotkliwiej doświadczył tej prawdy Hitler, który zresztą a limine odnosił się sceptycznie do wartości takiej wymuszonej pomocy. Toteż jego przykre doświadczenia na tym polu powinny stanowić ostrzegawcze memento dla twórców i stróżów Paktu Warszawskiego a nas interesować i napawać otuchą. Ponieważ udział tych hitlerowskich jańczarów w nieudanym podboju Rosji jest mało znany, przypomnę jego przebieg i wynik pokrótce. Ograniczę się przy tym do opisu roli regularnych sił satelickich, bo formowane przez Himmlera z jeńców oddziały rosyjskie, kozackie, ukraińskie i kaukaskie mogły być tylko w etapach użyte, zaś ochotnicze formacje faszystów norweskich, holenderskich, belgijskich i hiszpańskich nie przekraczały — z wyjątkiem hiszpańskiej dywizji „błękitnej" — siły kompanii lub batalionu i były raczej efemerydami.

Decydując się już w połowie 1940 na zaatakowanie Sowietów, Hitler, dufny w omnipotencję swojej „Wehrmacht", liczył początkowo tylko na udział Finlandii, bo bał się dekonspiracji swoich planów i konieczności dzielenia się spodziewanym łupem. Po wrześniowym przewrocie w Rumunii wciągnął także siły rumuńskie w swoje kalkulacje, choć ich wartość nisko oceniał, bo bez ich udziału niemożliwe było zaatakowanie lewego skrzydła sowieckiego — i zabezpieczenie rumuńskiego zagłębia naftowego. Dopiero na początku 1941 roku wyperswadowano mu, że do rozgromienia liczebnie przeważającego przeciwnika i opanowania ogromnych obszarów rosyjskich potrzebne będzie także węgierskie, słowackie i włoskie mięso armatnie. Podejrzewając jednak wszystkie te państwa o kontakty z Zachodem, nie pozwalał ujawniać przedwcześnie swych zamierzeń wobec ich rządów i sztabów. Toteż nawet marszałek fiński Mannerheim zapoznał się z planem „Barbarossa" z grubsza dopiero 25 maja 1941, a marszałek rumuński Antonescu jeszcze później, bo zaledwie 12. czerwca. Mussolini dowiedział się o terminie uderzenia w chwili jego rozpoczęcia.

Choć zaskoczyło go ono więcej niż Węgrów, którzy orientowali się w sytuacji dość dobrze, wypowiedział on Sowietom wojnę natychmiast, widocznie z obawy, by znów, jak w kampanii francuskiej, nie uczestniczył tylko w „gaszeniu świeczek". W jego ślady poszły Rumunia i Słowacja. Finlandia podjęła działania wojenne dopiero 27. czerwca, choć już 17. czerwca zarządziła mobilizacja. Również Węgry dopiero 27. czerwca przystąpiły do „krucjaty", choć minister obrony Werth natychmiastowego zaangażowania żądał. Zadecydowało zbombardowanie Koszyc przez jakieś nierozpoznane, prawdopodobnie niemieckie samoloty i szantażowanie Horthy'ego groźbą ponownego oddania Siedmiogrodu Rumunii.

Pod względem liczebnym ten sukurs hitlerowskich satelitów przedstawiał się początkowo wcale okazale. Rumuni zaangażowali z miejsca 28 dywizji, jednak wycofali ich połowę po zdobyciu Besarabii i Odessy. Wkład fiński, składający się z kilkunastu dywizji był operacyjnie o tyle nie mniej ważny, że wiązał ponad 20 dywizji sowieckich, choć marszałek Mannerheim odmawiał a limine udziału w zdobywaniu Leningradu. Włoski korpus ekspedycyjny, zaangażowany zresztą dopiero w połowie sierpnia, składał się do końca 1941 roku z trzech dywizji. Węgrzy zajęli wprawdzie nasze Pokucie znaczniejszymi siłami, jednak wysunęli za Dniestr tylko trzybrygadowy korpus lekki. Mało tego, po dojściu do Dniepru ściągnęli go pod jakimś pretekstem z powrotem na Węgry i zostawili na obszarze sowieckim tylko 5 brygad piechoty dla ochrony etapów. Słowacy dali 2 dywizje, których rola była zresztą tak samo podrzędna jak w kampanii wrześniowej 1939 roku.

Jakościowo ten sukurs satelicki przedstawiał się oczywiście daleko gorzej, bo pod względem uzbrojenia, wyposażenia i wyszkolenia wojska te, z wyjątkiem fińskich, nie dorównywały niemieckim i sowieckim. Ponadto ich morale było bardzo nierówne. Żołnierz węgierski i słowacki walczył od początku z musu. Również żołnierz włoski nie rozumiał, dlaczego ma walczyć na wschodzie, nie mówiąc już o tym, że nie wytrzymywał rosyjskiego kilmatu. Żołnierz rumuński i fiński walczył ofiarnie i agresywnie tylko, póki walczył o odzyskanie ziem utraconych w 1940 roku, t.z. Besarabii wzgl. Kareli. Niezależnie od tego oddziaływał na morale ujemnie fakt, że, z wyjątkiem gros sił fińskich, wszystkie wojska satelickie podlegały wyższym dowództwom niemieckim i że niemieckie misje łącznikowe zachowywały się przeważnie bardzo nietaktownie. Do tego dochodził antagonizm rumuńsko-węgierski, który uniemożliwiał angażowanie tych sił obok siebie.

Mimo wynikających z tego zawodów i komplikacji Hitler już nie mógł zrezygnować z udziału sojuszniczych de nomine a satelickich de facto sił zbrojnych. Zwłaszcza, że „generał Mróz" zadał niemieckim oddziałom ciężkie straty a planowano dojście w 1942 roku do Uralu. Toteż, wykorzystując próżność Mussoliniego i rumuńsko-węgierską rywalizację o Siedmiogród, Niemcy wymogli ponowne zwiększenie rumuńskiego, węgierskiego i włoskiego sukursu. W rezultacie w drugiej fazie niemieckiej ofensywy na południowym odcinku frontu uczestniczyło 18 dywizji rumuńskich, podzielonych na 3 armie, 9 dywizji węgierskich wchodzących przeważnie w skład. 2. armii, oraz 8 dywizji włoskich. Ta masa 35 janczarskich dywizji, stanowiąca obramowanie 6. armii niemieckiej po obu stronach Stalingradu, załamała się jak domek z kart pod obcęgowymi uderzeniami sowieckiej kontrofensywy i została niemal całkowicie zniszczona — z wyjątkiem 8 dywizji rumuńskich, które wydostały się na Kubań. Szczątki pozostałych dywizji wycofano do ich krajów ojczystych. Jedynie kilka słabych brygad węgierskich i słowackich pozostało w etapach. Fińskie dywizje trzymały wprawdzie nadal swój rozległy front, ale marszałek Mannerheim nieodmiennie odmawiał ich użycia do odciążających uderzeń.

Rok 1943 raczej pogorszył sytuację na tym polu. Wojska fińskie zachowywały się nadal zupełnie biernie, co umożliwiło wyciągnięcie znacznych sił sowieckich na inne odcinki. Oddziały słowackie zostały tak podminowane panslawistyczną i komunistyczną propagandą, że Niemcy jedną dywizję rozbroili, a drugą użyli do budowy umocnień we Włoszech. Rumunii nie zdołali wysłać na front ani jednej dodatkowej dywizji, Węgrzy domagali się nawet wycofania ich brygad etapowych, a Włosi, zagrożeni bezpośrednio ofensywą aliancką, oczywiście nie mogli już frontu wschodniego „zasilać". Mało tego, między Niemcami a ich coraz oporniejszymi „sojusznikami" tarcia zaostrzały się z każdym miesiącem.

Na wiosnę 1944 wyszło wprawdzie 11 pospiesznie odtworzonych dywizji rumuńskich na front besarabski, ale równocześnie przepadło 7 rumuńskich dywizji na Krymie. Na Węgrzech odtworzono trzy słabe „armie" ale ich zaangażowanie na froncie rumuńskim nie było możliwe. Front ten załamał się zresztą już w sierpniu tym raptowniej, że po obaleniu proniemieckiego rządu marszałka Antonescu Rumunia wypowiedziała Niemcom wojnę i w rezultacie te dywizje rumuńskie, które z pogromu uszły, podjęły walkę po stronie armii czerwonych. Również oddziały słowackie przeważnie dołączyły do przeciwniemieckiego powstania lub się rozleciały, a dzielna armia fińska nie tylko zaprzestała walki po zawarciu zawieszenia broni 4. września, ale nawet uderzyła na niemieckie wojska gen. Falkenhorsta, wycofujące się zbyt wolno z Finlandii do Norwegii.

Tak więc jedynie części sił węgierskich (1 armia i 1 korpus) walczyły ramię w ramię z Niemcami do końca. Oczywiście nie z sympatii dla Hitlera czy Niemców, lecz jedynie celem obrony Węgier przed czerwonym potopem. Niemców żołnierz węgierski tym bardziej nienawidził, że usunęli oni w październiku regenta Horthy'ego i ustanowili nilaszowski, tzw. faszystowski, rząd Szalasi'ego.

Tak więc ta okresami liczebnie okazała pomoc hitlerowskich trabantów, w swej masie ani ideologicznie ani rasowo z Niemcami niezwiązanych, per saldo ich klęskę raczej przyspieszyła i pogłębiła. Nie mogło być inaczej. Wszak została bądź szantażem wymuszona, bądź wyłącznie dla celów niemieckich nadużyta.

Toteż, gdy pod koniec 1942 roku ostateczna klęska Niemiec stała się nieunikniona, niemal wszystkie rządy tych do współdziałania zmuszonych państw próbowały ratować się przed katastrofą szukaniem kontaktów z mocarstwami zachodnimi. Jeśli mimo to ich armie, z wyjątkiem włoskiej, walczyły po stronie niemieckiej aż do września 1944, to tylko dlatego, że wojska anglosaskie, francuskie i polskie były daleko i że z drugiej strony zależność od Niemców była niemal tak samo całkowita, jak powszechna i uzasadniona była obawa przed skutkami kapitulacji, t.z. przed niewolą osobistą i komunistycznym zalewem ojczyzny.

Z tego potrzasku wydostały się, jak wiadomo, jedynie Finlandia i Włochy. Pozostali b. satelici Niemiec podzielili tragiczny los Polski, która odmówiła udziału w hitlerowskiej „krucjacie" i nie dała się zaprząc do jego zbójnickiego rydwanu.

Ich od 1942 roku przeważnie miękka postawa i ostateczne pójście śladami Sasów, Prusaków, Austriaków i Bawarów z 1813 roku powinno być ostrzeżeniem dla twórców i stróżów Paktu Warszawskiego, opartego również na złudzeniu, że można wykrzesać przymusem i propagandową obróbką lojalność i ofiarność z ujarzmionych narodów, pragnących wolności, i nienawidzących narzuconego systemu. Powinna być ostrzeżeniem tym bardziej, że satelitów Hitlera łączyła z nim przynajmniej wrogość do komunizmu i — w dwu wypadkach — chęć odwetu za rok 1940, gdy satelici Kremla, jak mówi dowcip krajowy, nienawidzą Amerykę jedynie dlatego, że ich jeszcze z rąk tego „oswobodziciela" nie wyzwoliła.

Tylko w dwu wypadkach mógłby Kreml polegać na swoich satelitach:

1) gdyby siły niemieckie zostały tak rozbudowane i unowocześnione, że groziłoby powtórzenie koszmarnej okupacji niemieckiej z okresu 1939—1945,

2) gdyby ewentualny konflikt zbrojny między obu blokami rozgrywał się głównie w formie wymiany straszliwych ciosów na wielkie odległości, niszczących bezlitośnie ziemie ujarzmionych narodów

DOKTORZY „SAPEROLOGII I CZOŁGÓW"

W warszawskim „Dzienniku Ustaw" ukazało się „Rozporządzenie Rady Ministrów", w sprawie uprawnień akademii wojskowych w zakresie nadawania stopni naukowych.

Wkrótce więc będziemy czytali o „doktorach saperologii", „doktorach karabinów maszynowych" i „doktorach czołgów"... Jak wiadomo, po wojnie komuniści wyznawali zasadę „nie matura lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera" i masowo mianowali oficerami różnych „zasłużonych" towarzyszy, którzy nie mieli ukończonej szkoły powszechnej. Wśród nich nie brak było pułkowników i generałów. Ta sielanka trwała szereg lat. Potem zaczęto podnosić wymagania przy przyjmowaniu do szkół wojskowych militaryzującego się coraz bardziej państwa ludowego.

DOKUMENTY CHWILI

Wyszedł spod prasy ZESZYT II. • 356 stron druku.

Zawiera 16 dokumentów, nieodzownych dla zrozumienia obecnej fazy w konflikcie, który rozsadza międzynarodowy ruch komunistyczny. Dokumentacja sowiecka, chińska, albańska i jugosłowiańska. Wstęp pt. „Koniec monolitu" pióra Adama CIOŁKOSZA.

Cena 22 sh., 15 NF, 3 dol. Wysyłają „GRYF" PUBLICATIONS LTD., 171, Battersea Church Road, LONDON, S.W.11 — po otrzymaniu należności.

KRONIKA WOJSKOWA

FRANCJA. Od lutego nie zaszły poważniejsze zmiany w francuskiej polityce zbrojeniowej. Natomiast współpraca Francj z NATO jeszcze bardziej się rozluźniła. Znamiennymi przejawami tej rosnącej „samodzielności" Francji były ostatnio: z jednej strony sprzeciwianie się interwencji NATO na Cyprze oraz lansowanie „neutralizacji" nie tylko Wietnamu, ale także Formozy, a z drugiej strony wyjęcie także atlantyckiej floty francuskiej spod rozkazów dowództwa atlantyckiego, wycofanie oficerów łącznikowych francuskiej marynarki wojennej z różnych morskich dowództw NATO oraz bojkotowanie amerykańsko - niemieckiej koncepcji stworzenia rakietowej floty nawodnej o mieszanych załogach okrętów.

Wszystkie te pociągnięcia gen. de Gaulle nie oznaczają oczywiście, że zmierza on do wycofania się z NATO czy też do storpedowania tej organizacji. Oznaczają jedynie, że chce on przy pomocy tych nacisków przeforsować reorganizację jej kierownictwa w sensie zwiększenia wpływu Francji kosztem supremacji Ameryki. Rzecz jasna, że nie stosowałby tej taktyki, osłabiającej NATO przynajmniej przejściowo, gdyby nie był przekonany, że odstraszak amerykański chroni Francję przed komunistyczną napaścią.

To poczucie bezpieczeństwa, opartego narazie jedynie na potędze militarnej Ameryki, pozwala mu również na forsowanie francuskiej „force de frappe" kosztem sił konwencjonalnych Francji i pośrednio NATO.

Tworzenie niezależnego, francuskiego odstraszaka atomowego postępuje dzięki temu naprzód, ale napotyka na trudności i w rezultacie nie rychło da Francji upragnione przez gen. de Gaulle atuty polityczne i strategiczne. Nawet I. generacja owej „force de frappe", która — podług oceny Mocha, pochłonie 12 do 15 miliardów franków i składać się będzie tylko z bombowców ponaddźwiękowych i 250 bomb atomowych, będzie dopiero za całe dwa lata gotowa, bo seryjna produkcja tych broni rozpoczęła się zaledwie przed rokiem, a amerykańskie stratocysterny „KC-135 niezbyt szybko nadejdą.

•

Czy starczy pieniędzy na pełne zrealizowanie planowanej II. generacji „force de frappe", która ma się składać z 3 atomowych okrętów podwodnych z rakietami o zasięgu 3.000 klm. oraz z nieujawnionej ilości bomb wodorowych oraz rakiet atomowych, bynajmniej nie jest pewne. Zwłaszcza, że już tegoroczny preliminarz budżetowy wykazuje niedobór 4 miliardów franków, choć wydatki na „odstraszak" są jeszcze skromne. Tak czy inaczej ta II. generacja francuskich broni niekonwencjonalnych może powstać dopiero w latach 1970—1972. Wszak doświadczenia wodorowe na Pacyfiku mogą być przeprowadzone najwcześniej za dwa lata, wszak dopiero zwodowano doświadczalny okręt podwodny „Q-251 —Gymnote" o napędzie dieslowskim, z którego mają być wystrzeliwane owe dwustopniowe rakiety typu „Polaris", wszak dopiero przystępuje się do budowy francuskiego „Canaveral" w departamencie Landes oraz stacji pomiarowo-obserwacyjnej na Azorach i wszak budowa atomowych okrętów podwodnych potrwa długo i może napotkać na różne przeszkody techniczne.

•

Wzrastające z każdym rokiem wydatki na „force de frappe" zmuszają Francję do redukcji jej sił konwencjonalnych tym bardziej, że 54 procent tegorocznych kredytów resortu obrony pochłania ich utrzymanie, choć ich stan liczebny zmniejsza się do 652.000 wojskowych i 157.000 pracowników cywilnych. Wobec przewidzianej dalszej redukcji wojska i zrezygnowania z masowej mobilizacji rezerw à la rok 1939 kiedy to powołano pod broń ponad 4 miliony rezerwistów, ulegnie w ciągu najbliższych 3 lat zmniejszeniu także korpus oficerski wojska i to o 4.000, t.z. do około 24.000. Zgodnie z tym zmniejszono również dopływ narybku oficerskiego. Gdy jeszcze w roku 1961 ukończyło St. Cyr i inne podchorążówki około 500 podporuczników, to w roku 1962 wyprodukowano ich już tylko 356 a w ubiegłym roku jeszcze mniej. Za to tegoroczny preliminarz budżetowy przewiduje jeszcze 360 etatów generalskich i admiralskich, w tym 215 dla wojska.

Dalszym następstwem redukcji sił konwencjonalnych jest naturalnie także przestawianie się szeregu wytwórni sprzętu wojskowego i amunicji na produkcję cywilną.

Siły morskie i powietrzne nie ulegają tak znacznym obcięciom i będą nadal unowocześniane. Dla marynarki wojennej buduje się coprawda tylko 2 (zamiast pierwotnie planowanych 3) fregaty uzbrojone w rakiety, ale lotnictwo morskie, które ma około 270 samolotów i helikopterów, otrzymuje nowszy sprzęt.

Jeśli idzie o lotnictwo lądowe, to, niezależnie od bombowców „Mirage IV" o zasięgu 2.500 klm. względnie 4.800 klm. w razie dopełniania paliwa w powietrzu, na uzbrojenie wchodzą nowe wersje myśliwców bombowych „Mirage—III" oraz helikoptery „Alouette III" i „Frelon". Ponadto zamówiono jako 1. serię 20 transportowców „Transall", z których połowę otrzyma „Luftwaffe", i kontynuuje przygotowania prototypów „Breguet—941", „Alouette IV" oraz myśliwców „Mirage E" i pionowo startującego „Balsac", choć jego pierwowzór się rozbił.

Na Saharze przeprowadzono w lutym 9 doświadczeń z rakietami „Centaure" i „Dragon" — wspólnie z niemiecką „Max Planck Gesellschaft". Za to likwiduje się urządzenia do nadziemnych doświadczeń atomowych koło Regane. W przyszłości odbywać się tam będą jedynie doświadczenia podziemne.

Kage

PPS—„Jedność Robotnicza" Zebranie w Rugeley

W dniu 9 maja br. odbyło się w polskim klubie robotniczym „Orzeł Biały" w miejscowości Rugeley, hrabstwo Stafford, uroczyste zebranie koła PPS „Jedność Robotnicza" poświęcone świętu robotniczemu 1 maja. Zagaił i przewodniczył zebraniu p. Stanisław Czech, przewodniczący lokalnego Koła PPS. Krótki referat o symbolice i znaczeniu święta dla polskigo świata pracy wygłosił p. Mikołaj Jarocki z sąsiedniego okręgu górniczego Cannock. Zasadniczy referat wygłosił p. Janusz Zawadzki z Londynu. Mówca szczególnie podkreślił, że naczelnym zadaniem socjalizmu polskiego w obecnej dobie jest nieustępliwa i bezkompromisowa walka z dyktaturą komunistyczną i imperializmem sowieckim. trzymającym Polskę w żelaznych kleszczach ucisku politycznego i wyzysku gospodarczego. Walkę tą socjaliści polscy na obczyźnie prowadzą w imię przyszłości polskiego socjalizmu niepodległościowego i demokratycznego. Omówił także konieczność zespolenia rozproszkowanych sił w ruchu socjalistycznym w zjednoczonej organizacji której celem jest Polska niepodległa, demokratyczna i socjalistyczna. Po zakończeniu zebrania odbyło się w klubie przyjęcie dla gości i członków koła w miłej i przyjacielskiej atmosferze.

Zgromadzeni górnicy i robotnicy uchwalili przez aklamację rezolucję następującej treści:

„Robotnicy polscy, zgromadzeni w Rugeley na zebraniu zwołanym celem uczczenia Święta Robotniczego, pozdrawiają jak najserdeczniej klasę robotniczą w Polsce i zapewniają ją, iż nie ustaną w walce przeciwko dyktaturze komunistycznej i imperializmowi sowieckiemu, o zwycięstwo socjalizmu niepodległościowego i demokratycznego;

pozdrawiają klasę robotniczą i masy pracujące całego świata, walczące o wyzwolenie społeczne i narodowe, o przyszłość wolną od zmory dyktatur i wojen, od wszelkiego ucisku i wyzysku;

wyrażają swe zadowolenie i radość z dokonującego się zjednoczenia sił Centralnego Komitetu Odbudowy PPS oraz Polskiej Partii Socjalistyiznej „Jedność Robotnicza" i witaja serdecznie konferencję połączeniową polskich organizacji socjalistycznych na obczyźnie, życząc jej pomyślnych wyników obrad.

Precz z dyktaturą komunistyczną, precz z imperializmem sowieckim!

Niech żyje Polska wolna, niepodległa i demokratyczna!

Niech żyje Polska Partia Socjalistyczna!"

Czytaj polską książkę

EUGENIUSZ HINTERHOFF

WYZNANIA SZPIEGOWSKIE

W POWODZI publikacji, jakie ukazały się w ciągu ostatnich lat na temat szpiegostwa, jak np. książka Allen Dulles'a, szefa amerykańskiego wywiadu oraz Sancho de Gramont: „The Secret war", wydana niedawno książka płka P. Monata, b. attaché wojskowego ambasady reżimowej w Waszyngtonie, pt. *Spy in the U.S.**) jest przynajmniej dla czytelnika polskiego — lekturą najbardziej interesującą: książka ta może być szczególnie fascynującą dla tych, którzy pracowali albo w wywiadzie albo na placówkach dyplomatycznych lub nawet „ocierali" się kiedykolwiek o tak zwaną „dwójkę".

Dla mnie książka Monata jest szczególnie fascynującą. Dała mi możność porównania niesłychanego ubóstwa środków, jakimi dysponował przed czterdziestu laty wywiad polski z nowoczesnym luksusem technicznym, będącym w dyspozycji obecnego aparatu wywiadowczego.

A jednak pomimo niejednokrotnie prymitywnych środków zdobywania informacji, wywiad polski był w stanie formułować wnioski, które — w razie ich należytej oceny — mogły stanowić podstawę do decyzji, zmieniającej przebieg kampanii. Pracując od stycznia 1920 w tzw. sekcji wojskowo-dyplomatycznej w referacie sowieckim i mając za zadanie prowadzenie na mapie sytuacji sowieckiej na froncie, zacząłem sobie zdawać sprawę, na podstawie niezmiernie fragmentarycznych elementów, że Sowiety przygotowują w rejonie Połocka i Witebska większą koncentrację wojskową z zamiarem użycia jej dla ofensywy w kierunku południowym: jednocześnie stawało się dla mnie jasnym, że, poza słabą zasłoną, na kierunku kijowskim, nie było właściwie większych zgrupowań sowieckich; nadto na podstawie informacji, dochodzących do nas drogą okólną, wyglądało, że wielka armia konna Budiennego, która przyczyniła się przed paru miesiącami do klęski Wrangla z rejonu Krymu, ciągnie marszami w kierunku frontu polskiego.

Pamiętam, jak w ten właśnie sposób zreferowałem całą sytuację na froncie Naczelnikowi Państwa, Piłsudskiemu, kiedy zostałem zawezwany gdzieś w połowie lutego do gabinetu ówczesnego Szefa Sztabu, generała Rozwadowskiego. Piłsudskiemu towarzyszył major Matuszewski, ówczesny szef biura wywiadowczego, czyli innej sekcji w Oddziale II, cieszącej się dość wielką autonomią. Chociaż z Matuszewskim łączyły mnie więzy przyjaźni osobistej, skrytykował moje wnioski, bagatelizując zwłaszcza obawy co do przewidzianej przez mnie ofensywy sowieckiej na północy.

Wiele lat później, kiedy już tylko przypadkowo „ocierałem" się o wywiad polski, byłem świadkiem jak nadmierne przywiązywanie wagi do błędnego raportu wywiadu polskiego znieczuliło uwagę polskich władz wojskowych na niebezpieczeństwo ze strony niemieckiej broni pancernej. Gdy byłem korespondentem PAT-a we Wiedniu podczas „Anschlusu" Austrii, w marcu 1938, pojechałem autem w kierunku granicy niemieckiej — auto prowadził kierownik polskiego wywiadu we Wiedniu, zamaskowany jako radca poselstwa. Ponieważ oddziały niemieckie wkroczyły już do Wiednia przed paru godzinami i sam „Anschluss" był już faktem dokonanym, dalsze zasilanie wojsk niemieckich, które wkroczyły do stolicy Austrii i przygotowywały się do wielkiej parady na dzień następny; przestawało już nosić charakter operacji wojskowej. Czołgi i auta pancerne pędziły po prostu na łeb na szyję w kierunku Wiednia, witane owacyjnie przez tłumy Austriaków, wrzeszczących „Sieg heil". Było to coś w rodzaju zmotoryzowanego kuligu albo jakiegoś Monte-Carlo rally. Rzecz jasna, że przy tego rodzaju tempie nie było mowy o jakiejkolwiek dyscyplinie ruchu, a ponadto było rzeczą nieuniknioną, że parę wozów pancernych leżało w rowach lub dokonywało reperacji. W wyniku tej wyprawy dotarł do Warszawy raport, opisujący chaos, jaki panował podczas posuwania się niemieckich oddziałów pancernych w kierunku Wiednia oraz rzekomo wielką ilość wozów, jakie doznały uszkodzeń. Konkluzje, jakie nasuwały się z tego raportu, były takie, że wartość niemieckich oddziałów pancernych nie jest zbyt wysoka. Kiedy przyjechałem do Warszawy w parę miesięcy po Anschluss'ie, słyszałem tę bajeczkę w różnych tonacjach co najmniej kilkanaście razy.

W konsekwencji dla mnie więc a nie wątpię, że i dla bardzo wielu czytelników „Orła Białego", którzy mają w swojej pamięci podobne epizody, książka płka Monata może być lekturą fascynującą, tym bardziej, że da im ona możność zapoznania się z niezwykle wysokim poziomem — pod względem technicznym — obecnego wywiadu warszawskiego, pracującego, niestety, dla wywiadu sowieckiego.

Płk. Monat opisuje, jak cały aparat wywiadowczy wszystkich krajów satelickich podporządkowany jest całkowicie instrukcjom wywiadu sowieckiego, jak w każdej stolicy Zachodu sowiecki attaché wojskowy jest de facto szefem wszysatkich attachés wojskowych z krajów Europy Wschodniej. Opisuje on, jak cały materiał, który napływa w olbrzymich ilościach ze wszystkich zakątków świata do Moskwy, analizowany jest przez pięć tysięcy ekspertów w specjalnym budynku, mieszczącym się niedaleko Kremla, „Gławnoje Razwiedowatelnoje Uprawlenie".

Szczególnie interesującym jest — dla czytelnika polskiego — opis przejmowania przez świeżo mianowanego marszałkiem polskim Rokossowskiego w roku 1949 obowiązków ministra wojny od ówczesnego ministra, jakim był marszałek Rola-Żymierski. Monat opisuje, jak oddziałom wojskowym odebrana została amunicja ostra a benzyna w eskadrach lotniczych została zamknięta pod klucz. Opisuje wreszcie „czystkę", jaka została dokonana przez Rokossowskiego na wszystkich szczeblach dowodzenia oraz w sztabie, nie wyłączając całego aparatu wywiadowczego.

Opis wszystkich tych wydarzeń jest już chociażby dlatego niezmiernie interesujący, że pochodzi od oficera wyższej szarży: Monat przeszedł służbę w czasie wojny w dywizji Berlinga, gdzie brał nawet udział w desancie dokonanym przez batalion z dywizji Berlinga podczas Powstania Warszawskiego na lewym brzegu Wisły. W r. 1947 wyróżniony był przydziałem do nowo utworzonej Wyższej Szkoły Wojennej, a już w r. 1950 powołany został na specjalny kurs wywiadowczy, mieszczący się, nota bene, w byłej willi Piłsudskiego w Sulejówku, skąd został wysłany na stanowisko attaché wojskowego w Waszyngtonie.

Interesującym jest opis pierwszego zatargu jaki miał Monat z władzami sowieckimi, które traktowały go, ze względu na to że urodził się on w Stanisławowie, jako obywatela sowieckiego, „odkomenderowanego czasowo do armii polskiej". Z największym trudem udało mu się uzyskać prawo traktowania go jako obywatela polskiego. Pomimo całej swojej polskości Monat podkreśla na wielu stronach swojej książki, że był od wielu lat szczerym komunistą i jako taki wierzył w ostateczne zwycięstwo komunizmu, jak również w to, że osiągnięte ono zostanie pod kierownictwem Związku Sowieckiego, dla którego odczuwał kompletną lojalność. Pewne powątpiewania co do słuszności swoich przekonań zaczynają zarysowywać się u niego gdzieś po wypadkach październikowych w Polsce, a zwłaszcza po powstaniu na Węgrzech, które wstrząsnęło nim poważnie. Tym niemniej największe wrażenia zrobił na nim jego pobyt w Północnej Korei w charakterze attaché wojskowego przy rządzie koreańskim, gdzie miał możność obserwowania całego cynizmu i dwulicowości Rosjan, traktujących wojnę jako teren doświadczalny a lekceważących zupełnie cierpienia bezbronnej ludności. Tam właśnie zrodził się w mózgu Monata pierwszy impuls do przejścia na stronę Zachodu.

Większą część książki poświęca Monat opisowi swojej działalności na terenie Stanów Zjednoczonych, gdzie, pomimo że każdy jego krok był śledzony przez niestrudzonych agentów F.B.I., miał on niezmiernie łatwe pole do działania. Opisuje, jak bez trudu był w stanie przenikać do Pentagonu oraz zdobywać przeróżne wiadomości natury wojskowej, po prostu czytając debaty w Kongresie i Senacie lub prasę fachową, zwłaszcza publikacje lotnicze, zawierające kopalnię wiadomości lub też wdając się w rozmowy z przypadkowo napotykanymi ludźmi.

Podczas mojego pobytu w Waszyngtonie w ub. roku byłem wprost zdumiony z jaką łatwością każdy może wejść do Pentagonu. Nie potrzeba żadnych przepustek i można chodzić godzinami po wielomilowych korytarzach, lub też spożywać lunch w olbrzymiej restauracji, przysłuchując się skrawkom rozmów przy każdym stoliku. Zdumiony byłem — podobnie jak i Monat — wylewnością Amerykanów w ich rozmowach i gotowością opowiadania szczegółów swojej pracy, nawet kiedy dotyczyła ona ważnych wynalazków natury wojskowej. Monat opisuje również, z jaką łatwością można zdobywać wiadomość natury fachowej z prasy amerykańskiej. Nawet sam marszałek Montgomery podczas niedawnej debaty w Izbie Lordów oświadczył, że jeżeli kto chce się zorientować w organizacji amerykańskich sił zbrojnych, powinien zaprenumerować „New York Times".

Pamiętam, jak sam byłem zdumiony podczas oprowadzania małej grupy amerykańskich dziannikarzy po różnych wyrzutniach rakietowych na Cape Canaveral i jak jeden z nich wykazał tak encyklopedyczną znajomość wszystkich rakiet typu wojskowego, jak właściwości balistyczne, itd., że zaniepokoił się wyższy oficer, obecny przy tych rozmowach.

Szczególnie interesujące są rozdziały książki opisujące pobyt Monata w Korei, gdzie mógł się zapoznać z wartością żołnierza chińsknego. Uderzyła go troska Chińczyków o zachowanie w tajemnicy ich udziału w wojnie po stronie Północnej Korei, pomimo że ponad milion żołnierzy chińskich walczyło na południe od rzeki Yalu.

Monat wyjaśnia, że Chińczycy bali się otwartego konfliktu ze Stanami a przede wszystkim bombardowania ich miast przez lotnictwo amerykańskie. Z powyższych wywodów Monata, nie można oprzeć się wrażeniu, że MacArthur miał rację, nalegając na bombardowanie lotnisk chińskich, położonych na wschód od rzeki Yalu, ryzykując nawet rozszerzenie się konfliktu, czego Chiny chciałyby uniknąć za wszelką cenę.

Najciekawszą część książki — właśnie dla czytelnika polskiego — stanowią ostatnie jej rozdziały, w których autor uchyla kurtyny tajemnicy otaczającej strukturę Paktu Warszawskiego, jego strategię oraz analizuje postawę oddziałów satelickich w razie wojny.

Jest to właściwie pierwszy autentyczny opis Paktu Warszawskiego, w dodatku pióra osoby tak miarodajnej, jak płk. Monat, który miał dostęp do największych tajemnic wojskowych. Nie bez powodu też został skazany wyrokiem sądu wojskowego w Warszawie na karę śmierci...

Monat opisuje Pakt Warszawski jako jedne wielkie oszustwo... i ostrzega przed próbą porównywania go z NATO. W myśl planów operacyjnych Paktu Warszawskiego oddziały polskie i czeskie będą prowadziły natarcie przez Berlin — w ogólnym kierunku na Ren, podczas gdy na froncie południowym podobny manewr, również, w ogólnym kierunku na Ren, byłby prowadzony przez wojska węgierskie i rumuńskie. Przy wykonywaniu tego rodzaju manewru w formie kleszczy podwójnych, oddziały satelickie będą ściśle obramowane na skrzydłach oraz z tyłu przez oddziały sowieckie. Jakakolwiek próba przejścia na drugą stronę staje się tym samym zadaniem niezmiernie trudnym. Oddziały satelickie będą po prostu wprzągnięte w lawinę sowiecką, która ma zalać Europę. W myśl tych planów ofensywa w Europie ma być skoordynowana z uderzeniem sowieckim na Szwecję, gdyż — według poglądów Naczelnego Dowództwa Sowieckiego — Szwecja (w razie wojny) nie będzie mogła pozostać neutralną. W konsekwencji jej zlikwidowanie może być po prostu niezbędne, aby nie dopuścić, by stała się bazą wypadową Zachodu dla działań przeciwko Sowietom.

Dla mnie szczególnie interesująca była wzmianka, że według tych planów jednostki morskie polskie będą miały za zadanie zdobycie wyspy Bornholm i niedopuszczenia, aby została ona zajęta przez Zachód. Podczas mojej podróży po krajach skandynawskich wiosną ub. roku zapytałem w Ministerstwie Obrony w Kopenhadze, dlaczego właściwie wyspa Bornholm nie została zamienioną w potężny bastion obronny, który mógłby być czymś w rodzaju Kuby na Bałtyku. Taki bastoin mógłby, w razie wojny, poważnie zahamować plany sowieckie przedarcia się przez przesmyki duńskie na Morze Północne. Pytanie moje wywołało pewien niepokój, gdyż okazało się, że wyspa Bornholm nie jest objęta planowaniem NATO. Gdy zapytałem, czy mógłbym tam polecieć, odpowiedziano, że wprawdzie nie można mi tego zabronić, ale właśnie tego dnia odbywają się tam ćwiczenia i komendant garnizonu nie będzie mi mógł poświęcić czasu. Dodajmy, że tego dnia wszystkie bilety na samolot zostały już wykupione. Wyjaśniło się także, że cały garnizon Bornholmu składa się z paru kompanii i że Duńczycy obawiają się, iż jakiekolwiek próby wzmacniania Bornholmu byłyby uznane przez Sowiety jako prowokacja.

Płk Monat konkluduje, że pomimo niechęci odczuwanej przez całe społeczeństwo w stosunku do Sowietów oraz do komunizmu, naród polski jeszcze bardziej obawia się i nienawidzi Niemców. Aczkolwiek Monat powiątpiewa, by Zachód kiedykolwiek dokonał agresji, tym niemniej sama myśl o tym rzuci wszystkich, i nawet największych wrogów komunizmu, w objęcia sowieckie. Jest to tragiczne streszczenie geopolitycznej sytuacji Polski, którą powinni mieć na uwadze ci, którzy usiłują doprowadzić do „dialogu" z Niemcami, w którym sprawa granicy postawiona byłaby gdzieś na szarym końcu — jako kłopotliwe obciążenie.

*) „Spy in the U.S.",.. — by Paweł Monat, Frederic Miller Ltd., London, 1964.

Obchody święta narodowego w Szkocji

Tradycyjnym już zwyczajem obchód święta narodowego w Edynburgu zorganizowała Rada Stowarzyszeń Polskich przy współudziale Klubu Młodzieży Polskiej i Związku Polek.

W godzinach porannych zostało odprawione uroczyste nabożeństwo w kościele polskim przez ks. prałata L. Bombasa, a po południu odbyła się Akademia Trzeciomajowa; sala Domu Inwalidy, zresztą dosyć obszerna, nie mogła pomieścić publiczności polskiej i szkockiej. Okolicznościowe przemówienie po polsku wygłosił prezes Rady Stowarzyszeń dr B. Śliżyński, a dla gości szkockich po angielsku prezes Klubu Młodzieży Polskiej p. Ewa Gruszecka. W części koncertowej wzięli udział: p. Hanna Smolkówna — recytacje, p. Krysia Gruszecka — fortepian i p. Adam Smolka — recytacje po angielsku. Największą atrakcją programu był jednak Chór Związku Polek, który w pełnym składzie wystąpił w strojach narodowych — kurpiowskim, łowickim, śląskim i krakowskim. Mieszanina strojów i barw piękny sprawiała widok. Już samo ukazanie się tego barwnego zespołu powitano burzliwymi oklaskami. Chór wykonał szereg pieśni polskich bardzo starannie opracowanych i przygotowanych przez dyrygenta chóru, p. Adama Bukowskiego.

Udział w części koncertowej akademii pani D. Terleckiej zasługuje na specjalne podkreślenie. Jest to śpiewaczka o dobrze postawionym, pięknym głosie. Każdy jej występ kończy się dla niej pełnym sukcesem. Szkoda tylko, że tak rzadko daje się słyszeć.

Obchód święta narodowego w Falkirk został zorganizowany przy wydatnej pomocy Polonii edynburskiej; przybyły z Edynburga p. T. Ziarski, wygłosił do licznie zgromadzonych Polaków i Szkotów okolicznościowe przemówienie po polsku i po angielsku. Główną atrakcją części koncertowej akademii był edynburski Chór „Echo", owacyjnie przyjmowany przez publiczność. Lokalne siły artystyczne reprezentował świetny akordeonista, p. Stefan Pawlak oraz deklamator p. Bolesław Krawczyk. Po akademii Komitet Organizacyjny obchodu podejmował wszystkich obecnych tradycyjną herbatką. *S. B.*

PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI
PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO
HASKOBA LTD
121, EARLS COURT ROAD, LONDON. S.W.5. FRE 7888
PACZKI WOLNE OD CŁA

C. DOBEK

NA HERBATKĘ JEST ZAWSZE CZAS

Mój przyjaciel, Wacio R. ma dom i jak wszyscy w Londynie polscy właściciele domów wynajmuje pokoje, aby związać koniec z końcem. Naturalnie pilnie uważa komu wynajmuje i nie wpuszcza byle kogo do swego domu. Jednak czasem wpadnie.

Jego lokator, Turek, student imieniem Ahmed Mohamet Jessari, miły w obejściu, piękny na oko, młody mężczyzna z ogromnymi czarnymi wąsami okazał się człowiekiem absolutnie bez moralności.

Po prostu sprowadzał do swego pokoju przedstawicielki płci pięknej, wcale nie dbając o to co powiedzą właściciele domu i inni lokatorzy.

Pan Wacio R. dawno miał wymówić Ahmedowi, ale żal mu było miłego Turka. Wreszcie miarka się przebrała.

Pewnego wieczoru bardzo późno pani Waciowa wybrała się po ciemku do łazienki po szklankę wody. Otworzyła drzwi i zapaliła światło. I zdrętwiała z przeażenia: w wannie spał zawinięty w płaszcz mężczyzna.

— Waciu! Waciu! — wołała wpadając do sypialni i budząc męża — Ratuj. Ratuj. Bandyta!

— Gdzie? — zerwał się dzielny Wacuś, porucznik broni pancernej z czasów wojny. — Jaki bandyta? Gdzie?

— W wannie.

Uzbrojony w pogrzebacz pan Wacio skoczył do łazienki. Bandyta spał spokojnie. Wtedy Wacio złapał za telefon i narkęciwszy trzy dziewiątki, sygnał alarmujący policję, wezwał pomocy władzy.

W ciągu kilku minut zjawili się policjanci z miejscowego posterunku. Sierżont po cywilnemu i dwóch dryblasów w mundurach. Energicznie wyłuskali bandytę z wanny i zapytali go grzecznie co znaczy jego podejrzane zachowanie.

— Nic — odpowiedział bandyta — spałem sobie. Zostałem do tego zaproszony przez gospodarza. Spotkaliśmy się na Piccadilli. On, ja i moja narzeczona, Lilli. Zaprosił nas tutaj i ponieważ nie wypadało, abyśmy wszyscy nocowali w jednym pokoju umieścił mnie w łazience. A Lili jest zdaje się na górze.

— Jak wygląda ten gsopodarz? — ryknął pan Wacio.

— Przyjemny — odpowiedział narzeczony panny Lili. — Uprzejmy pan z czarnymi wąsami. Bardzo się Lili podobał, chociaż widać, że cudzoziemiec.

— To Turek — krzyknął pan Wacio i wszyscy pobiegli na górę.

Rzeczywiście Lili była u Turka w pokoju. Wszystko się zgadzało. Policja przeprowadziła konferencję i wreszcie sierżant i jego dwaj koledzy zeszli na dół do czekających państwa R.

— Wszystko w porządku, panie R. — powiedział sierżant — może pan iść spać, nic państwu nie grozi.

— A oni? Proszę ich zabrać w tej sekundzie.

— Panie R. — wtrącił się drugi z policjantów — niech pan się nie denerwuje. Pozwól pan im wypić filiżankę herbatki. Wypiją i pójdą.

Opowiadając mi wczoraj swoją przygodę pan Wacio był traszliwie oburzony. Nie ma Turka, Ahmeda Mohameta Jessari, nie na Lili i jej narzeczonego, ale na policjantów. Dlaczego na policjantów?

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmożoną wydajnością w pracy!
Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych
KALEFLUID
Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania
Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

MONTE C

...A KREW ICH OFIARI

napisał Prymas Polski Ks. Kardynał Stefan Wys z okazji 20-lecia w

(Korespondencja włas

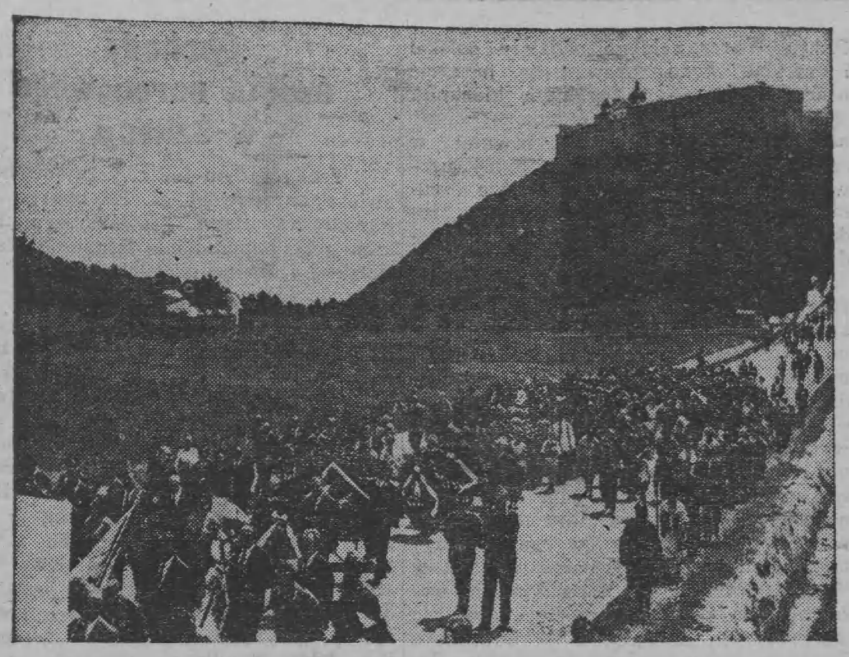

Fragment pochodu spod klasztoru Monte Cassino na cmentarz. W lewym rogu delegacja włoskich kombatantów ze sztandarem, nieco bliżej Beno Koller (Londyn) z wieńcem, w środku — delegacja miasta Cassino a za nią Stefan Kolańczyk — sekretarz generalny Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii z wieńcem Zarządu Zjednoczenia, następnie Zygmunt Szadkowski, przewodniczący ZHP — z wieńcem złożonym w imieniu Związku Harcerstwa Polskiego poza Granicami Kraju.

(Dokończenie ze str. 1)

daję, tę wojnę na ziemi włoskiej chętnie bym jeszcze raz powtórzył". Być może, lecz wówczas było się o dwadzieścia lat młodszym, a dziś i słońce (a towarzyszyła nam stale wspaniała pogoda) za mocno dokuczało, i nie zawsze chciało się chodzić na piechotę a gdy — jak to np. było pod Monte Cassino — nie było innego wyjścia, że tylko na własnych nogach należało się wspiąć na szczyt wzgórza 593 — to niejeden kombatant wolał zrezygnować, bo albo samochód nie dowiózłby na szczyt albo nogi nie doniosłyby tam także.

Wspinałem się jednak na ten szczyt z gen. Duchem, który w typowy dla siebie sposób opowiadał mi po drodze — robiąc zamaszyste ruchy ręką w powietrzu, że tam, — niech pan redaktor patrzy — tam były pozycje niemieckie, a tu..., ale o tym opowiem później. Nazbierało się bowiem materiału dla kronikarza nie mało. I sam nie wiem jak to wszystko spisać, kogo wymienić a kogo nie opuścić, nie pamiętam już bowiem kolejności uroczystości, kto składał wieniec i jaka delegacja otwierała pochód. I dlatego niech mi Czytelnicy wybaczą, jeśli nie będę się trzymał oficjalnego programu, ani przestrzegał dat ni godzin. Zresztą nie trzeba. Jakaż bowiem różnica między walkami pod czy o Bolonię, pod Ancona czy o Monte Cassino. I tu i tam na grobach tych składaliśmy czasami bukiety kwiatów, czasami wieńce a czasami tylko po gwoździku. W modlitwach jednakże naszych prosiliśmy Boga o spokój dla wszystkich żołnierzy i polskich dziewcząt, którym los kazał w mundurach spocząć na obcej ziemi. A tych kwiatów było dużo. Były biało-czerwone i były przepasane wstęgami złocistymi, na których wypisane były nazwy ofiarodawców — Dowódcy 2 Korpusu, kolegów dywizyjnych, i innych pomniejszych formacyj korpuśnych, i bratnich organizacji kombatanckich — polskich i włoskich, i organizacji społecznych, i wielu innych przyjaciół. Nie zabrakło także wieńca przedstawiciela wolnej Rzeczypospolitej, ambasadora R. P. przy Watykanie. I nigdy nie zabrakło serdecznej modlitwy...

Choć już tydzień minął od powrotu z Włoch sięgam stale myślą do tych uroczystości i przypominam sobie twarze nieznanych mi przedtem pielgrzymów kombatanckich, z których najmłodszy liczył coś około pięciu lat a najstarszy był bliżej osiemdziesiątki niż siedemdziesiątki a ci „średni" dochodzili lat pięćdziesiątych. A pochodzili ci pątnicy-żołnierze nie tylko z W. Brytanii, ale i z Kanady, ze Stanów Zjednoczonych, Australii, Argentyny, i z różnych krajów europejskich. A szli ci pątnicy kiedyś w mundurze polskiego żołnierza przez ziemię włoską... do Polski, choć los nie pozwolił dojść. I padały w czasie rozmów czy przemówień nazwy, które budziły najgorsze wspomnienia: Teheran i Jałta, Moskwa i Stalin... Nie zapomniano także o zdradzie sojuszników zachodnich... Zwiedziliśmy cztery cmentarze: Monte Cassino, Casamassima, Loreto i w Bolonii... One przecież były głównym celem naszej pielgrzymki... one właśnie wytyczały nam szlak... te cmentarze, tak troskliwie pielęgnowane przez polskie zakonnice, którym emigracja — jak zresztą i władze włoskie — dostarczają potrzebnych (lecz wciąż jeszcze nie wystarczających) środków pieniężnych na utrzymanie grobów (największe prace konserwacyjne muszą być z kolei przeprowadzone na cmentarzu bolońskim)... Te właśnie cmentarze, pokryte tysiącami krzyży, były dla tych, którym Bóg pozwolił po upływie dwudziestu lat raz jeszcze tu przybyć, raz jeszcze się pokłonić, raz jeszcze rzucić wiązankę kwiatów — zobowiązaniem, by kontynuować dzieło dawnych towarzyszy broni, którzy oddali życie...

Wróciliśmy do swych domów zmęczeni fizycznie trudami podróży. Ale wróciliśmy także wzmocnieni, jakby odrodzeni i spokojniejsi, że jeśli taka jest pamięć o tych, którzy przed dwudziestu laty ciało oddali ziemi włoskiej, lecz serca Polsce, to spełniliśmy wobec nich — w imieniu własnym i tych, którzy nie mogli wziąć udziału w tej pielgrzymce — skromny obowiązek koleżeński.

* * *

Przygotowania do pielgrzymki trwały od wielu tygodni a może nawet miesięcy. W Londynie i w Rzymie. W Wiecznym Mieście spoczywały one w rękach tamtejszego zarządu Komitetu na czele którego stał prezes Oddziału SPK Italia Witold Zahorski, w Londynie — w rękach zarządu SPK W. Brytania. Jak zdołałem się zorientować była to olbrzymia i — powiedzmy to także — niewdzięczna praca. Kierownictwo wycieczki oddane zostało sekretarzowi Oddziału SPK Tadeuszowi Krasoniowi, który w ostatnich dniach siedział nawet po nocach by załatwiać tysiące formalności, o których można by wypisywać tomy całe.

Gdy rozpoczęła się pielgrzymka, dołączyli do kierownictwa Zygmunt Szadkowski i Ryszard Zakrzewski i ta trójca decydowała o przedziałach w pociągu, o pokojach w hotelu, o miejscach przy stole, o pobudce, o „tipsach", które trzeba było płacić na każdym kroku i za każdą przysługę. Z hotelarzami musieli się targować o ceny, z kolejarzami o wagony a o wszystkim musieli być zawsze najlepiej i najdokładniej poinformowani. Gdy znużeni trudami całodziennymi pielgrzymi w najlepsze spali, ta trójka kierownicza wysiadała jeszcze daleko po północy, by przeprowadzić ostatnie obliczenia, by nikogo nie skrzywdzić, ale i samemu nie dopłacić, bo i to raz po raz groziło. Jakimże skomplikowanym problemem np. było zakupienie biletów do teatru w Rzymie na „Cyganerię", a jeszcze większym chyba przydział pokojów. Bo nie każda pani chciała spać w tym samym pokoju z przypadkowo przydzieloną na jedną noc towarzyszką podróży. To samo było z panami. Jakież wtedy nie składano skargi do rąk Krasonia! Albo sławna scena na dworcu bolońskim, gdy bagażowi zwieźli pielgrzymom walizki na peron, lecz nikt nie kwapił się by zapłacić portierowi za słuszną przysługę. Wobec tego portierzy „napadli" na jednego z „capo" (jak po włosku nazywano kierowników wycieczki), żądając od niego najniesłuszniej w świecie zapłaty. „Capo" Zakrzewski okazał wtedy wiele włoskiego temperamentu i odwagi... Byli pielgrzymi, którzy byli zawsze ze wszystkiego zadowoleni, ale byli i inni... Pielgrzymom wolno było gubić walizki i klucze i dokumenty, „capo" musieli je natychmiast odnajdywać. Przyglądałem się tym kłopotom z bliska. I nie zazdrościłem.

Ale im bliżej było Londynu tym jakoś wszystko szło sprawniej, jakoś mniej było wzajemnych ansów, poprawiały się humory, wzrastało wzajemne zaufanie i życzliwość. Gdy wreszcie wylądowano na dworcu Victoria w Londynie, gdy pozostały już tylko wspomnienia i głębokie przeżycia radość była powszechna a pod adresem „trzech capo" padły słowa wdzięczności i szczerych podziękowań. Zasłużyli na nie w całej rozciągłości. Dołączam się do tych podziękowań, choć nie należałem do ścisłej grupy pielgrzymiej. Jeśli były jakieś niedociągnięcia należy o nich zapomnieć. Chodziło o rzeczy stokroć ważniejsze. Piszę o tym na samym wstępie niniejszego sprawozdania, by podkreślić, że dobre kierownictwo to najlepsza gwarancja udanej wyprawy. Wyprawa do ziemi włoskiej miała dobre kierownictwo...

* * *

Pierwszym pielgrzymem, który wylądował w Rzymie był sam gen. Anders. Już 10 maja witali go na lotnisku Fiumicino — amb. dr K. Papee, ks. arcyb. J. Gawlina i władze SPK z prezesem W. Zahorskim na czele. Gen. Andersowi towarzyszyli mjr E. Lubomirski i kpt. L. Łubieński. Goście londyńscy zamieszkali w Domu Kombatanta w Rzymie. I od tej chwili zaczęła się wielka seria różnych uroczystości...

* * *

Prasa włoska poświęcała uroczystościom polskim wiele miejsca. Trudno wymienić wszystkie tytuły pism i artykuły, w których ukazywały się krótsze lub dłuższe sprawozdania. Dziennikarzy włoskich było pełno na każdej uroczystości. Notowali skrzętnie i fotografowali co nie miara. . A telewizja włoska jeszcze tego samego wieczoru pokazywała wiele scen ze cmentarzy, na których odprawiano Msze święte i składano wieńce. Nawet Eurowizja wysłała cały sztab pracowników, którzy podobno przygotowują aż cztery specjalne programy (za kilka miesięcy), które obejmą kampanię włoską ze szczególnym uwzględnieniem walk o Monte Cassino. Oczywiście nie tylko z Polakami. Zmęczonego trudami podróży i oficjalnymi ceremoniami Dowódcę 2 Korpusu zatrzymano po uroczystościach na Monte Cassino i zasypywano gradem pytań o poszczególnych fazach bitwy. Mimo upału gen. Anders nikomu nie odmawiał i zawsze znajdował tyle energii, by po raz tysiączny opowiadać o dziejach, których sam był głównym aktorem. Przychodzili dziennikarze włoscy także do Domu Kombatanta po wywiady. Chyba najciekawszy ukazał się w znanym dzienniku włoskim „Il Tempo", pióra znanego dziennikarza Guglielmo Rospigliosi pod wielkim tytułem: *„Anders non vuole i comunisti alle celebrazioni di Montecassino — Il comandante delle truppe polacche, che tentarono di conquistare sul nostro suolo la liberta del loro Paese, ha espresso invece grande ammirazione per il Corpo Italiano di Liberazione"*.

Miała swoich sprawozdawców i Sekcja Polska Radia Wolna Europa jak i Sekcja Polska BBC. A było co nagrywać w ciągu tych 12 dni! Niestety — nie znam tych audycji, choć uczestnicy pielgrzymki chętnie by je wysłuchali. I dlatego słuszna powstała w Londynie sugestia, aby przy pomocy taśm nagranych przez te dwie radiostacje plus ustne komentarze innych uczestników przygotować w Londynie specjalny wieczór dla tych, którzy nie mogli wyjechać do Włoch.

Wspomnieć także wypada, że i polska prasa emigracyjna w Londynie — „Orzeł Biały" i „Dziennik Polski" — miała także swych sprawozdawców, choć ze zrozumiałych względów technicznych ich sprawozdania muszą się ukazywać ze znacznym opóźnieniem. Z uznaniem podkreślić należy szybkie ukazywanie się „Serwisu Informacyjnego" ambasady R.P. przy Watykanie, która niemal że tego samego dnia wydawała biuletyny, które były pierwszym źródłem informacyjnym o tym co się działo w Rzymie. Żałować natomiast należy, że rzymski komitet organizacyjny nie pomyślał o podobnym serwisie dla dziennikarzy polskich i innych uczestników pielgrzymki. Stąd trudno było łowić wszystkie nazwiska włoskich uczestników uroczystości, nazwy włoskich organizacji, które wysłały swoje poczty sztandarowe. W takim serwisie powinno się było także podać — choćby w streszczeniu — wszystkie notatki prasowe, jakie się ukazywały w pismach włoskich. Boję się, że opinia polska nie dowie się kto i jak o nas w tych dniach pisał.

* * *

Monte Cassino... Od wczesnego ranka zbierają się na placu, skąd droga prowadzi do ołtarza i cmentarza — Włosi i Polacy, cywile i wojskowi; zjeżdżają autobusy i samochody prywatne. Są już i poczty sztandarowe i przeliczne wieńce. Jeśli już mowa o pocztach sztandarowych nie mogę wyrazić dość żalu, że na tych uroczystościach nie było sztandarów 2 Korpusu i że nie towarzyszyły one nam na całym szlaku. Byłoby więcej kłopotu, ale jakże wielkim i wymownym byłyby symbolem. Pochód np. aleją pod Monte Cassino... na czele Dowódca 2 Korpusu i goście, a potem długi rząd sztandarów... Jakiż potężny dałyby efekt w telewizji. Miejsce tych sztandarów było właśnie wtedy, właśnie z okazji 20-tej rocznicy — pod Monte Cassino i pod Bolonią. Albo w bazylice loretańskiej i przed polskim ołtarzem i przed znanym obrazem prof. Arturo Gatti, przedstawiającym „Vittoria di Pilsudski a Varsavia". Podobnej okazji nie będzie rychło...

Przyjeżdża w mundurze gen. Anders. Towarzyszą mu adiutanci. Generał wita się z wszystkimi serdecznie. Równie serdecznie wita przedstawicieli państw sojuszniczych — attaché wojskowych Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii jak i przedstawiciela armii włoskiej. A potem idą wszyscy długą aleją na cmentarz, gdzie ks. arcyb. Gawlina ma za chwilę odprawić Mszę św. Na placu, gdzie pali się znicz, wokół którego po Mszy św. składane będą wieńce, stoi pluton honorowy grenadierów sardyńskich i orkiestra wojskowa. Gen. Anders

OGÓLNY WIDOK NA

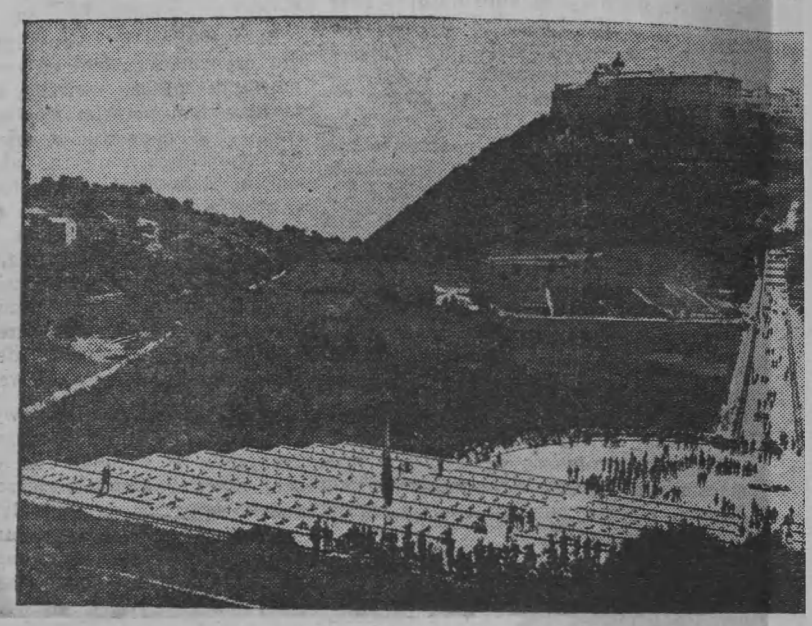

DROGĄ SPOD KLASZTORU NA CMENTARZ IDĄ W

EXPOSÉ POLITY(

Czytamy

Memorandum w sprawach polskich, wręczone prezydentowi Johnsonowi przez delegację Kongresu Polonii Amerykańskiej, z prezesem Rozmarkiem na czele, stanowi swego rodzaju exposé polonijnych dezyderatów politycznych. Ze zględu na swój charakter prawie noty dyplomatycznej podlega ono pewnym nakazom subtelności protokolarnej, jakie w mniejszej o wiele mierze obowiązują prasę, mniej skrępowaną pod tym względem w swych wypowiedziach.

Z tego choćby względu akt ten wymaga bardziej może otwartego w swej szczerości omówienia dziennikarskiego. Nie idzie nawet w tym wypadku o „czytanie między wierszami" tego dokumentu — wystarczy zestawić jego poszczególne wypowiedzi, by ocenić prawdziwe znaczenie tego aktu.

Zgodnie z wszelkimi nakazami dyplomatycznej uprzejmości, memorandum zgłasza swe poparcie zarówno dla „ofensywy pokoju", ogłoszonej przez Prezydenta w orędziu noworocznym, jak i dla deklaracji Sekretarza Stanu, który w dniu 24 lutego br. określił cele aktualnej amerykańskiej polityki zagranicznej w stosunku do międzynarodowego komunizmu. W dalszych jednak słowach tego dokumentu znajdujemy subtelną i pośrednią wprawdzie, ale bardzo energiczną — chwilami wprost druzgocącą — krytykę tej polityki.

Wyrażając słowa pochwały dla rozbrojeniowych rokowań genewskich, memorandum domaga się jednak później „żelazobetonowych gwarancji" w sprawie międzynarodowej inspekcji i kontroli — czemu zdecydowanie sprzeciwia się Moskwa, a o czym nie wspomina zbytnio amerykańska delegacja w Genewie. Dając wyraz przekonaniu, że słowa depeszy Prezydenta na tegoroczny obchód Konstytucji Trzeciomajowej w Chicago („poczmistrz generalny... będzie symbolem osobistego mego zdecydowania, by doprowadzić do większego jeszcze zbliżenia między dwoma naszymi wielkimi narodami"), dokument polonijny delikatnie i pośrednio przypomina, że słowa Prezydenta były o wiele bardziej daleko idące w czasie poprzedniej uroczystości trzeciomajowej, na której sam był on obecny, jako ówczesny wiceprezydent. Lyndon Johnson mówił wówczas o „pełnej niepodległości Polski", jako o aktualnym i przyszłym celu polityki amerykańskiej — słów tych daremnie szukalibyśmy w tegorocznej depeszy, ale memorandum polonijne domaga się „stałych deklaracyj, że Polska musi być wolna i niepodległa".

Przytaczając z dyplomatycznym uznaniem skromny raczej w swym zasięgu trzypunktowy program Sekretarza Stanu (zapobieżenie dalszej ekspansji komunizmu, osiągnięcie porozumień dla zmniejszenia niebezpieczeństwa wybuchu wojny nuklearnej i „zachęcenie do ewolucji" w świecie komunistycznym w kierunku państwowej niepodległości, pokojowej współpracy i „otwartych" społeczeństw) memorandum daje do zrozumienia, że nie są to cele wystarczające — jako defensywne raczej, niż ofensywne. „Nie podpisujemy się pod teorią, wedle której zaufanie Rosjan i ich dobrą wolę zdobyć można cierpliwością i uprzejmością, bo w komunistycznym słownictwie te ludzkie walory są oznakami słabości i braku decyzji" — mówi polonijny akt. A właśnie przy

E CASSINO

ARNA WYDAJE OWOCE...

n Wyszyński w liście do ks. Arcybiskupa J. Gawliny ecia walk we Włoszech

cja własna „Orła Białego")

obra- odbiera raport i salutując przechodzi przed frontem kompanii i orkiestry. Gdy zbliża się do ołtarza Włosi witają go serdecznymi oklaskami. Nastrój jest wspaniały, podniosły. Dookoła ołtarza ustawiają się poczty sztandarowe różnych włoskich formacji kombatanckich. Jeszcze przed rozpoczęciem Mszy św. podchodzi do gen. Andersa grupa b. włoskich spadochroniarzy i jej przywódca ze wzruszeniem i z dumą odpina swoją odznakę spadochroniarską i przypina ją do munduru Generała.

Rozpoczyna się Msza św., którą odprawia ks. arcyb. J. Gawlina w asyście ks. prał. Czesława Chmielewskiego, rektora Misji Polskiej w Szwecji i ks. Mieczysława Kowalczyka z Rzymu. Przed ołtarzem gen. Anders, amb. dr K. Papee, gen. B. Duch, gen. K. Wiśniowski, gen. Przyjałkowski ze Szwecji, płk. K. Ziemski — prezes Zarządu Głównego Federacji Światowej SPK, prezes Oddziału SPK W. Brytania S. Soboniewski, Z. Szadkowski — przew. ZHP, delegacja 12 p. uł. pod.: mjr Z. Nadratowski, mjr M. Minkowski, rtm. L. Łukowski i rtm. B. Chojnacki ze sztandarem pułkowym, na prawo od ołtarza liczni księża a wśród nich osobisty sekretarz Prymasa Polski — ks. prał. dr Padacz reprezentujący na Monte Cassino J.E. ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego, następnie ks. inf. B. Michalski z Londynu, ks. dziek. Czorny z W. Brytanii i inni.

W czasie Mszy św. wygłosił ks. Arcybiskup kazanie poświęcone żołnierzowi polskiemu i jego zwycięstwu pod Monte Cassino. Po kazaniu odczytał Ksiądz Arcybiskup następujący list Prymasa Polski:

Rzym, dnia 12 maja 1964
N. 2139/64/P.

Najdostojniejszy Księże Arcybiskupie,

Rocznica dwudziesta wielkiej Chwały Żołnierza Polskiego pod Monte Cassino, nakazuje mi skierować ten adres na ręce Waszej Ekscelencji, jako duchownego Przewodnika wspaniałych tradycji żołnierskich w Służbie Narodu, walczącego o swoją wolność. Dzień 18 maja 1944 r., gdy sztandar Polski zawisł zwycięsko na gruzach Monte Cassino, wejdzie do dziejów Narodu, podobnie jak zmagania Powstańców Warszawskich, którzy na gruzach Stolicy kontynuowali tradycję walki o wolność, zdobywców Monte Cassino. Ten trud i ta krew, nie są daremnie ofiarowane. Jednak na wielkość Narodu składają się nie tylko zwycięstwa, ale i cierpienia. W imię tych ofiar podejmujemy dziś każdy trud, by zachować Narodowi Jego prawo do wolności, do sprawiedliwości, do Prawdy i Miłości.

Wspaniały napis na obelisku, górującym nad Monte Cassino, jest programem życia dla młodych pokoleń całego świata: My żołnierze polscy, oddaliśmy dusze nasze Bogu, serca Polsce a ciała ziemi włoskiej — za wolność Waszą i naszą.

Drogi Księże Arcybiskupie, powiedz Kombatantom Polskim, zebranym dziś przed pomnikiem chwały na Monte Cassino, że krew ich ofiarna wydaje owoce, w walce o dusze nasze dla Boga, o serca dla Polski za wolność naszą i Waszą.

Ślę słowa braterskiej wspólnoty w modlitwie i błogosławieństwo prymasowskie.

† *Stefan Kard. Wyszyński*
Prymas Polski

List ten odczytany był następnie na cmentarzach w Loreto i w Bolonii. Jego głęboka treść wywarła na wszystkich uczestnikach wielkie wrażenie. W czasie Mszy św. biły dzwony klasztorne Monte Cassino.

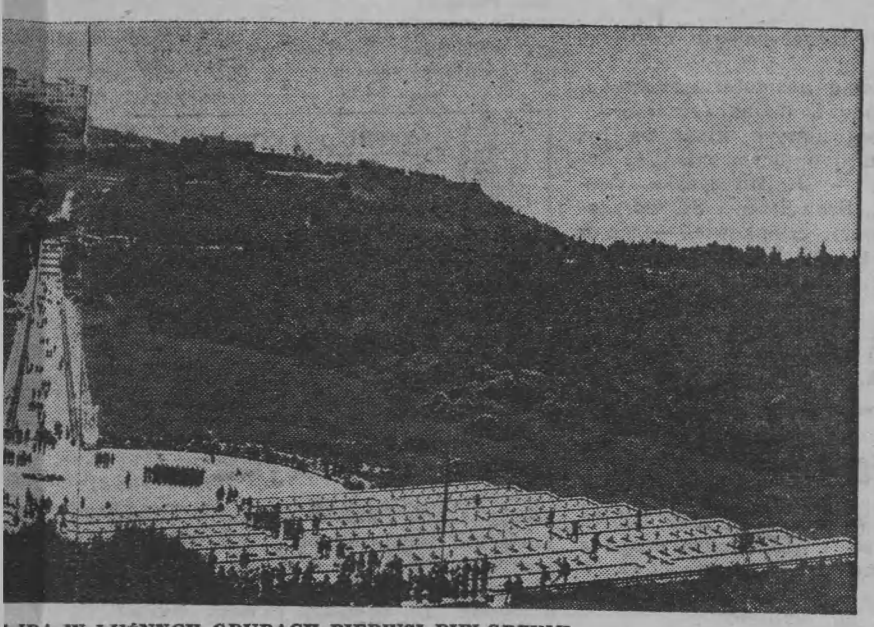

IDĄ W LUŹNYCH GRUPACH PIERWSI PIELGRZYMI

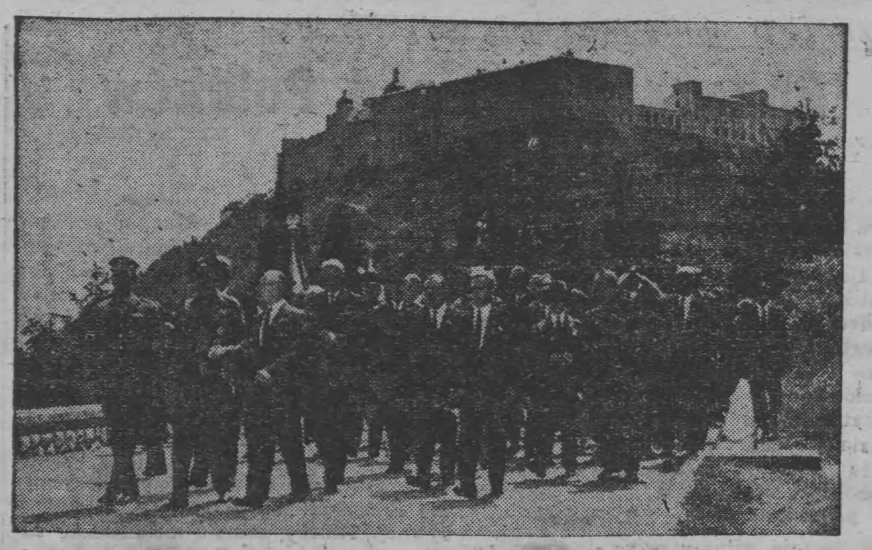

Czoło wielkiego pochodu na cmentarz: od lewej — reprezentant armii włoskiej gen. Orlando, gen. Anders, gen. Duch; w drugim rzędzie: płk K. Ziemski — prezes Zarządu Głównego Federacja Światowa SPK, W. Zahorski — prezes SPK Italia, amb. K. Papee witający się z ks. prał. Kwaśnym z Francji. Wzdłuż krawężnika idzie płk L. Gnatowski.

Po Mszy św. rozpoczął się drugi akt — składanie wieńców. Złożono ich dobrze ponad dwadzieścia wokół płonącego znicza. Pierwszy złożył gen. Anders z napisem: „Bohaterom bitwy o Monte Cassino", następnie amb. Papee, delegacje 3 DSK, 5 DKP, Kół Oddziałowych, SPK, Armii Krajowej i wielu innych oddziałów, których trudno tu wymienić. Był także wieniec władz miejskich Monte Cassino z napisem: „La popolazione di Cassino". Ktoś złożył wieniec z napisem: „Jasiowi w rocznicę śmierci". Tak więc oddaliśmy hołd poległym, złożonym na cmentarzu, do którego prowadzi wejście na ścianie którego znajduje się napis: „Zbudowano w r. 1945, gdy Prezydentem R.P. był Wł. Raczkiewicz, ambasadorem R.P. przy Watykanie K. Papee, dowódcą 2 Korpusu gen. W. Anders". W hołdzie dla poległych pochyliły się wszystkie sztandary...

Po złożeniu wieńców przemówił gen. Anders, który nawiązał najpierw do dni przed bitwą o Monte Cassino, gdy trzeba było podjąć decyzję zdobycia masywu klasztornego. Rozważano starannie straty, jakie w tej walce mógłby ponieść 2 Korpus, podejmując atak albo od strony doliny rzeki Liri albo od strony północnej, z której atak został ostatecznie przeprowadzony. „W rozważaniach tych doszliśmy do wniosku, że straty będą mniejwięcej jednakowe i dlatego uderzyliśmy tak jak zostało wykonane. Bitwa o Monte Cassino została podjęta przez żołnierza polskiego, by podnieść na duchu Kraj i naród polski. I tak jak wówczas tak i dziś jesteśmy nadal w służbie dla Polski. Z nami są dusze i serca wszystkich Polaków w Kraju i na obczyźnie".

Przemówienie swoje w języku polskim poprzedził Generał krótkim przemówieniu w języku włoskim, w którym podziękował przedstawicielom władz za tak liczne przybycie na te uroczystości, w „których oddajemy hołd naszym poległym kolegom. Jestem dumny, że w czasie walk naszych na wybrzeżu adriatyckim miałem zaszczyt być dowódcą większości oddziałów włoskich (della maggior parte dei reparti italiani). Zawiązaliśmy wtedy przyjaźń z żołnierzem włoskim jak i z ludnością tego kraju (abbiamo allora cementato la secolare amicizia con i soldati italiani e con la popolazione locale).

Po tych uroczystościach udaliśmy się do miasta Cassino, gdzie zmęczeni uczestnicy wycieczki posilili się w miejscowej restauracji. Dodać by trzeba, że w mieście i na drodze do Monte Cassino były rozwieszone plakaty z serdecznymi napisami witającymi Polaków. Ukazały się i inne wielkie plakaty z napisem włoskim: *„I morti di Monte Cassino e di Poznan rivendicano la liberta della Polonia. Poznan 1956 — Montecassino 1044"*. Były to wielkie afisze o barwach biało-czerwonych i z krzyżami, pokrywającymi nazwy Poznań i Monte Cassino. Niestety — w dniu uroczystości afisze te zostały przez „nieznanych sprawców" zerwane.

* * *

Trzecim mówcą pod Monte Cassino był Edmund Nowak, sekretarz wydziału Kongresu Polonii Amerykańskiej na stan Illinois, który reprezentował na uroczystościach p. Karola Rozmarka — prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej. Pan Nowak był także delegatem Brygadowego Koła Pogoń w Chicago.

„Serca Polonii Amerykańskiej — tak brzmiało pismo p. Karola Rozmarka odczytane przez p. Nowaka — zawsze z czcią najgłębszą wspominają bezprzykładnie bohaterską walkę Polaków o Monte Cassino.

Duchem i myślą byliśmy z 2 Korpusem w czasie tych walk, które sławę męstwa polskiego ponownie rozniosły po świecie.

Z głębokim rozrzewnieniem i dumą przeżywaliśmy wraz z żołnierzami i z całym narodem polskim ten dziejowy moment, gdy nad Monte Cassino powiał sztandar biało-czerwony, jeszcze raz obwieszczając światu, że Polacy zawsze i wszędzie walczyli za „Waszą wolność i Naszą".

W modlitewnym skupieniu unoszą się myśli nasze nad cmentarze bohaterów, poległych w straszliwych walkach o Monte Cassino.

Tam, ci którzy wyszli z tego boju cało, najpiękniejszy pomnik poległym kolegom postawili nie w marmurze, ale w słowach przepięknych i głębokich: ciała oddaliśmy ziemi włoskiej, dusze Bogu a serca Polsce.

Słowa te nie zaginą w pamięci ludzkiej, jak długo w sercu człowieka tkwić będzie iskra miłości ojczyzny i umiłowania wolności.

W dwudziestą rocznicę tej bohaterskiej walki Kongres Polonii Amerykańskiej łączy się duchem i sercem z Wami, którzy przybyliście do Monte Cassino, aby złożyć hołd pamięci tych, którzy bezgraniczną miłość ojczyzny udowodnili bohaterską śmiercią w boju, którego przebieg nigdy nie zaginie w pamięci ludzkiej.

Cześć poległym!

A Wam, weterani tej walki, słowa otuchy i pokrzepienia, że wszyscy podążamy do Polski prawdziwie Wolnej i Niepodległej".

* * *

Zanotować także wypada, że w dniu 12 maja — w dniu rocznicy śmierci Marszałka Piłsudskiego — odprawił ks. arcybiskup Józef Gawlina w kościele polskim św. Stanisława Mszę świętą żałobną za duszę Marszałka. W Mszy św. wzięli udział m.in. gen Anders, amb. K. Papee, gen. B. Duch i liczni uczestnicy pielgrzymki kombatanckiej z Londynu.

Po nabożeństwie udano się na viale Pilsudski w północnym Rzymie, gdzie gen. Anders i amb. Papee złożyli wieniec ze wstęgami o barwach narodowych u stóp pomnika Marszałka, którego pamięć uczczono chwilą milczenia.

* * *

Skromniejsze w ramach, choć równie serdeczne uroczystości, odbyły się na wzgórzu 593 zdobytym 18 maja 1944 przez 5 batalion 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Na szczyt ten przybyli gen. K. Wiśnioswki — b. szef sztabu 2 Korpusu, gen. B. Duch — b. dowódca 3 DSK, ppłk. C. Śleziak, ppłk. J. Bielecki, poczet sztandarowy 12 p. uł. Podolskich w składzie. mjr. Z. Nadratowski, mjr M. Minkowski, rtm. L. Łukomski i rtm. B. Chojnacki. Tu zarówno gen. Wiśniowski jak i gen. Duch udzielili szczegółowych wyjaśnień o przebiegu walk o ten sławny szczyt, na którym znajduje się piękny pomnik 3 DSK jak i o przebiegu walk na pobliskich stokach i wzgórzach. W skupieniu i w ciszy złożony został wieniec u stóp pomnika.

Paweł Hęciak

(Ciąg dalszy nastąpi

TYCZNE POLONII AMERYKAŃSKIEJ

Czytamy w nowojorskim dzienniku „Nowy Świat":

ucji użyciu tych metod departament Stanu pragnie doprowadzić do „porozumienia" z Moskwą.

Najsilniejszym może — choć znów pośrednio wyrażonym — akcentem przedłożonego Prezydentowi memorandum, jest przypomnienie, że „Polacy, zdradzeni w Teheranie i Jałcie, pozbawieni swych, należnych do nich prawnie, wschodnich terytoriów, zmuszeni zostali do życia pod obcym dla nich i znienawidzonym systemem komunistycznym". Trudno zaś oprzeć się wrażeniu, że Departament Stanu widzi w tej umowie wymarzony ideał, do jakiego należałoby powrócić.

Nie pozbawione wyraźnej, choć pośredniej krytyki oficjalnej polityki waszyngtońskiej są również uwagi na temat stanowiska wobec Niemiec zachodnich. Memorandum domaga się wyraźnego uznania przez Stany Zjednoczone granicy na Odrze i Nysie — czego żąda nie tylko amerykańska Polonia, ale wszyscy, zarówno przebywający w kraju, jak i rozsiani po całym świecie Polacy. Argumentacja za tego rodzaju deklaracją ze strony Waszyngtonu jest w pełni uzasadniona — wątpić można jednak, niestety, czy zwalczyć zdoła ona „legalne" zastrzeżenia, wedle których można nie uznawać za ostateczne aż do „konferencji pokojowej" (do jakiej może nie dojść do roku Pańskiego 2000) zmian granicznych. Obowiązująca ta zasada nie znalazła jednak zastosowania w stosunku do wymuszonych w Jałcie sowieckich grabieży ziem polskich czy rumuńskich — te zmiany zatwierdzono natychmiast, nie tylko przed konferencją pokojową, ale i przed zakończeniem działań wojennych i nadal uważa się je za „ostateczne". W tym świetle „argumenty", przemawiające jakoby przeciw uznaniu polskiego stanu posiadania na ziemiach odzyskanych, wygląda co najmniej „naciągnięte". Uprzejmość dyplomatyczna nie pozwoliła widocznie powiedzieć wprost, że wiadomo, o co idzie — Departament Stanu liczy się po prostu w daleko większej mierze z Niemcami zachodnimi i ich rewizjonistycznymi tendencjami, niż z nakazami sprawiedliwości dziejowej i własnej swej logiki niż ze swym byłym sojusznikiem w walce z hitlerowską tyranią.

Sprowadza się to wszystko znów do tekstu polonijnego memorandum — czy raczej do jego apelu, by wszelkie „wyrównania" (accomodations), jakie mogą okazać się (w oczach Waszyngtonu) konieczne dla „odprężenia międzynarodowego" nie odbyły się znów kosztem narodów środkowej i wschodniej Europy, należących „do zachodniego świata wolności i demokracji".

Memorandum nie mogło zapewne tego wyraźnie podkreślić, ale ze swej, nie tak skrępowanej względami uprzejmości dyplomatycznej, strony, możemy dodać, że ta przynależność nie jest dostatecznie pokwitowana przez Zachód i że jest to dzisiaj — jak była wielokrotnie w poprzednich wiekach — czasami miłość bez wzajemności. I to jest ostatni akcent, jaki należy podkreślić w polonijnym memorandum, które wyraźnie ostrzega, że chociaż naród polski w podziwu godny sposób stawia czoło swym obecnym nieszczęściom (sprowadzonym w poważnej przynajmniej mierze przez Zachód), jego siła oporu nie jest niewyczerpana.

Nie omówiliśmy zapewne w tym krótkim komentarzu wszystkich aspektów, ani całego znaczenia tego programu politycznego Polonii. Waga jego zależeć zapewne będzie w dużej, jeżeli nie największej mierze, od reakcji Prezydenta, który zrozumie oczywiście jego pełną wymowę, ukrytą pod płaszczem dyplomatycznych sformułowań. W swej grzecznościowej formie jest to jednak najbardziej znamienny może akt polityczny zorganizowanej Polonii Amerykańskiej, jako wyraz protestu wobec krzywdy, wyrządzonej Polsce i narodowi polskiemu przez jego sojuszników z okresu zmagań z potęgą nazistowską, z czasów, gdy Polska była „natchnieniem narodów", a sojusznikiem Hitlera był Stalin, któremu później to „natchnienie narodów" cynicznie sprzedano.

Memorandum reprezentuje — jak słusznie podkreślono w jego wstępnych słowach — stanowisko Polonii liczącej blisko dziesięć milionów Amerykanów polskiego pochodzenia — co nie jest pozbawione szczególnej wymowy w obecnym roku wyborczym. Stwierdza ono, spokojnie, ale niedwuznacznie, że licznej tej Polonii nie zadawalają okazyjne miłe komplementy, wygłaszane przy rocznicowych okazjach, jeżeli jednocześnie w polityce amerykańskiej większą daleko rolę odgrywać się zdają ubieganie się o względy następcy Stalina, czy liczenie się z drażliwościami następcy Hitlera.

Nie wiemy w jakim stopniu odważne to wystąpienie przywódców polonijnych wpłynie na zmianę stanowiska oficjalnego Waszyngtonu. Niemniej akt tego rodzaju był konieczny i twórcom jego należy się pełne uznanie.

PRZEGLĄD SPORTOWY

Piłkarstwo wśród Polaków w Anglii

Do tegorocznych IV mistrzostw w piłkarskich młodzików zgłosiły się — jak podaje Komunikat Związku Polskich Klubów Sportowych w W. Brytanii — 32 drużyny co w porównaniu z rokiem ubiegłym oznacza „przyrost" o 7. Nie tylko nie braknie na starcie nikogo z zeszłorocznych współzawodników o zaszczytny tytuł mistrza, ale ujrzymy na zielonej murawie dawnych najomych „Orła Białego" z Blackshaw Moor i „Sokoła" z Nottingham, którzy poprzednio pauzowali.

Serdecznie witamy nowe drużyny, po raz pierwszy biorące udział w mistrzostwach: kombatanckie „Polonię" z Huddersfield i „Iskrę" z Peterborough, harcerski K.S. „Gryf" ze Slough, drużynę zakładu oo. Marianów z Fawley Court i K. S. „Wawel" (Katolickiego Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej z Reading). Tak się złożyło, że w piątce nowoprzybyłych są reprezentowane drużyny SPK, ZHP, KSMP i niezależnie — podobnie jak wśród 27 innych zgłoszonych do IV mistrzostw. Każda drużyna wystąpi w swoich barwach, ale wszystkie są zarejestrowane w Związku Polskich Klubów Sportowych, który organizuje mistrzowsta.

Szczególnie radosnym zjawiskiem jest zgłaszanie większej ilości drużyn — w różnych kategoriach wieku — z różnych klubów. Świadczy to o utrwaleniu i rozbudowie życia sportowego. Rekordzistką pod tym względem jest K. S. „Polonia" (Bradford), której barw bronić będą 3 drużyny. Po 2 zespoły wystawiają „Lwów" (Dewsbury), „Gopło" (Halifax), „Wisła" (Redditch), „Cracovia" (Melton Mowbray), „Orkan" (Leicester), „Warta" (Derby), „Piast" (Trowbridge), „Chrobry" (Swindon), „Pogoń" (Birmingham) i „Unitas" (Manchester). „Polonia" (Northwick Park) i „Junak" (Scunthorpe) — zgłosiły po jednej drużynie.

„Pogoń", „Cracovia", „Wisła", „Warta", „Junak", „Polonia" — to nazwy zaszczytnie zapisane w kronikach sportu polskiego w dwudziestoleciu niepodległości, które odżyły na obczyźnie. Inne jak „Orkan", „Unitas", — mają już własną, bogatą tradycję na emigracji. Do tej gromady dołączają się stale nowe zespoły.

Słowa wdzięcznego uznania należą się organizatorom, opiekunom, kierownikom drużyn, działaczom sportowym dawnym i obecnym, których cierpliwej i ofiarnej pracy zawdzięczać należy obecny bujny rozwój młodego sportu polskiego. Apelujemy jednocześnie do organizatorów i opiekunów o dalszą pomoc i dołożenie wysiłku, by mistrzostwa były wzorem porządku i sprawności organizacyjnej.

Podając terminarz zawodów, które odbywać się będą w niedzielę przypominamy, aby rozgrywki tak ułożyć, by zawodnicy mogli być na mszy świętej albo przed meczem albo po jego zakończeniu, by nie było również w okresie mistrzostw kolizji z zajęciami szkolnymi.

Życząc młodym sukcesów na zielonej murawie prosimy by pamiętali, że grać będą nie tylko wobec rodaków, ale i przedstawicieli młodszego i starszego pokolenia gospodarzy kraju, z którego gościny korzystamy. Znana to rzecz w W. Brytanii, że sport ceniony tu jest wysoko a od zawodników oczekuje się rzetelnego wysiłku, ambitnej „czystej" i w duchu koleżeństwa sportowego prowadzonej gry.

Polacy i pod tym względem mają tu dobrą opinię, toteż spodziewamy się, że najbliższe mistrzostwa nie uszczuplą tego dorobku, lecz go pomnożą.

•

Europejska Unia Piłkarska (UEFA) odbędzie w dniu 17 czerwca br. swoje 7. roczne walne zebranie w Madrycie. Zgłoszono już kilka ciekawych wniosków m.in. by pierwsza niedziela października i ostatnia niedziela kwietnia były dniami europejskich spotkań międzypaństwowych. W całej więc Europie miałyby się odbyć w tym dniu same spotkania między państwami europejskimi. Istnieje także projekt reorganizacji Światowej Federacji Piłkarskiej (FIFA) w tym duchu, ażeby — jeśli chodzi o rozegranie eliminacji do mistrzostw świata — FIFA ograniczała się jedynie do ustalenia liczby państw europejskich, które miałyby się znaleźć wśród finałowej szesnastki, natomiast UEFA ustaliłaby we własnym zakresie system wyłonienia finalistów europejskich. UEFA chciałaby mianowicie, aby spotkania o Puchar Europy Narodów były jednocześnie eliminacją do finału mistrzostw świata.

Sekretarz generalny UEFA w swym rocznym sprawozdaniu pisze m.in.: „Niestety — i należy tego żałować — iż spotkania piłkarskie mają coraz częściej charakter gry defensywnej. Opłaciłoby się niewątpliwie tak zmienić przepisy, aby zmusić do gry ofensywnej. Należy potępić niewłaściwe zachowanie się publiczności oraz zbyt ostrą grę niektórych drużyn — co spowodowane zostało prawdopodobnie zbyt wysokimi premiami za zwycięstwo. Przyczyniło się to powstania złej opinii o piłce nożnej i do poważnych szkód dla piłkarstwa. Powinno się uczynić wszystko, ażeby zmienić ten stan rzeczy". (p.h.)

9 maja w godzinach popołudniowych zebrało się liczne grono Polaków w sali teatralnej „Ogniska Polskiego" w Londynie. Wśród obecnych byli przedstawiciele kierownictwa politycznego ludzie nauki, członkowie wszystkich bodaj instytucji kulturalnych i społecznych. Przybyli także dawni wychowankowie Wszechnicy Jagiellońskej.

Przewodniczył i zagaił profesor Bronisław Heiczyński imieniem wszystkich polskich instytucji naukowych na obczyźnie. Stwierdził, że Uniwersytet był prawdziwą „stolicą kulturalną Polski" także w czasach gdy stolicą polityczną przestało być miasto Kraków. Dwa były okresy świetności tej drugiej co do starszeństwa wszechnicy Środkowej i Wschodniej Europy. Pierwszy to wiek XIV, wiek Pawła Włodkowica, Pawła z Brudzewa, Jana Długosza, Jana z Ludziska i wielu wielu innych, wśród których nazwisko Mikołaja Kopernika zdobi listę studentów uniwersytetu. Drugi to koniec wieku XIX i wiek XX, gdy Uniwersytet Jagielloński nie tylko wsławił się wielkimi nazwiskami profesorów i uczonych lecz także zasilił szeregi wykładowców innych uniwersytetów polskich. Pod rządami komunistycznymi uniwersytet borykać się musi z trudnościami, które mu się stawia by ograniczyć lub w ogóle zlikwidować wolność badań i wolność nauczania. W Krakowie jest dziś jedenaście uczelni wyższych, lecz nie ma już wydziału teologii, nie ma katedr nauk społecznych i historii filozofii. Obecna zapowiedź ustawy, która pozbawi organizację akademicką reszty autonomii budzi gorycz i niepokój. Wiąże się to z atmosferą walki z kulturą jaką reżym prowadzi, a której wyrazem był m.in. protest 34 polskich intelektualistów.

W pięknie opracowanym szkicu historycznym profesor Koczy z Edynburga przedstawił nie tylko dzieje uniwersytetu krakowskiego od chwili jego aktu erekcyjnego na Zielone Świątki roku 1364, lecz także dokonał wnikliwej syntezy samego pojęcia „uniwersytet", celów jakim służy od Średniowiecza. Wolność badań i wolność nauczania jest warunkiem jego istnienia. Jest to jedyna instytucja średniowieczna, która przetrwała do dnia dzisiejszego i jest nie zastąpiona. Kraków płacił wielką cenę za wolność nauki. Przypomnieć wystarczy męczeństwo jego profesorów z wielkim Estreicherem na czele w obozach niemieckich Sachsenhausen i Oranienburg. I dziś także niebezpieczeństwa piętrzą się przed starą Wszechnicą. Pamiętać musimy o nich także teraz w dniu, w którym z dumą i radością razem z wszystkimi Polakami obchodzimy tę wielką rocznicę.

Redaktor Jan Bielatowicz, wychowanek uniwersytetu, odczytał wzruszającą impresję literacką. Wspomniał wielkie tradycje uniwersytetu krakowskiego, jego zasługi dla Polski i całej Europy, duch demokratyczny, który w nim panował od samego zarania jego istnienia; wreszcie jego charakter chrześcijański tak zacięcie zwalczany obecnie przez rządy komunistyczne.

W drugiej części uroczystości dwa chóry londyńskie — Akademicki i im. Szymanowskiego — wykonały szereg pieśni studenckich od najstarszych po dobrze nam znane. „Polskie pieśni studenckie na przestrzeni wieków" opracował muzycznie i literackim komentarzem opatrzył p. H. Hosowicz, dyrygent obu chórów.

(Fragmenty opracowania historycznego profesora Koczego zamieszczamy na stronie 3).

WIADOMOŚCI SPOŁECZNE Z ANGLII I SZKOCJI

BRADFORD

Dynamiczny i zamożny klub sportowy

Kombatancki Klub Sportowy „Polonia" z Bradford z roku na rok bije wszelkie rekordy rozwoju. Zawdzięcza to stałemu napływowi dorastającej młodzieży i energicznemu kierownictwu. Szczególnie należy podkreślić, że i kierownictwo tego klubu prawie w całości jest młode a czasem nawet bardzo młode.

Bilans sportowy roku 1963-64 zamknięto sukcesami w piłce nożnej młodzików, w tenisie stołowym młodzików i w siatkówce. Stan członków osiągnął najwyższą chyba w W. Brytanii liczbę 140, w czym jest tylko garstka seniorów. Wydatki roczne wyniosły £.201 a wpływy £.274. Klub dzięki licznym udanym imprezom stał się jak na polskie stosunki zamożny, bo w dniu rocznego sprawozdania miał na koncie £.188. Toteż jedyny to chyba wypadek, że młodzi sportowcy nie proszą o pomoc, a sami zaczynają świadczyć na cele dobroczynne, na co w ub.r. wydali £.14.

Podsumowanie tych osiągnięć przeprowadzono na dorocznym walnym zebraniu w wypełnionej po brzegi sali Domu Kombatanta. Obradom przewodniczył mjr Marcin Czechowicz, a protokółował kpt. Mieczysław Kipp. Roczne sprawozdanie złożył prez. p. Edward Piskozub, sprawozdanie kasowe p. Czesław Tabor, a sprawozdanie sekcji młodzików p. Zbigniew Pniewski.

Wyróżniający tytuł najlepszego sportowca klubu na rok 1964 zarząd nadał Kazikowi Nowakowskiemu, a wyróżnienie otrzymał Jurek Makowski. Ten sam tytuł w sekcji dziewcząt zdobyła Danusia Bartkowiak.

Po uchwaleniu bogatego programu działalności na rok bieżący w ramach preliminarza budżetowego na £.260, wybrano nowy zarząd w składzie: prezes Edward Piskozub, wiceprezes Wacław Kozłowski, sekretarz Tadeusz Jandzio, sekretarka Danusia Pniewska, skarbnik Czesław Tabor, gospodarz seniorów Jan Jasinowski, gospodarz młodzików Jan Nowak i Leszek Rogalski, imprezowi Edward Wasilewski i Władysław Sidoduk. Sekcyjnymi zostali: ping-pong — Czesław Tabor, siatkówka — Stanisław Bator, sekcja teatralna Henryk Grabowski, trenerem piłki nożnej — Franciszek Witeszczak i kronikarzem Tadeusz Jandzio, opiekunem młodzików Stanisław Winiarski, sekcję kolarską prowadzi Adam Sobek.

Wieloletniemu organizatorowi i opiekunowi młodzików, który w tym roku wycofał się z zarządu, p. Zbigniewowi Pniewskiemu, młodzież zgotowała gorącą owację pożegnalną, wręczając w upominku piękną zapalniczkę.

BLACKPOOL

Nowy zarząd Stowarzyszenia Lotników

Na walnym zebraniu Stowarzyszenia Lotników w Blackpool było w tym roku ponad 60 członków. Po wyczerpujących sprawozdaniach wybrano nowy zarząd w składzie: prezes Franciszek Bakalarski, wiceprezes Tadeusz Franks-Frankowski, sekretarz Kazimierz Wroński, skarbnik Stanisław Zieliński, ref. gospodarczy Franciszek Parker, ref. opieki Piotr Bakalarski, ref. kult.-rozrywkowy Tadeusz Turek i Ryszard Śmiechowski, oficer barowy Władysław Turecki. Komisji rewizyjnej przewodniczy Leon Zawadzki. Oddział Stowarzyszenia liczy 133 członków. Klub Stowarzyszenia ma 530 członków, w większości Brytyjczyków.

DONCASTER

Koło S.P.K.

Chociaż ośrodek polski jest dość liczny, miejscowe koło SPK jest organizacją raczej niewielką, liczy bowiem zaledwie 27 członków. Główny nacisk kładzie na problematykę niepodległościową inicjując w różnych okresach lokalne akcje społeczne. Przez kilka ostatnich lat prezesem koła był p. Jan Czerwiński, któremu jednak choroba uniemożliwiła działalność. W ostatniej kadencji funkcję prezesa przejął p. Stanisław Karko. Sekretarzem jest p. Jan Wiluszyński a skarbniczką p. Janina Hellerowa. Komisji rewizyjnej przewodniczy p. Jerzy Mauksh. Koło opiekuje się miejscowym zespołem tanecznym, pomaga szkole i harcerstwu.

LIVERPOOL

Klub „Orzeł Biały"

W ogromnym Liverpool, gdzie osiadło około 500 Polaków, a z sąsiednimi miastami co najmniej 800, miejscem najliczniejszych polskich kontaktów jest dobrze urządzony klub „Orzeł Biały" Mieści się on we własnym domu w centrum miasta. Dysponuje sporą salą, świetlicą SPK, restauracją i barem. Liczy ponad 200 członków. W tym roku prezesem klubu jest kpt. Józef Anczykowski, sekretarzem p. Wacław Nowacki, skarbnikiem p. Feliks Tomczak a członkami zarządu p. J. Bielawski, dr Czesław Komocki i p. Leszek Dąbrowski. Inicjatorem i pierwszym organizatorem placówki był dr R. Guthrie-Uchotski.

EDYNBURG

Zarząd Polskiego Chóru „Echo" w Edynburgu przez nagłą śmierć swojego prezesa, ś.p. inż. Romana Wojtasa, w zdekompletowanym składzie stanął przed Walnym Zebraniem, które odbyło się 24 kwietnia br. przy udziale wszystkich członków chóru.

Szeregi chóru stale się wykruszają, a pomimo to działalność jego jest nadal owocna, tak jak i w poprzednich latach. Dowodem tego są występy chóru dla Polaków i Szkotów, w Edynburgu i okolicznych miejscowościach, nie wyłączając nawet Glasgowa. A występów tych w roku sprawozdawczym było 15. Byt materialny chóru jest całgowicie zabezpieczony i to dzięki własnym zabiegom. Czyni to z chóru placówkę niezależną. Pomimo korzystnej obecnej sytuacji chóru, już dzisiaj trzeba myśleć o przyszłości; by tę przyszłość sobie zapewnić, trzeba podjąć staraniai o dopływ do chóru nowych, młodszych sił. Walne Zebranie podjęło w tym kierunku odpowiednią uchwałę, nakładając na nowy zarząd podjęcia akcji rekrutacyjnej.

Walory artystyczne chóru nadal są w wysokiej cenie. Dowodem tego są stałe zaproszenia do brania udziału w poważnych imprezach, organizowanych przez oficjalne czynniki szkockie. W tym sezonie chór otrzymał już zaproszenie do wzięcia udziału w koncercie, który się odbędzie w Princes Garden w okresie Międzynarodowego Festivalu Muzycznego.

Po uchwaleniu absolutorium ustępującemu Zarządowi, Walne Zebranie dokonało wyboru nowych władz na rok następny w następującym składzie: Zarząd: prezes — J. Mirczyński, viceprezesi — K. Schweitzer i St. Gorzkowski (dyrygent), członkowie — major K. Malczewski, A. Fitąl, H. Gołąbek, E. Michalski; Komisja Rewizyjna: Wł. Nowosielski (przewodniczący), L. Czarnek i B. Kozub; delegaci do Rady Stowarzyszeń Polskich: J. Mirczyński i H. Gołąbek. S.B.

SZYBKO I TANIO!
Biuletyny, ulotki reklamowe, druki jedno- i wielobarwne wykonuja
ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.
171, Battersea Church Road.
LONDON, S. W. 11.
Tel. BAT 0879

Prawo azylu w teorii i praktyce

(PAIRC) W kwietniu 1964 odbyła się w Garmisch-Partenkirchen druga z kolei Konferencja międzynarodowa w sprawie azylu — zorganizowana przez Towarzystwo im. Nansena.

Zaproszone zostały wszystkie 42 kraje, które do tej pory podpisały Konwencję Genewską z 1951 roku w sprawie udzielania azylu uchodźcom.

Szereg krajów przysłały swoich przedstawicieli, jak np. Turcja, Marokko, Burundi, Francja, Austria, Norwegia, Dania etc. Urząd Wysokiego Komisarza reprezentowali Dr Weis Radca Prawny i dr Kadosa — przedstawiciel na Niemcy.

Niemcy były też licznie reprezentowane tak przez prawników jak i przedstawicieli władz. Agencje charytatywne Międzynarodowe były też częściowo zaproszone i brały udział w dyskusji. Z ramienoia PAIRC brał udział Delegat na Europę L. Lubieński.

W wyniku szeregu odczytów i ożywionej dyskusji stwierdzono raz jeszcze, że Konwencja Genewska z 1951 r. jest niestety przestarzała — nie daje rozwiązania pożytywnego i humanitarnego w pełnym tego słowa znaczeniu dla tych kategorii uchodźców, którzy teraz przybywają na teren Europy Zachodniej z poza Żelaznej Kurtyny.

Mimo tego zmienić ją dzisiaj byłoby trudne i dlatego też ustawodawstwa poszczególnych krajów i władze administracyjne lokalne powinny te Konwencje interpretować w sposób jak najkorzystniejszy dla uchodźców proszących o azyl.

W rezolucji uchwalonej jednogłośnie — zebrani zwrócili się z takim apelem do wszystkich Rządów Zachodniej Europy. Stwierdzono też, że istnieje obecnie szereg innych powodów zmuszających ludzi mieszkających w krajach satelickich do szukania azylu, a nie przewidzianych w Konwencji Genewskiej. Te powody, czasem trudne do ujęcia, powinne też być brane pod uwagę przy decyzji udzielania azylu. Również uchwalono, że młodzież urodzona już na obczyźnie lub przybyła przed ukończeniem 18 lat — powinna mieć pełne ułatwienia w nabyciu obywatelstwa kraju w którym obecnie mieszka, albo przynajmniej otrzymania stałego prawa pobytu i pracy

Apelowano również żeby uchodźcy którzy chociaż azylu nie otrzymali — jeżeli przez dłuższy czas posiadali tymczasowe prawo pobytu i pracy, i dobrze się sprawowali — otrzymali po 4—5 latach prawo stałego już pobytu bez możności ich deportacji, chyba tylko na mocy wyroku sądowego za zdradę stanu.

Wreszcie zebrani uczestnicy Konferencji stanowczo sprzeciwiali się deportacji jakichkolwiek uchodźców z powrotem do krajów z których uciekli — chyba że zostałoby im udowodnione, że działają na szkodę tego kraju w którym prosili o gościnę.

BILETY,
SPROWADZANIE RODZIN Z POLSKI
ANGLOPOL TRAVEL
Tel. FRE 1155
121, Earls Court Rd., London, S.W.5

LWÓW 1782 WIEDEŃ
J.A. BACZEWSKI
GATUNKOWE WÓDKI i LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI!
Jarzębiak Kontuszówka Krupnik
Malinowa Starka
Tea-Rum Wiśniówka Wiśniak
Przedstawiciel
J. A. BRUCE & CO.
9. LENTHALL PLACE, LONDON, S.W. 7.
Tel. FRE 5808
(Koło stacji kolejki podz Gloucester Road)

B.D.I.C

MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ

Notatnik podróżny ze Szkocji

Przyjeżdżam do Yorku za wcześnie. Towarzysz moich włóczęg zjawi się dopiero za kilka godzin. Ulubione zaułki, uliczki, przelotnie oświeca chłodne słońce, suto podszyte wichurą. Trudno wyobrazić sobie bardziej urocze zajęcie jak — nie mieć nic do roboty w Yorku. Ruszam do katedry. Przestrzeń wypełniona jest strzelistością, światłem, ciszą pomnażaną od echa.

Idę powoli, przystaję Miejsca znane —a oto nabierają nowego sensu gdy się je ogląda na nowo. Świeci średniowieczne, barwne szkło. Prorocy, święci, anioły, herby królestw i książąt. Sceny biblijne. Wśród nich mały fragment którego treść ginie napoły w abstrakcyjnej kompozycji. Fragment pochodzi z połowy XII wieku i jest jednym z najstarszych jakie zachowały się w Anglii.

Od ściany prezbiterium spoglądam wstecz, ku Zachodniemu Oknu. Na czas reperacji frontu usunięto zeń witraże zastępując je zwykłym szkłem. Podkreśla to jeszcze wyrafinowaną konstrukcję żeber kamiennych rosnących jakby w kolosalne szkielety roślin i liści z rajskiego ogrodu.

Przestrzeń w głębi, za głównym ołtarzem, roświetla Wielkie Wschodnie Okno. W wyniosłej, chłodnej pustce wzrok zatrzymuje się na bloku jasnego kamienia: alabastrowym nagrobku młodziutkiego Wilhelma, księcia Hetfield, syna Edwarda III. Książątko spoczywa w obcisłym, dworskim stroju, z pasem rycerskim nisko na biodrach. Z ramion spływa płaszcz i rozwija się jakby w skrzydła. U stóp śpiącego Plantageneta czuwa lew, nie większy od buldoga. Podniósł głowę, patrzy z niechęcią na intruzów którzy jego panu zamącają spoczynek.

Z uśmiechem, z czułością żegnam rycerzyka i jego wierne zwierzę. Czas ruszać w drogę: przez smętne piękno wrzosowisk — miejsc nie nawiedzanych od motłochu, przez wzgórza szarpane i tarmoszone od wiatru — na północ.

LILNITHGOW

Linlithgow leży na połowie drogi z Edynburga do Stirling. Nie tylko geograficzne. Tutejszy pałac-zamek to ogniwo w łańcuchu: środkowa z szeregu ulubionych rezydencji królów szkockich. Dodajmy: łańcuch to ozdobny, misternie rzeźbiony. W Szkocji przełomu gotyku i renesansu na każdym kroku widać planowe, świadome nawiązywanie do tego co działo się na kontynencie, a szczególnie we Francji. Zapewne: grają tu rolę elementy polityczne, sojusze i mariaże, ale także i prężność kulturalna. Zadzierzysta chęć prześcignięcia we wspaniałości, w polorze starszych i zamożniejszych krewnych i sąsiadów. Chodząc po salach i komnatach pałacu wyczuwam w czupurnej, trochę ostentacyjnej europejskości coś swojskiego. W Polsce przecież, w tym samym co tu XV i XVI wieku potomkowie Giedymina władający z wawelskiego zamku robili wszystko co było w ich mocy by rozległe królestwo nabrało włoskiego wdzięku, francuskiej ogłady.

Pałac w Linlithgow, gdzie przepych dekoracji kontrastuje co krok z ruiną, z opuszczeniem, celnie oddaje burzliwe dzieje tych tu stron, a także losy dynastii Stuartów. To oni wznieśli i ozdobili rezydencję. Im też została ona wierna. Ich ostateczny upadek przyniósł i jej ruinę.

Tryumfalny powrót Karola II obchodzono najuroczyściej: fontanna na rynku tryskała przez kilka godzin francuskim i hiszpańskim winem a przy okazji toastów wznoszonych na cześć monarchy i jego rodziny potłuczono tyle kieliszków, że szkło wypełniło kilkanaście koszy. Spalono też znienawidzone uchwały cromwellowskie parlamentu.

Gdy po osiemdziesięciu latach, na krótko i po raz ostatni, zabłysło słońce z monarszego domu Stuartów, gdy Młodszy Pretendent, książę Karol, zatrzymał się tu w swej drodze do Edynburga urządzono mu królewskie przyjęcie. Fontanna na pałacowym podwórcu — kamienne cacko bliskie sercu jego przedków — tryskała winem. W lutym 1746 roku oddziały księcia Cumberland w marszu przeciw Karolowi zatrzymały się w Linlithgow, a biwakując w pałacu zaprószyły ogień. Rezydencja spłonęła, nie ratowana przez mieszczan którzy nie chcieli jej ocalić dla wrogich ich ukochanemu księciu zwycięzców — pożegnalny fajerwerk obchodzącej dynastii. Dynastii w której miłość do piękna — pod jaką by ono nie występowało postacią — przejawiała się nieraz z uroczą ekstrawagancją, którą najtrafniej chyba ilustruje przysłowiowe zdanie Karola II: „Let not poor Nelly starve".

Już na wyjezdnym z miasta zatrzymujemy się przy studni wzniesionej w 1720 roku. Wieńczy ją skrzydlata postać patrona miasta. U jego stóp napis: „Saint Michael is kinde to straingers". Upewnieni o przychylności Archanioła podejmujemy dalszą wędrówkę.

STIRLING

Im bliżej szczytu góry zamkowej tym bardziej uliczki zyskują na uroku a tracą na regularności. Wreszcie dochodzimy do bramy wtulonej między wąskookne wieże. Budowle poprzerastane są skałą. Na tarasach, parapetach, baterie staroświeckich dział. Wszystko tchnie tu renesansem. Wspaniałością miarkowaną dobrym smakiem. Z murów wieńczących opokę szeroki widok na zieloną okolicę. Przez stulecia zamek był kluczem do górzystej Szkocji północnej, do „Highlandów". Stamtąd angielska załoga zawsze spodziewać się mogła ataku niechętnych zmianom i cudzoziemcom górali, kochających swarliwą swobodę i rodzimą dynastię.

Ostatnio — i już od dawna — zamek używany był jako koszary i świetność wnętrz poważnie na tym ucierpiała. Prawdziwą klęską stało się zawalenie w 1777 r. stropu w sali audiencyjnej. Stropu który — jak na Wawelu — zdobiła galeria rzeźbionych w drzewie głów o potretowym zacięciu. Część z tych rzeźb — przeznaczonych na spalenie jako opał! — ocalono i można je dziś oglądać w salach Smith Institute — obecnie muzeum miejskiego. Jest też nadzieja że wrócą kiedyś na wyznaczone im przez królewskiego fundatora miejsce.

Koncepcja tego stropu i jego historia tak są podobne do pomysłu i dziejów sufitu w „Sali Poselskiej" na Wawelu (nawet powstały w tym samym niemal roku) że ogarnia zdumienie. Z uśmiechem też czyta się słowa oficjalnego przewodnika: „. . . . this unique example of ceiling architekture . . ." Z uśmiechem, bo brzmią jak echo tego co powiedziano w monografii „Głów wawelskich": „ . . . pomysł . . . zaskakuje swą oryginalnością i nie posiada — o ile nam wiadomo — odpowiednika w żadnym innym dziele sztuki renesansowej". Jak widać ani Polacy ani Szkoci nie posiadają monopolu na wiarę w „jedyność" własnych osiągnięć.

PERTHSHIRE

Zaczyna się ta droga zieloną doliną, łagodną i nieco senną. Z okien i parapetów dobrze zachowanego zamku Doune rozciąga się pastoralny widok: łąki, stada owiec i kręta wstęga Teith. Ale zaraz za Callandar okolica ulega zmianie: Zjawiają się wzgórza, rosną, drapieżnieją. Wśród nich jeziora którym towarzyszą opustoszałe niemal drogi. Wielkość, samotność ziemi.

Ruszamy piechotą po zboczu. Drzewa, potem trawy, osty, wreszcie kamienie. Przy tym wichura. Gdy skryć się w skaliste zagłębienie, jest przytulnie, ale tuż obok, na odległość wyciągniętej ręki, gwałtowność powietrza sprzeciwia się uporowi głazu.

A potem rzeka, piękna wiedźma o czarnych warkoczach, która wyrzeźbiła sobie w skałach wysokościenny pałac. Huczy teraz z uciechą i szczerzy z ciemnego jaru białe zęby pian. I znowu jeziora. Majestatyczny Loch Tay i Loch Tummel, gdzie każdy zakręt otwiera nowy widok prześcigający nieoczekiwanie malowniczość poprzedniego.

Ostro zakręcamy na południowy zachód, w dolinę rzeki Garry. Wzgórza łagodnieją, rozstępują się uprzejmie. Wjeżdżamy do miasteczka które przycupnęło nieśmiało obok zamkowego parku. U wylotu długiej alei — biała budowla: zamek Blair, rezydencja książąt Atholl, szefów klanu. Wnętrze urządzone ze smakiem i bardzo po angielsku. Dobre meble, obrazy, porcelana i znakomita kolekcja broni. Wśród wschodnich szabel zwraca uwagę szczególnie piękna perska, o typowej „karabelowej" rękojeści. Tego rodzaju szable niektórzy handlarze usiłują sprzedawać łatwowiernym „kolekcjonerom" jako polskie, gdy tymczasem wskazują one tylko — jak i ta tutaj — na źródło z którego ta broń do nas przyszła.

W zamku wiele jest śladów powiązań Athollów ze sprawą dynastii Stuartów — sprawą, której zresztą nie wszyscy członkowie rodziny byli wierni. Piękna miniatura królowej Marii, i portrety jej samej, jej rodziców i syna Jakuba VI, portret Ks. Ruperta, a wreszcie cała sala Tullibardine poświęcona Jacobitom (czego broń Boże nie należy mieszać z Jakubinami!) Tu, obok podobizn Starszego i Młodszego Pretendenta, wisi także dobry portret żony pierwszego a matki drugiego, Klementyny z Sobieskich.

Zamek zresztą obfituje w polonica. I tak na przykład w gablocie z orderami ósmego księcia Atholl, na honorowym miejscu, lśnią — wstęga i gwiazda orderu „Polonia Restituta". Ale najbardziej wrzuszające z owych śladów powiązań z Polską znaleźć można wśród kolekcji zabawek, w sali poświęconej rodzinnym klejnotom i pamiątkom. Tu osiemnastowieczna „składanka" przedstawia mapę Polski, z tym że każdy kawałek jest mapą jednego województwa. Wyobrazić sobie łatwo młodych Athollów dopasowujących mozolnie Kurlandię do Żmudzi i Kijowszczyznę do Wołynia a ten z kolei do Ziemi Chełmskiej, aby Rzeczpospolita odzyskała swą świetną całość.

Kilka mil zaledwie dzieli Blair Atholl od Pitlochry, a niemal połowa drogi wije się wzdłuż gęsto zalesionych brzegów Loch Faskally. Jakby mało było jezior w Szkocji, zrobiono niedawno i to jeszcze, sztucznie spiętrzając tamą wody rzeki Tummel. Obok tamy kręty wąż połączonych basenów — „salmon ladder", „drabina dla łososi". Przepływają one tędy w swej dorocznej wędrówce w górę rzeki i tama byłaby dla nich przeszkodą nie do przebycia.

Wyobrażam sobie że w mądrych rybich głowach cała sprawa wygląda niepoważnie: „Pierwej budują zaporę by nas nie przepuścić, a potem zadają sobie wiele trudu by skonstruować wodną ścieżkę którą można obejść przeszkodę. — Ale to szczere szaleństwo!"

Zapada zmrok. Jezioro lśni jeszcze jakby zebrało skrzętnie na swej powierzchni całą resztę światła. Ale betonowe ściany wzniesione przez ludzi czernieją, czezną. Tylko z okien hali maszyn bije blask. Tam odbierają moc zwabionej w zasadzkę rzece i przerabiają ją w elektryczność. Wiek który tak hojnie szafuje wolnością — wydziera ją, dla zysku, naturze.

FELIKS GROSS

UWAGI O ZMIANIE SPOŁECZNEJ

Na tle przemian technologicznych ostatnich czasów prof. Feliks Gross zarysowuje kierunek rozwoju stosunków społecznych. Założeniem autora jest tutaj, że kraj o najbardziej zaawansowanej technice produkcyjnej jest zwierciadłem przyszłości dla całego pozostałego świata. I otóż prof. Gross wykazuje. że obecnie w Stanach Zjednoczonych jest trzy razy więcej wykładowców i uczonych na uniwersytetach i w instytucjach naukowych, niż górników węglowych. W czołowej fabryce komputerów co drugi pracownik ma wykształcenie akademickie, a co dziesiąty ma doktorat filozofii. Oczywiście, zmiany tego rodzaju pociągają za sobą następstwa polityczne i ekonomiczne — jakie, o tym barwnie pisze prof. Gross. Jego nowa praca, sięgając myślą daleko w przyszłość, ma w sobie tchnienie utopijnej wizji. Utopia ta jednak podmurowana jest ścisłymi danymi — faktami i cyframi. Pasjonująca lektura dla ludzi o zainteresowaniach społecznych. Przedmowa Normana Thomasa, znakomitego socjologa amerykańskiego i wielokrotnego kandydata na Prezydenta USA.

Cena 10 sh., 7 NF., $ 1.50.

Skład główny: GRYF PUBLICATIONS LTD., 171, BATTERSEA CHURCH ROAD, LONDON, S.W.11.

CZESŁAW JEŚMIAN — NAOKOŁO ŚWIATA

Kotłowisko Serca Azji

Dopiero teraz można przyjąć iż połajanki pomiędzy Pekinem a Moskwą nie są rozróbką partyjnych figur walczących o kierownictwo nad komunistycznym sprzysiężeniem na świecie, ale wstępnym gambitem długofalowej wojny dwóch imperiów o panowanie nad Azją. Bez specjalnego oglądania się na opinie Azjatów w tej materii, i już z całkowitym pominięciem propagandowych bzdur o „proletariuszach wszystkich krajów": ani Rosjanom ani Chińczykom nie zależało nigdy na tym żeby otumanione przez nich barany „łączyły" się pomiędzy sobą: po 1-szym maja 1964 roku, odświętowanym bez obecności „bratnich" — wzajemnie — delegacji w stolicach Chińskiego i Sowieckiego Imperium, nie zależy im nawet na udawaniu że im zależy na międzynarodowym aspekcie marksizmu. Ani Rosjanie ani Chińczycy wyraźnie się nie przyznają do tego, ale fakty mówią co innego I dla jednych i dla drugich ideologiczna podbudówka ustroju przechodzi do kategorii „błędów i wypaczeń przeszłości". Nowe tyranie rządzące są tak pewne siebie iż do głosu w Azji „dochodzi towarzysz Mauzer". Jak dotąd słychać dopiero chrząst odwodzonego kurka.

UWERTURY

Jest ich wiele. Ograniczmy się do najpobieżniejszego zestawienia faktów. I tak np. w końcu kwietnia b.r. organizacja partyjna Orenburskiego rejonu R.S.S.F.R., czyli Rosji właściwej, bazy Imperium Sowieckiego została poddana gruntownej „czystce". Na rozkaz „naszego" Nikity Siergiejewicza została zwołana sesja nadzwyczajna miejscowego plenum partyjnego. Przewodniczył Leonid Jefremow, specjalny pełnomocnik Chruszczowa do spraw rosyjskich. Wśród znanych chamskich „chwytów" został na tym zgromadzeniu wywalony Wiktor Czurygin, miejscowy Pierwszy Sekretarz Partii a całe jego biuro oskarżone o „biurokratyzm, zaniedbanie rolnictwa i brak poczucia rzeczywistości w ocenie konkretnych zadań". Poza tym został usunięty, i jednocześnie a dosłownie wypędzony z sali obrad oraz pozbawiony członkostwa partii Prof. Ch. Chajrulin, dyrektor Orenburskiego Instytutu Rolniczego od r. 1957-go. Tego znów oskarżono o rzekome „stwarzanie dookoła siebie atmosfery czołobitności".

Mały rzut oka na mapę wystarczy by zrozumieć iż biednym „sowbiurom" dostało się po łbie za co innego. „Rajon" Orenburski jest jednym z najbardziej urodzajnych obszarów Rosji; leży na południe od Uralu i na wypadek poważnego zaangażowania się zbrojnego ZSSR w Azji Środkowej musi stać się ze względów geograficznych poprostu główną bazą zaopatrzeniową Sowietów w tej części świata. Nie trzeba być aż wróżką żeby zrozumieć iż śruba partyjna została dokręcona w całej Orenburszczyźnie i wprowadzenie nowych „opriczników" z Moskwy z nowym sekretarzem partyjnym Aleksandrem Kowalenko na czele musiało odbyć się przy akompaniamencie tradycyjnego rytuału z „likwidacją wewnętrznych wrogów" włącznie

Inną ciekawą wiadomością z tegoż — w przybliżeniu — terenu było niedawne przemówienie Saifudina, przewodniczącego Sinkiangsko - Ujgurskiego Rejonu Autonomicznego, składowej części Chin Komunistycznych. Saifudin głośno a publicznie narzekał iż Rosjanie „zwabili do siebie dziesiątki tysięcy obywateli Chińskich". Jednakże Saifudin nie powiedział głośno — co wyszperał Brian Crozier, jeden z najlepszych dziennikarzy londyńskich w „The Sunday Times" z 3-go maja br. o czymś innym a znacznie groźniejszym. Ludowo-chiński dziennikarz nie napomknął o zupełnie wyraźnych manewrach sowieckich dla odtworzenia t.zw. Wschodnio-Turkiestańskiej Republiki. Satelitę tej nazwy utworzyło w r. 1944 Sowieckie M.V.D. na terytorium okręgu Ili, części chińskiego Sinkiangu. Dziś Ili wchodzi w skład Sinkiangsko-Ujgurskiego Regionu Autonomicznego.

Wszystkie wyżej wymienione terytoria są słabo zaludnionymi i pustynnymi obszarami Środkowej Azji. Do dziś są i mało znane przez obcych i trudno dla nich dostępne. Nawet w okresie samolotów odrzutowych, chociażby dlatego iż mało tam lotnisk i jeszcze mniej wysokooktanowej benzyny. Zgrubsza należą tu i po sowieckiej stronie Kirgizja i Tadzikistan, z płaskowzgórzem Pamiru włącznie, i Kazachstan z Ałma Atą, znaną w polskiej pieśni i powieści, i chińskie dziś obszary, licząc od północy na południe Czugczak, Kildża, Urumczi Aksu, Ucz Turfan, Kaszgar i Jarkand. Zapleczem ich są pustynie Tarim przecięte okresowo wysychającą olbrzymią rzeką tejże nazwy. Od południa poprzez Himalaje przytykają tu i Pakistan, czy raczej jego lennik nawpół niepodległe i prawie niedostępne księstwo Hunza, i Indie. W teorii przynajmniej. Płaskowzgórza Ladakh w Himalajach, terytorium Indyjskie, jest obecnie okupowane przez armię chińską. Jedno z drugim obszar ekspansji kolonialnej i Sowieckiej i Chińskiej i pole manewrowe ewentualnej wojny sowiecko-chińskiej. Byłaby ona zresztą w pierwszej fazie walką o opanowanie baz wyjściowych do uderzenia na Indie. Tak długo jak półwysep indyjski nie jest opanowany albo przez Chiny albo przez Rosję tak długo ani jedno ani drugie mocarstwo nie może marzyć o panowaniu nad Azją W chwili obecnej raczej Chiny manewrują agresywnie na tym terenie. Sto lat temu Rosja cesarska nie kryła się z „nieoficjalnymi" przynajmniej, zamiarami uderzenia. Najwybitniejsi rosyjscy prokonsulowie w Azji Środkowej tamtego okresu jak gen. von Kaufman czy gen. Skobielew stale mieli na uwadze zagadnienie inwazji Indii.

SOWIECKI „LAWRENCE"

Nic też dziwnego iż właśnie tam pojawił się ostatnio tajemniczy sowiecki generał — major Zunun Tajpow. We wrześniu ubiegłego roku „Kazachstanskaja Prawda" podała iż w Sinkiangu wybuchły zaburzenia przeciw wyzyskowi władz chińskich pod przywództwem właśnie Tapowa. Powrócił on był na ojczyzny łono trzy lata przedtem. Nie bardzo jasno wynikało z „Kazachstańskiej Prawdy" czy Tajpow dowodził powstaniem, czy był podżegaczem do zamieszek, czy „powrócił" do Sinkiangu czy do Sowieckiej Republiki Kazachstańskiej. I zupełnie nie wynikało z artykułu iż gen. Tajpow jest ex-chińskim generałem Zu Lung Tai Yeh. Trzy lata temu, na jesieni 1961-go roku był on zastępcą szefa sztabu Sinkiangskiego Okręgu Wojennego i jednym z pupilów Mao, szczególnie uczulonego na opinię Chińskich Muzułmanów zamieszkujących w wielkich ilościach Sinkiang i zbliżonych i religijnie i rasowo do mieszkańców sowiecko-azjatyckich republik kolonialnych.

ZMAGANIA W SINKIANGU

Tenże Tajpow w r. 1944-tym był mimo to członkiem 13-to osobowego komitetu kierowniczego utworzonego przez sowieckie MVD dla wzniecenia powstania we Wschodnim Turkiestanie — czyli Sinkiangu, przeciw Chińskim Nacjonalistom, którzy rządzili tam i, oficjalnie byli sprzymierzeńcami Sowietów. Mao był wówczas na tym terenie „neutralny". Po zagarnięciu władzy w r. 1948 rozpoczął on rządy w Chinach od pozbywaniai się zbyt wyraźnych agentów sowieckich. Podobną politykę prowadził Czang Kaj-Szek dwadzieścia lat przedtem zanim nie wykończył Borodina. Mimo tych analogii Tajpow uchodził w Pekinie za jak najbardziej „swojego". W 1944 roku Sowieciarzom nie udało się oderwanie Sinkiangu od Chin, co leżało w planach strategicznych Stalina i sowieckie powiązania Tajpowa poszły w zapomnienie w otoczeniu Mao. Wpłynął na powierzchnię dopiero teraz. Mała a niezmiernie istotna wiadomość. Bo ilość przekupionych przez Sowiety komunistów wśród Chińskich Muzułmanów nie ogranicza się do jedynego generała-majora Tajpowa. I o tym Mao wie. Sprawa stała się jasna i jest to najlepszy dowód iż między Pekinem a Moskwą rozpoczyna się okres bezpardonowy. W r. 1927 rundę wygrali Chińczycy. W tamtych latach Kuo Min Tang uchodził za narzędzie sowieckiej polityki w Azji a Czank Kai-Szek przyznawał się iż był entuzjastą Marxa i Lenina. Zobaczymy co będzie tym razem.

„POLAND AND GERMANY"

Kwartalnik wydawany przez Ośrodek Badań Zagadnień Polsko-Niemieckich

Adres korespondencyjny: 20. Princes Gate. London. S.W. 7.

P. J. HERWARTH

CHRAPIĄCY CHIRURG

Przyglądamy się sobie z pod oka. Bardzo niechętnie. W połowie tygodnia pociąg nocny z Paryża do Londynu bywa zwykle pustawy o tej porze roku. A tu masz! Wszystkie przedziały obsadzone. Będziemy jechać we dwójkę. Konduktor, a raczej, „człowiek od Cooka", rozkłada bezradnie ręce. „Przykro mi, proszę panów, ale muszę rozłożyć górne posłanie w przedziale". „Czy nie dałoby się..." — zaczynamy jednocześnie — ja i mój przygodny towarzysz podróży. I milkniemy. Oczywiście, że się nie da nic zrobić. Każdy z nas ma bilet na jedno miejsce w wagonie sypialnym, a przedział przewidziano na dwóch.

„Człowiek od Cooka" uporał się już z górnym posłaniem, poprosił o paszporty i zawiadomił, że wagon barowy jest w przedzie pociągu. Wagon restauracyjny obok. Nie mamy ochoty na kolację. Ja zjadłem przed dwiema godzinami w mieście. Mój towarzysz widocznie też zjadł. Rozwiesza systematycznie płaszcz i kurtkę: otwiera walizeczkę, wyjmuje szlafrok, pantofle, kilka książek, z pięć magazynów. Wreszcie pojawia się zielona pidżama w lekki rzucik ze srebrnych nitek. Nie podoba mi się. Bardzo mi się nie podoba. Mruczy coś pod nosem. Mówi po francusku bardzo płynnie, ale z dziwnie chropowatym akcentem. Denerwuje mnie ten akcent, bo nie mogę go umiejscowić. Anglik mówiłby oczywiście jeszcze gorszym akcentem, ale byłby to akcent znajomy. Niemiec? Na pewno nie. Włoch lub Hiszpan? Także nie, bo cerę ma bladą i rzadkie włosy połyskują na blond.

— Pan pewno woli spać na dole — pyta jegomość z nadzieją w głosie, że może wolę spać na górnym posłaniu.

— Wolę na dole — ale pan był przede mną więc proszę wybierać — odpowiadam także z nadzieją, że nie ośmieli się wybrać dolnego posłania.

— Pan jest starszy — odpowiada jegomość z ogromną satysfakcją w głosie. Tak jak by mi mówił: Będziesz spał na dole, ale ja będę żył od ciebie dłużej.

Nieznośna bestia, myślę sobie i postanawiam ignorować go wyniośle. Łatwiej postanowić niż wykonać. Przedział wagonu sypialnego zmusza do ciągłego kontaktu. Przy rozkładaniu podręcznych gratów potrącamy się co chwilę: szczerzymy do siebie zęby w nieszczerym uśmiechu i mówimy „przepraszam". Dobiega godzina jedenasta. Zaczynam czytać książkę, siedząc nierozebrany na łóżku. Mój towarzysz już jest w pidżamie. Sterczy nade mną, pali papierosa, co za szczęście że pali, wyobrażam sobie jakby charczał, kaszlał i mruczał gdyby był niepalący. Pewno by poprosił żebym nie palił i musiałbym wychodzić na korytarz. Ale dlaczego nie idzie spać? Przecież się rozebrał.

Odkładam książkę. Przeciągam się i mówię: idę do baru, napiję się kawy i czegoś mocnego. Postaram się pana nie obudzić gdy będę wracał. „O, ja nie będę spał — odpowiada — ja nigdy nie śpię w wagonie sypialnym. Chyba że mam przedział sam dla siebie. Widzi pan ja bardzo głośno chrapię".

Masz ci los. Ale ujęła mnie jego delikatność. Ostatecznie to jest delikatność kupić sobie bilet w wagonie sypialnym zamiast lecieć samolotem i potem nie spać z obawy, że się drugiego obudzi.

— Wie pan co — mówię — ja pewno będę spał mocno, bo jestem diablo zmęczony. Więc niech pan też śpi. Zobaczymy. Jeśli będzie pan chrapał za głośno to pana obudzę. W ostateczności możemy pospać na zmianę: pan sobie pochrapie dwie godziny a ja przez ten czas poczytam. Potem pan będzie czytał a ja będę spał. Przecież po to się kupuje sliping, żeby się trochę wyspać w nocy. A tymczasem z godzinkę niech pan pośpi, ja sobie posiedzę w barze, może spotkam kogoś znajomego.

— Bardzo panu dziękuję, powiada facet, mnie rzeczywiście przyda się trochę snu, bo jestem po dwóch operacjach.

— Jakie to operacje? — pytam grzecznościowo rozsuwając drzwi.

— O ciężkie, jedna prawie trzy godziny, druga półtora. Jutro też będę miał dwie, w dodatku w zupełnie obcym szpitalu.

— A te dwie to kiedy były?

— Dzisiaj po południu — odpowiada jegomość i lekkim podrzutem ciała wskakuje na swe posłanie bez drabinki.

Oparłem się o ścianę w korytarzu i obtarłem pot z czoła. Tego tylko brakowało. Wariat. Musi być wariat. Chyba że...?

No jasne, chyba że jest chirurgiem. Odetchnąłem z ulgą. „Chrapiący chirurg". Nie wiem dlaczego rozbawiła mnie myśl, że chirurg może chrapać. Ale za chwilę chwyciły mnie znowu wątpliwości. A jeśli nie jest chirurgiem? Jeśli to wariat. Nawinął się „człowiek od Cooka". „Panie — mówię do niego — wie pan, ten pan co ze mną śpi w przedziale„ czy nie mógłby pan zajrzeć do jego paszportu..."

„Człowiek od Cooka" — zesztywniał. „Proszę pana! To naprawdę niedopuszczalne. Jeżeli pan ma jakieś powody by go o cokowiek podejrzewać, to zawiadomię celników, że chce pan z nimi się zobaczyć przed dojazdem do Boulogne. Ale muszę ostrzec, że jeśli złoży pan jakieś oskarżenie, to będzie pan odpowiadał przed sądem gdyby nie było prawdziwe!"

Zaczerwieniłem się i zacząłem się tłumaczyć: „Nie, o nic nikogo nie oskarżam, tylko chcę się dowiedzieć, czy ten pan jest chirurgiem, bo widzi pan, on mówi że chrapie i że miał dwie operację dziś po południu, a jutro ma mieć znowu dwie, w Londynie."

— Wie pan co — powiada „człowiek od Cooka", najlepiej będzie gdyby go pan zapytał czy jest chirurgiem.

Podziękowałem za radę i ruszyłem dalej w stronę wagonu barowego. Odwróciwszy się zobaczyłem, jak „człowiek od Cooka" wyciąga z torby paszporty i zabiera się do ich przeglądania.

W wagonie barowym nie znalazłem znajomych choć spotkałem kilka młodych stworzeń, z którymi znajomość chętnie bym zawarł. Kiedy indziej starałbym się teoretyczną chęć zamienić w coś bardziej praktycznego. Lecz tej nocy nie było mi to w głoiwe. Myśl o chirurgu, który chrapie w moim przedziale nie dawała mi spokoju. Wypiłem kawę. Po namyśle wypiłem jeszcze dwie. Lepiej będzie nie dać się umorzyć śpikowi.

Ostrożnie rozsunąłem drzwi przedziału. Nie usłyszałem chrapania. Jegomość leżał na swym łóżku i cichutko chichotał. Raz po razu. przestawał i znowu zaczynał. Tak chichoczą wariaci — pomyślałem sobie. Albo ludzie, którzy czytają coś bardzo zabawnego. Mój towarzysz czytał książkę. Zobaczywszy mnie nuże przepraszać: pozwoliłem sobie wziąć pana książkę. Leżała na kołdrze. To ogromnie zabawne. Bardzo przepraszam. Już oddaję.

— Ależ proszę — mówię — niech pan czyta, ja mam tu parę innych.

— Pozwoli pan? Strasznie dziękuję, poczytam jeszcze trochę.

Czytał i chichotał dalej. Przysłuchiwałem się mu przez jakiś czas, po czym zmorzył mnie sen. Trzy kawy nie pomogły. Śniła mi się sala operacyjna. Na stole pod reflektorem leżał mój towarzysz i operował własną wątrobę. Potworny sen. Zbudziłem się z okrzykiem przerażenia. Piekielne rzężenie, zgrzyt i łoskot. Leżałem przez chwilę bez ruchu. Potem przyszło olśnienie. To pewno chirurg zasnął i chrapie. Lecz nie. Przeciwnie. Pochyla głowę znad krawędzi górnego posłania i pyta: „Przyśniło się panu coś niemiłego?"

— Owszem — mówię —przyśniło mi się. I hałas mnie przeraził.

— Wtoczyli nas na peron — powiada chirurg — i teraz klinują koła. To rzeczywiście dudni i huczy paskudnie. Chce pan papierosa? Zapaliliśmy. Po chwili równe kołysanie i zupełna cisza. Jesteśmy już na Kanale.

— Za trzy godziny znowu nas obudzą — powiada mój chirurg— bo będą odklinowywać w Dover. Wie pan co? Może teraz trochę pośpię? Ale, błagam, jeśli będę za głośno chrapał, niech się pan nie krępuje i niech mnie pan budzi.

Co powiedziawszy zgasił lampkę, obrócił się ciężko na bok, westchnął raz i drugi. Zaraz zacznie chrapać — pomyślałem. Nieznośne czekanie. Kiedy wreszcie zachrapie? Czekałem w coraz większym napięciu. Powinien już chrapać. Może nie śpi. Ostrożnie zaglądam, wychylając się z łóżka. Śpi. Śpi i wcale nie chrapie. Czekałem. Aż do brzegów Anglii nie zachrapał. W Dover odklinowali nam wagony, wytoczyli z czeluści promu, przetoczyli na tor, pojechaliśmy do przodu, pojechaliśmy do tyłu. Lokomotywy świszczały i sapały, kolejarze gwizdali i nawoływali. Bufory waliły o siebie, wagony drgały, podskakiwały, zgrzytały. Wreszcie w mglistej poświacie poranku zobaczyłem przez okno zarysy ogromnego zamku, potem śpiące ulice willowe, wreszcie zielone pola. Anglia.

Mój chirurg nie drgnął ani razu na posłaniu. Obudził się dopiero na śniadanie. „Wspaniale się wyspałem — powiada prychając nad umywalnią — wspaniale. Dawno tak nie spałem. Człowiek czuje się rzeźki i gotów do roboty. Ale — zaniepokoił się — pan wygląda jakoś szaro i mizernie... No, tak nie dałem panu spać...

— Tak, nie dał mi pan spać, czekałem aż pan zachrapie. Po co mi pan mówił, że pan chrapie. Pan wcale nie chrapie..

— Naprawdę? — ucieszył się. Czy pan może mi to dać na piśmie... że ja nie chrapię? To się może przydać.

Zanim zdążyłem zareagować na tak niezwykłą propozycję „człowiek od Cooka" wsadził głowę do przedziału: za pięć minut Londyn. Oddaję paszporty. Już po formalnościach. Proszę: Mister Herwarth. Dr Bednarski... Bednarski?!

— Dlaczego pan nie powiedział, że pan jest Polakiem?

— Sądziłem, że się pan domyśli. Nie było chyba trudno. Już od godziny rozmawiamy po polsku. Proszę oddaję panu książkę, dzięki niej tak świetnie mi się spało.

Musiałem mieć baranią minę patrząc na dobrze znany tytuł: „O Duchach, Diabłach i Kobietach". Kornel Makuszyński.

Dr Bednarski ruszył z walizką do wyjścia. „Niech się pan nie martwi — rzucił mi na pożegnanie — to tylko skleroza. Zwykła rzecz w pana wieku."

(Za zezwoleniem Rozgłośni Polskiej Radia Wolnej Europy)

PAWEŁ ZAREMBA

Od Kircholmu po Marston Moor

27 września 1605 r. Hetman Wielki litewski Karol Chodkiewicz pobił armię szwedzką pod Kircholmem, zwanym po łotewsku Salaspils, nad Dźwiną niedaleko Rygi. Było to jedno z najświetniejszych zwycięstw polskich i zarazem jedna z najciekawszych bitew XVI i XVII wieku z tego przede wszystkim względu, że dała rzadkie ówcześnie zupełne rozstrzygnięcie, kończąc tym samym wojnę. W ciągu tygodnia po Kircholmie „nie było już ani jednego Szweda w Inflantach". Triumfowi wojskowemu towarzyszył więc triumf polityczny. Korzyści, które z niego Rzeczypospolita osiągnęła nie trwały wiele ponad piętnaście lat, lecz dlaczego tak się stało jest już innym zagadnieniem.

Wiadomość o Kircholmie rozeszła się szybko po Europie, gdzie ją przyjęto dość obojętnie. Wojnę uważano za spór odległy, wiedząc o niej tyle tylko, że toczy ją Zygmunt III przeciwko uzurpatorowi tronu szwedzkiego, jakim był w powszechnym mniemaniu Karol Sudermański. Za uzurpatora uważano go także w Anglii, zwłaszcza na dworze króla Jakuba I, choć uczucia społeczeństwa były już podzielone, gdyż w Szwecji zaczynano widzieć obrońcę protestantyzmu i powrót Wazów na tron w Sztokholmie uznawano za niebezpieczny ze względów wyznaniowych. Z drugiej znowu strony sfery kupieckie Londynu chętniej widziały panowanie polskie w Rydze i w innych portach inflanckich, niż usadowienie się w nich Szwedów. Poglądy te miały ulegać kilkakrotnym przeobrażeniom w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat. Tymczasem Kircholm był tylko sensacją; ciekawą — z tych samych powodów, dla których do dziś budzi podziw.

Uderzała wszystkich dysproporcja sił. Chodkiewicz miał około 2.400 jazdy i tysiąc piechoty, która zresztą nie wzięła zbyt czynnego udziału w walnym spotkaniu. Karol IX dowodzący osobiście armią szwedzką prowadził 14 tysięcy ludzi, wśród nich obok doborowych pułków szwedzkich i fińskich tak że sporo doświadczonych oddziałów najemnych niemieckich. Co ważniejsze Szwedzi przystąpili do bitwy w oparciu o założenia naukowej doktryny wojskowej stworzonej i wypróbowanej przez mistrzów sztuki wojennej, jakimi byli wielcy wodzowie holenderscy. Doktryna zalecała walkę w silnych formacjach piechoty, w oparciu o coraz wzrastającą siłę ognia broni ręcznej i artylerii i przy zastosowaniu umocnień polowych. Czworoboki najeżone pikami i ziejące ogniem muszkietów, z działami w lukach i z kawalerią pilnującą skrzydeł, były prawdziwymi fortecami ruchomymi i ich rozbicie uważano za zupełnie niemożliwe. Zwycięstwo w bitwie zapewnić mogła tylko przewaga liczebna, dogodniej wybrany teren i doświadczenie dowódcy, gdy wyzyskał jakiś mały błąd taktyczny przeciwnika. Bitwa, która by przyniosła klęskę całkowitą była zupełną rzadkością. Raczej rozgrywano szereg bitew nierozstrzygniętych zajmując powoli teren nieprzyjacielski a zwłaszcza miasta i warownie, po długim rzecz jasna oblężeniu.

Doktryna ta nie zdała egzaminu w spotkaniu z Polakami. Chodkiewicz zastosował taktykę polską, wypracowaną przez cały wiek XVI-ty na doświadczeniach wojen z sąsiadami wschodnimi. W taktyce tej manewr i szybkość uderzenia a nie przewaga ogniowa były czynnikami decydującymi. Pod Kircholmem Chodkiewicz natarł „polską modą" od skrzydeł, zmiótł z pola rajtarię i puścił chorągwie polskie do szarży na czworoboki piechoty. W bitwie, która nie trwała ponad dwie godziny przemyślna machina wojenna szwedzka została całkowicie zdezorganizowana i pomimo rozpaczliwej obrony przemieniła się w rzeź, w której straciło życie 9.000 Szwedów, częściowo na polu walki, częściowo w ucieczce przez Dźwinę.

Od bitwy pod Kircholmem zaczęła się ewolucja europejskiej myśli wojskowej. Dokonali jej właśnie pobici pod Kircholmem Szwedzi a wykorzystali ją także Anglicy w czasie swej długiej wojny domowej między zwolennikami monarchii i parlamentu, którą znamy pod popularną nazwą rewolucji cromwellowskiej. Nie oznaczało to rzecz jasna zaniedbania dalszego postępu w dziedzinie uzbrojenia, udoskonalania broni palnej i inżynierii wojskowej, w czym Polacy przestali nadążać za swymi przeciwnikami, czego przykre dowody znajdujemy w następnych wojnach szwedzkich. Niemniej Kircholm był początkiem tych przemian w rzemiośle wojennym, które przywróciły czołowe miejsce manewrowi i natarciu z wykorzystaniem zaskoczenia i załamania odporności psychicznej nieprzyjaciela. W tym broń szybka, tj. kawaleria, odgrywała rolę główną. Wiek XVII-ty stał się okresem odrodzenia kawalerii jako broni decydującej na polu bitwy. Historiografia zachodnia przypisuje w tym główną zasługę Gustawowi-Adolfowi. Słusznie, lecz z tym zastrzeżeniem, czy poprawką, że doktryna wojny ruchomej i taktycznego zastosowania kawalerii rozwinięta przez Szwedów miała swój początek w ich doświadczeniach wyniesionych z walk z Polakami.

W pierwszej połowie XVII-go wieku Szwecja stała się czołową potęgą wojskową w Europie, czego najważniejsze przykłady znajdujemy w smutnych dziejach Wojny Trzydziestoletniej. Doprowadziła do perfekcji system uzupełnień i organizacji wojska. Oparła ją o powszechny obowiązek służby wojskowej wszystkich bez wyjątku stanów, co pozwalało jej na tworzenie rdzenia swych armii z elementu patriotycznego i narodowo uświadomionego. Rdzenia, gdyż ilościowo nieraz połowa oddziałów szwedzkich składała się z wojsk najemnych rekrutowanych głównie w Niemczech. Niekiedy Niemców było więcej niż Szweódw w poszczególnych korpusach. Takim był na przykład korpus generała Millera, oblegający klasztor jasnogórski w czasie „Potopu". W większości wypadków jednak wojska szwedzkie były mniej liczne od nieprzyjaciół, z którymi przychodziło im walczyć. Pod tym względem bywali w położeniu tym samym jakie z reguły towarzyszyło bojom staczanym przez Polaków. Brak ludzi zastępowali szybkością strategiczną i metodą energicznego uderzenia gdy chodzi o taktykę. Ostatnie jak gdyby elementy „doktryny wojennej" Gustawa-Adolfa powstawały pod Trzcianną w roku 1627, gdy Stanisław Koniecpolski omal nie powtórzył chodkiewiczowskiego zwycięstwa pod Kircholmem. Z doświadczeniem tym, ujętym w formę porządnych regulaminów i

(Dokończenie obok)

400-LECIE DRUKARSTWA... ALE NIE ROSYJSKIEGO

W Sowietach obchodzono przed paru tygodniami 400-lecie drukarstwa rosyjskiego. Istotnie, w roku 1564 ukazała się pierwsza rosyjska książka drukowana, zatytułowana „Apostoł". Była to zasługa Iwana Fiodorowa i jego pomocnika, Piotra Mścisławca.

Jest jednak pewien ważny szczegół, nad którym prasa sowiecka nie rozwodzi się szeroko. Oto „Apostoł" został wydrukowany w Wilnie, gdzie Fiodorow pracował szereg lat, zanim przeniósł się do Lwowa. Książkę można więc włączać do historii kultury rosyjskiej, ale jest ona w pierwszym rzędzie pomnikiem tolerancji dawnej Rzeczypospolitej. Na jej obszarze ludzie różnych wiar i języków mogli swobodnie drukować swe dzieła. W roku 1564 panował król Zygmunt August, któremu w 5 lat później udało się jeszcze ściślej zespolić Polskę z Litwą w wiekopomnej Unii Lubelskiej.

„Apostoł" należy zatem również do historii drukarstwa w dawnej Rzeczypospolitej. Wilno i Lwów były silnymi ogniskami kultury, zanim jakakolwiek książka została drukowana w olbrzymim państwie carów. (LWIL)

ADAM CIOŁKOSZ

KAROL MARKS A POWSTANIE STYCZNIOWE

Praca ta, wynik żmudnych badań, których wyniki obalają niejedną od dawna uświęconą fikcję, a także fałsze komunistycznych historyków. Autor odtwarza prawdziwy obraz Pierwszej Międzynarodówki, w której — jeśli chodzi o stosunek do Polski — ścierały się z sobą dwa prądy: jeden, skupiony wokół Marksa i angażujący się zdecydowanie w poparcie dla sprawy polskiej i drugi, pozostający pod wpływem Proudhona, zdecydowanie dla Polski nieżyczliwy. Przez 40 lat Marks słowem żywym i drukowanym niestrudzenie bronił praw Polski do niepodległości, gdyż widział w niej wielkie ognisko wolności na wschodzie Europy, a w jej odbudowie znajdował przesłankę likwidacji państwa pruskiego i carskiej Rosji. Plastycznie odtworzony obraz walk wewnętrznych w Pierwszej Międzynarodówce przykuwa uwagę czytelnika od pierwszych do ostatnich słów tej rewelacyjnej rozprawy, stanowiącej ostatnie słowo badań na temat stosunku Marksa do sprawy polskiej. 14 ilustracji, niektóre z nich opublikowane po raz pierwszy, zdobi tę pracę.

Cena 10 sh., 7 NF., $ 1.50.

Skład główny: GRYF PUBLICATIONS LTD.,
171, BATTERSEA CHURCH ROAD, LONDON, S.W. 11.

B.D.I.C

instrukcji poszły wojska szwedzkie na wojnę przeciw Habsburgom na terenie Niemiec.

Przede wszystkim nakazał Gustaw-Adolf szarżować swojej kawalerii. Na Zachodzie przeważała dotychczas ta sama taktyka, którą bez powodzenia stosował Karol IX pod Kircholmem. Kawalerię szykowano w tzw. kornety, nieporęczne formacje bijące się tzw. karakolem. Polegało to na tym, że kolejne szeregi konnej kolumny podjeżdżały kłusem pod przeciwnika, przystawały i strzelały z pistoletów lub arkebuzów. Wystrzeliwszy, zjeżdżały na tył kolumny, dając miejsce następnemu szeregowi. Taka zabawa trwała długo i zwykle kończyła się na niczym, gdyż skuteczność ognia była niewielka. Szwedzi, ku przerażeniu swych nieprzyjaciół zaczęli szarżować w zwartej masie. Podobnie jak Polacy z tym tylko, że Szwedzi nie zdobyli się na wprowadzenie kopii lub lancy jako broni dla swych jeźdźców i że zachowali zasadę strzelania z konia, lecz już w galopie i z odległości kilku kroków.

Zamiast „konnej piechoty" Gustaw-Adolf stworzył kawalerię, używaną w masie jako główna siła uderzeniowa, obliczoną na zdemoralizowanie nieprzyjaciela i zmuszenie go do panicznej ucieczki. I długo nie znajdywali Szwedzi godnych siebie przeciwników, chyba gdy przychodziło im potykać się z chorągwiami polskimi. Nie tylko w Polsce, gdyż także na terenie Niemiec natykali się na „Lisowczyków" walczących za pieniądze po stronie habsburkiej.

I Szwedów i Lisowczyków widział w walce Rupert, siostrzeniec Karola I angielskiego, syn „króla zimowego Czech", Fryderyka księcia-palatyna reńskiego, noszący sam tytuł księcia Łużyc, jako pretendent do korony czeskiej. Rupertowi zlecił Karol I dowództwo i organizację kawalerii wojsk wiernych królowi, gdy w roku 1642 wybuchła w Anglii wojna domowa. Na polach Edgehill, 23 października 1642 roku, „kawalerowie" księcia Ruperta zamiast potykać się karakolem z wojskami parlamentu ruszyli do szarży na nieporadne kornety i na piechotę, równie pełną zapału co niewyszkoloną z pośród czeladników londyńskich. Nie wynikł z tego żaden Kircholm ani Luetzen, niemniej po Anglii poszła gadka pełna grozy, że konnicy Ruperta nikt nie zdoła stawić czoła, gdyż nie zważając na ogień i na „prawidła wojenne" starannie wykładane przez holenderskich instruktorów, szarżuje jak wichura z szablą w ręku.

Pod Edgehill przyglądał się szarży milczący ziemianin z Huntingdonshire, przyszły lord-protektor Anglii, Oliver Cromwell. W ciągu dwóch lat stworzył czterdziestotysięczną armię, złożoną z idealistów, ujętą w żelazną dyscyplinę i niezwyciężoną w boju. Byli to „Ironsides" — „Żelaznoboki" — jak nazwał ich pobity przez nich pod Marston Moor tenże książę Rupert, z czułością, tak bardzo typową dla żołnierzy bez względu na to czy stoją w szeregu ramię przy ramieniu czy też potykają się ze sobą na polu bitwy. Idąc do boju kawalerzyści Cromwella śpiewali psalmy, tak jak chorągwie Chodkiewicza, Żółkiewskiego czy Czarnieckiego śpiewały godzinki. I tak samo jak oni nie oglądając się na siły nieprzyjaciela „szli w dym", to znaczy prosto w ogień jego muszkietów. Czyli szarżowali.

Daleka i dziwna to droga z pod Kircholmu czy Kłuszyna pod Edgehill i Marston Moor. Lecz można wysnuć wiele podobnych dziwnych szlaków, po których wędrowały wzajemne wpływy polskie i angielskie. Pod Kłuszynem po stronie moskiewskiej walczyło sporo Anglików, lecz jednocześnie wielu Anglików i Szkotów walczyło w szeregach polskich z tą samą Moskwą i uczyli się jedni od drugich.

A osiem tysięcy ochotników z Anglii wybrało się by walczyć z Turkami w pierwszej wojnie chocimskiej. Nie zdążyli na Podole i na Bukowinę, lecz długie lata tułali się po Prusach i po Pomorzu biorąc udział w wojnie między Polską i Szwecją, po obydwuch stronach. Niejednego z nich bogatszego w doświadczenia wyniesione z walk u boku Polaków lub przeciwko nim, wojna cromwellowska znalazła znowu na koniu na rodzinnych polach środkowej i wschodniej Anglii. Lecz o tym może kiedy indziej.

Paweł Zaremba

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Przyrównał Wiesław Wohnout słowa do cegieł, w którymś ze swych felietonów w „Dzienniku Polskim". Że to niby należy je ustawiać jedne nad drugimi i jedno koło drugiego starannie, dobierając kształt, rozmiar i urodę. Tak jak murarz. Nie należy też zapominać o zaprawie murarskiej; z wapna i piasku starannie umieszanej, która to zaprawa owe cegły spoi w jeden mur.

Dobieranie słów stanowi o sztuce pisarskiej, tak jak dobieranie cegieł o sztuce murarskiej. Kto dobrze dobiera jest dobrym pisarzem lub dobrym murarzem. Kto dobiera źle jest... sami wiecie kim.

Bądźmi ściśli. Wiesław Wohnout słowa przyrównał nie do cegieł lecz do cegiełek. Wspominam o tym dla ścisłości historycznej, lub jak się to obecnie w żargonie naukowo-publicystycznym mówi: faktograficznej. Br! Brzydka cegła. Chciałem powiedzieć brzydkie słowo.

Jest takich brzydkich słów w języku polskim dużo a murarze-pisarze nie szczędzą trudu by ich było coraz więcej. Dodatkowe spostrzeżenie; choćbyś najstaranniej brzydkie słowa dobierał i ustawiał koło siebie nie wyrośnie z tego nigdy ładny mur.

Budownictwo pisarskie

Wolałbym doprawdy by Wohnout inną parabolę wybrał chcąc wytłumaczyć czytelnikom na czym polega różnica między dobrym a złym pisaniem. Wytłumaczyć czytelnikom, a pewno także i pisarzom, gdyż Wiesław Wohnout jest jak wiadomo, Prezesem Emigracyjnego Związku tychże pisarzy.

Pisarzom trzeba tłumaczyć, czytelnikom niekoniecznie. Bo czytelnik, gdy mu się coś nie podoba, bo jest jego zdaniem liche jak kwaśne wino, nalane w rżnięty z kryształu kieliszek (ten kieliszek to oczywiście „organ", w którym pisarz się produkuje) przestaje czytać. I kropka. Natomiast pisarz nie przestaje pisać, choć powinien. Nie na zawsze. O nie. Na chwilę, choćby na trochę, do czasu aż mu coś ciekawego do głowy przyjdzie.

Z tego byłby wniosek, że tak jak czytelnik powinien czytać to tylko co mu się wydaje ciekawe, tak samo pisarz pisać powinien tylko wtedy, gdy ma coś ciekawego do napisania.

W tym miejscu powinienem dać odnośnik tłumaczący „metodycznie" o co mi chodzi. Nie czynię tego. Zamiast odnośnika, kto ciekawy będzie mógł przeczytać następną „plotkę". Tymczasem wracam do słów i cegieł, by się wytłumaczyć, dlaczego sprawiłbyś mi radość, drogi Wiesławie, gdybyś był inne, niż ceglane porównanie wymyślił w swoim felietonie.

Otóż dlatego, że cegła, jak każdemu z nas wiadomo, wychodzi z użycia w nowoczesnym budownictwie. Kto buduje z cegły? Owszem budują jeszcze Anglicy, jako konserwatyści, tudzież Polacy (niekiedy) jako że najtaniej. Ale poza tym, poza chałupkami krzywymi jak podmiejskie poglądy na kulturę, czy się je stawia w Nowej Hucie (to pod Krakowem, niebezpieczne sąsiedztwo i dla Krakowa i dla Nowej Huty) czy też w Chipstown-upon-Squash, każdy buduje z betonu, stali, żelaza, żelbetonu itd. itp. Cegła zanika w rozmachu dwudziestowiecznego budownictwa. Spada do roli półzdoby — pół murarskiego „faute de mieux". Nie ma czym wypełnić ścianki działowej, która niczego nie dzieli i niczego nie podtrzymuje? Zabrakło płyt azbestowych czy innych przemyślnych tafli szklanych? Jazda! Dajemy cegłę. Malujemy ją na kolor „naturalny" czyli czerwony i niech nam zdobi wnętrze i zewnętrze budynku. Ale, czy będzie cegła czy jej nie będzie budynek i tak będzie stał. Zwiozą trochę kawałków „prefabricated" (do diabła! jak się to nazywa po polsku?), mnóstwo żelaza, jeszcze więcej cementu. Ustawią ogromne krany. I zbudują. Będzie stało. Będzie cieszyć albo drażnić oczy, w zależności od tego jak się komu podoba. A czy w tym będzie trochę cegły to rzecz obojętna.

Pisarstwo budowlane

Jeśli zatem jest związek między budownictwem i pisarstwem to myśli nachodzą mnie smutne. Jeśli dobierać będziemy starannie cegły jako słowa lub słowa jako cegły („cegiełki" woli pisać Wohnout — a dlaczego woli spróbuję i to wytłumaczyć za chwilę) to będzie to tylko sztuka dekoracyjna, bez znaczenia dla celu budowy. I celu pisania.

Czyż z tego wniosek, że nowoczesne pisarstwo powinno obywać się bez słów? Nie, tego nie twierdzę. Chcę tylko podsunąć myśl panom pisarzom, że budowle, wielkie i małe, użytkowe i monumentalne, starożytne i nowoczesne, tylko wtedy mają sens gdy są komuś, na coś potrzebne.

„Plotek" dawno już nie było...

A no nie było. Cieszą mnie (choć także smucą) listy i pytania w rozmowach z głównym motywem „dlaczego?". Odpowiedzi wiele. A to a tamto. Że to niby wyjechałem. Potem przyjechałem. Potem znowu wyjechałem. Byłem chory. Byłem zmęczony. Nie chcieli mnie drukować, bo zażądałem podwyżki honorarium. Maszyna mi się zepsuła. Zapłacili mi lepiej w radio. Cóż jeszcze? Ach, można by mnóstwo odpowiedzi wymyśleć.

(W nawiasie: jedną z odpowiedzi mógłbym ubrać w pióra wysoce kulturalne. Pomysł nasuwa mi użycie słówka „ach". Czytałem Bohdana Zaleskiego i to mi zajęło mnóstwo czasu. „Czerpie garście płonącego złota" — parafrazował Słowacki Mickiewicza Adama. „Czerpie, ach, dwie garstki złota" — parafrazował dalej mistrz Juliusz Bohdana Zaleskiego).

Lecz chociaż z zawodu jestem dziennikarzem chcę niekiedy być uczciwy. Więc odpowiedź prawdziwa: nie miałem nic do napisania. Nawet cegły, z których teraz jak powiedziałem mało domów się buduje, ustawia się po to, by z nich powstał mur. Miałem cegły, miałem słowa, lecz nie chciałem nic budować.

Głaz i kałdun, cegiełka i brzuszek

Zaraz skończę z budownictwem i przejdę do czego innego, jeśli korektora razem z redaktorem szlag nie trafi i nie przekreślą reszty dzisiejszego maszynopisu jednym, energicznym pociągnięciem tępego ołówka.

O co mi chodziło? Acha. O zdrobnienia. Czyli „diminutiwy". Potężna to broń w języku owe zdrobnienia. „Il professorino" — powiada Włoch o kimś, bardzo zacnym i uczonym. Nie obraził. Broń Boże. Wyraził swą pieczołowitą do naukowego osobnika miłość. Lecz przecież... „Un zapaterito" — powiada Hiszpan. Nie szewc, nie „obuwnik". Po prostu szewczyna. Kochana, droga, „nasza" szewczyna. Szkoda, że się nie pisze „d" bo by się wtedy pisał „wersalikami". Czyli „capsem". Czyli z wielkiej litery.

„Kałdun mnie boli" powiada Gargantua u Rabelais. „Brzuszek ją zabolał" — powiada czuła ciocia o niewdzięcznym dziecięciu. To nie tylko sprawa wymiarów tej części anatomii. To sprawa postawy filozoficznej, stosunku do życia w szczególe i w ogóle. Olbrzymi (Cyklopi? — Jeden Wieniewski wie na pewno) budowali z głazów. Instytucje charytatywne „budują z cegiełek". Poeci piszą słowami — dziennikarki w damskich magazynach piszą „słóweczkami".

Boy pisał „słówkami" — lecz Boy miał prawo, bo wiedział czego chce...

„Rozcharatałem sobie grabę" — powiada tokarz warszawski, gdy go przyjaciele widzą z ręką na temblaku. „Rączka rączkę myje" — przepowiada sobie zaraz po pacierzu pan radca z „namiestnictwa", pan referendarz ze starostwa, pan pisarz ze Związku Pisarzy, tudzież ksiądz wikary. Oraz towarzysz-sekretarz z aktywu załogowego w fabryce imienia Ireneusza Myrły, bojownika o prawa Ludu.

Marzenia na wyrost

Jeśli to wszystko co dotychczas napisałem zechcą wydrukować to pójdę na wino. „I tak pójdziesz" — szepczą znajomi, tudzież przyjaciele, szczerzy i nieszczerzy. Święta racja.

Dodam więcej. Nie byłbym napisał tego co napisałem, gdybym nie był poszedł na wino zanim się nie wziąłem do pisania. Żal mi was czytelnicy młodzi, jeśli mam i takich, wychowani w sobotnich szkołach przedmiotów ojczystych" przytulonych pod skrzydła szkół angielskich i błogosławionych dobrotliwie przez zespół księży proboszczów polskich parafii w Anglii i w Walii, przy gderliwym współudziale miejscowego Koła SPK. Czego on chce z tym „był bym" i jeszcze raz „był?" I dlaczego się „nie wziął" kiedy się wziął?

Nie wiem. Doprawdy nie wiem.

Wiedza i wola to dwie różne rzeczy. Chcieć i wiedzieć... Co ważniejsze? Co ludziom potrzebniejsze? Pewno wiedza, wbrew temu co nam wieszcz Adam zalecał. Lecz co piękniejsze? Niech się nikt nie sili na odpowiedź.

„O, Lochanbar Loch I wish you were whisky" — śpiewa Andy Stewart. Rozumiem tę tęsknotę. „If I ruled the world, every day would be the first day of Spring" — śpiewa Harry Seccum. Skłaniam czoło przed tym marzeniem.

Maj dobiega końca

Ładnie jest. Ciepło i pogodnie. Trawa, kwiaty etc. Z zagrzania i przewiania mam „ischias" albo „lumbago". Nie wiem które, ale mi wszystko jedno. Ludzie czują w sobie wigor. „Elle" produkuje nowe modele sukienek, kostiumów kąpielowych, kostiumów plażowych, pidżam, sweterków, tudzież bielizny damskiej. Ta ostatnia napawa mnie poważnymi myślami. Budzi się we mnie historyk. Jeśli na czym najlepiej zmierzyć postęp myśli i poglądów, a jednocześnie postęp techniki i produkcji to chyba na wyglądzie i konstrukcji damskiej bielizny. Pamiętam, przed laty trzydziestu. Dosyć. Co pamiętam to moje a pisać o tym nie będę, chyba, że ustroję w naukowe odnośniki, bo wówczas wszystko ujdzie.

A więc ma. W Anglii „mods" tłuką się z „rockers" i tłuką się z policjantami. Dlaczego? Nikt nie wie, a najmniej oni sami. Na Soho sprzedają na tony „purple hearts". To samo dzieje się w Monachium, w Nowym Jorku, w Brukseli i w Sztokholmie. Ludziska szykują się na wyjazdy wakacyjne. Dzieci marzą o zakończeniu szkoły. Moja córka obchodzi pierwsze w życiu imieniny a politycy robią głupstwa.

Po południu chce się spać. Więc w niedzielę dobrze wyciągnąć się na godzinkę, poczytać coś o czym trzeba by napisać, aż się książka usunie na podłogę i zrobi się przyjemnie, chłodocieplawo. Zmęczony drugą połową dwudziestego wieku mózg odbierze gdzieś ze starych taśm pamięci widok łąki z kaczeńcami, białą gipsową figurę o mocnych złoceniach na tle krzaków bzu. I gromadkę dobrych ludzi co śpiewają pod figurą: „Chwalcie łąki umajone..."

J. P. H.

IRENA SAS

Chruszczow w Egipcie

Po pobycie Chruszczowa w Egipcie można już dokonać prowizorycznego bilansu. Uderza w pierwszym rzędzie, że obok jednomyślności partnerów w ocenie wyników współpracy sowiecko-arabskiej, występują także różnice lub nawet sprzeczności w ocenie motywów tej współpracy.

Poświęćmy kilka słów centralnemu punktowi uroczystości a mianowicie zakończeniu pierwszej fazy budowy tamy assuanskiej. Zważywszy, że porozumienie w tej sprawie zawarto już w roku 1957, trzeba stwierdzić, że siedem lat „na odwrócenie biegu Nilu" to trochę długo. A jeśli dodać do tego jeszcze pięć lat, które oficjalnie dzielą nas od całkowitego zakończenia prac, jedenaście lat — to może bardzo piękne dla techniki sowieckiej i egipskiej, ale niezbyt efektowne w mierniku światowym. Wreszcie nie trzeba zapominać, opierając się o statystyki sowieckie i egipskie, że ziemie zdobyte wskutek irygacji (najwcześniej w roku 1969) pozwolą zaledwie na wyżywienie naturalnego przyrostu Egiptu na obecnym poziomie fellaha. To też bardzo mało. Konsekwencją budowy tamy będzie oczywiście rozrost przemysłowy Egiptu, powstanie jednak od razu problem gdzie sprzedawać produkty tego przemysłu, gdy wewnętrzne zapotrzebowanie chyba zbytnio nie wzrośnie. Ponadto posiadanie dużej klasy robotniczej zmienić musi stosunek sił społecznych w rolniczym dotąd kraju. Sowiety w ten sposób wreszcie będą mogły gadać nie tylko z dyktatorem i jego sztabami, lecz też z „ludem". Tyle o tamie.

A teraz teoria. Prasa i propaganda t.zw. Zjednoczonej Republiki Arabskiej od 10 lat z uporem przekonywuje świat, że w żadnym stopniu nie uległa wpływom komunistycznym. Twierdzi ona, że Egipt ma swój własny, samorodny socjalizm, wrogi systemowi komunistycznemu. Dla podtrzymania tej propagandy aresztuje się co pewien czas po kilkanaście czy kilkadziesiąt osób, pod zarzutem działalności komunistycznej. Osoby te przetrzymuje się w więzieniu nie podając nazwisk aresztowanych, a potem unikając z reguły jakiegokolwiek postępowania sądowego, wypuszcza się je pocichu gdy się nadarzy okazja. Taką okazją bywa czy wizyta kogoś z Egiptu w Moskwie dla wybłagania nowych kredytów, czy vice versa — jak obecnie. Propaganda egipska wyobraża sobie, że cały świat nie wątpi, że w Egipcie komunizm się tępi. A tymczasem jak dotąd — jedynym chyba krajem, który w te manewry dość prymitywne wierzy, są Stany Zjednoczone, wierzące uporczywie, że Nasser jest człowiekiem opatrznościowym.

Analizując stanowisko Związku Sowieckiego dojść łatwo do wniosku, że jest ono bardziej przemyślane i co więcej — prostolinijne. Sowiety postanowiły sobie, stawiając po raz pierwszy stopę na terenie Środkowego Wschodu w roku 1955, że udowodnią, iż pragną pomagać Afro-Azjatom w sposób bezinteresowny. Dotyczy to w szczególności krajów arabskich, a zwłaszcza Egiptu. Wszelka pomoc dawana w tych warunkach Egiptowi ma być dowodem, że Sowiety są absolutnie lojalne. W ten sposób polityka sowiecka przymyka oczy na pewne skoki polityczne Nassera jak n.p. ostatni kontakt z Czu En-lai'em czy poprzednie flirty z Titą czy wreszcie ton propagandy egipskiej.

Wszystko właściwie rozwijało się zgodnie z planem. Gdyby nie to, że ostatnio chyba miarka została nieco przez Moskwę przebrana. Nominacja Nassera i Amera na bohaterów Związku Sowieckiego z oficjalnym żołdem 124 rubli miesięcznie (i to dożywotnio) na głowę, musiała nawet nieuleczalnych optymistów napełnić goryczą i niesmakiem. Dymisja urzędującego ambasadora amerykańskiego w Kairze związanego z tym krajem od lat 40, chyba na to wskazuje.

Wizyta Chruszczowa w Egipcie pomyślana jako niezawodny triumf prestiżowy o magnetycznej atrakcyjności może dać, wbrew nadziejom, wynik inny, niż go się spodziewano w Moskwie i nad Nilem.

ROZWÓJ FIZYCZNY MŁODZIEŻY WARSZAWSKIEJ

Na przestrzeni ostatnich 21—23 lat — pisze reżymowy tygodnik „Świat" (nr 16) — w procesie rozwoju dzieci i młodzieży warszawskiej zaszły zasadnicze zmiany. „W niektórych grupach wieku wysokość ciała zwiększyła się przeciętnie o 12,5 cm (centymetra), ciężar zaś — o 21 kilogramów. Tabele wskazują, iż w 1960 roku 15-letni chłopcy mierzyli przeciętnie 166,6 cm, a dziewczęta — 159,6 cm", czyli — jak twierdzi „Świat" — więcej o 0,6 cm niż przeciętny Polak w 1938 roku i o 2,6 cm niż przeciętna Polka w tymże roku.

Tygodnik informuje że „młodzież warszawska, jeśli idzie o Polskę, bynajmniej nie znajduje się na czele w rozwoju fizycznym. Stolicę wyprzedza Szczecin, gdzie obserwuje się najbardziej równomierne tempo i rytm rozwoju. Daleko zaś za Warszawą i Szczecinem pozostają Katowice", których „mikroklimat hamuje lub, co więcej, wypacza rozwój młodego ustroju ludzkiego, pomimo rozbudowywanych obecnie 'zielonych płuc' Śląska. Nie równoważą one wszakże braku wielkich filtrów przeciwdymowych oraz urządzeń, ratujących rzeki i baseny przed chemiczną śmiercią".

(FEC)

KUŹMA WOŁK

S A Ł A T K A

Obecny przegląd jest moim Czynem Dwudziestolecia. Jest wesele wbrew temu co twierdzi, w ślad za Stanisławem Wyspiańskim Sławomir Mrożek, i wobec tego postanowiłem dać naręcze kwiecia, jak to się mawia nieodmiennie w polskich komunikatach urzędowych przy KAŻDYM systemie, z coraz to smutniejszej, ale ciągle jeszcze obfitej oślej łąki zadrukowanej słowem w PRL. Zaczynajmy:

Szczęśliwi lekarze polsko-ludowi

„Magazyn Polski" (kwiecień 1964) pisze:

„Lekarze w Polsce wolni są od trosk swoich francuskich kolegów: nie muszą dygotać ze strachu, że stracą pacjentów. Lekarz w kraju kapitalistycznym rozwija całą strategię konkurencyjną nie mającą z medycyną nic wspólnego, byle tylko zachować równowagę w walce z konkurentem".

Obywatelom coś się pomieszało: w walce z konkurentem chodzi nie o zachowanie równowagi ale o zdobycie przewagi. Wśród lekarzy na Zachodzie, niewątpliwie, wielu jest łobuzów. Nie sądzę żeby większość z nich dygotała ze strachu, że stracą klienta. Raczej jest to zawód dochodowy, często bardzo, i wobec powszechności państwowych ubezpieczalni różnego rodzaju dający pewność zarobku. Z całą pewnością natomiast lekarze we Francji czy chociażby tutaj nie dygocą na odgłos dzwonka w nocy. Owszem, że też pacjenci nie potrafią chorować w dzień. Nie przejdzie im przez myśl iż może to być taka czy inna tajna policja. A jak było w „Priwislenskoj Riepublikie Liudowoj" z operacją wyrostka robaczkowego córki Jakuba Bermana? Co? Z tym profesorem co to go za twarz wyciągnięto z łóżka na wakacjach, nad morzem. Zaledwie dano czas żeby się ubrał, potem dwie ponure murgi zawiozły go bez słowa na lotnisko, i dopiero w samolocie wybitny chirurg mógł odetchnąć: nic groźnego po prostu konieczność operacji w rodzinie SAMEGO Bermana. Obywatele powiedzą że to było w okresie „błędów i wypaczeń"? Wolne żarty. No, i można dodać iż lekarze w PRL zaiste wolni są od „trosk swoich francuskich kolegów". Mają własne: np. jak związać koniec z końcem za pensyjki nie dochodzące do uposażenia wykwalifikowanego robotnika w fabryce.

Ukłon sezonowy

Tenże sam „Magazyn Polski" dbający o szerokie rzesze czytelników nie mógł wprawdzie wyraźnie powiedzieć o jakie to święto chodzi w kwietniu, ale w każdym razie dał fotografie Palm Wielkanocnych na tle abstrakcyjnych figurek. Gustownie, taktownie i laicko.

Kenia w oczach Kapuścińskiego

Ryszard Kapuściński, oficjalnie korespondent PAP-u w Afryce Wschodniej, a nieoficjalnie, ale przejrzyście, całkiem kto inny (ciekaw jestem, swoją drogą, kto kogo „robił", Horodyński Kapuścińskiego, na tamtym terenie, czy odwrotnie?). Rozpisuje się na wszystkie boki w prasie reżymowej o tym co widział na Czarnym Lądzie. Pisze czasami nieźle, ale, biedaczek, musi stosować się do szymla i oto co spływa spod jego pióra („Magazyn Polski", kwiecień, 1964) w artykule „Mau-Mau wychodzi z lasu": „Dedan Kimathi, legendarny partyzant pokrajany na krwawe pasy przez żandarmów Generała Erskine", wdowa po tymże rzekomo mówi przy tej okazji" naród ma zachować czujność wobec groźby czarnego imperializmu oraz wobec tych, którzy próbują robić karierę udając że należeli do Mau-Mau". „kobieta-partyzant w randze marszałka polnego — Muthoni Ngatha"

Przecież Kapuściński nie może być tak głupi, żeby wszystkie te bzdury wypisywał na serio. Nie podejrzewam go o ukryty zmysł humoru. Co za przykrość. Stan faktyczny zaś przedstawia się jak następuje. Dedan Kimathi wcale nie był „legendarny". (Niech Kapuściński uważa; jeszcze trochę a napisze „owiany legendą", a to już, wicie, Kapuściński, może być znamienne: wewnętrzna emigracja uczuciowa i w ogóle. Ja wam, Kapuściński z życzliwości. Rozumicie, bez wywlekania na aktyw partyjny), ale jak najbardziej „konkretny". Był to wyjątkowo okrutny sadysta że i Szczors i Kowpak byliby z niego dumni. Został powieszony a nie „pocięty w krwawe pasy". Premier Kenyatta musi być szczerze zadowolony, iż Anglicy go w tym wyręczyli. Historia Mau-Mau nie jest jeszcze wszechstronnie znana i na użytek Kapuścińskiego zalecam powściągliwość w dytyrambach. Ruch ten niewątpliwie należał bowiem do kategorii „fideistycznej" że się tak wyrażę. Dopiero w dobrych kilka lat po eksplozji tej całkiem diabelskiej czarnej magii Sowieciarze usiłowali przyfastrygować do niego swoich agentów przez Mombasę; Bez wielkiego skutku. Kimathi odznaczał się też, między innymi, przyjemnymi cechami charakteru iż regularnie dusił swoje kolejne kochanki; „wdowa" więc po nim, biedna wystraszona i niedoduszona Kikuju z całą pewnością nie mogła wygłaszać głupich przemówień pod dyktando afrykanistów z „Centrum". Albo Kapuściński przesłyszał się, albo błędnie go poinformowano. I czy, nawiasem mówiąc, Kapuściński włada językami Swahili albo Kikuju — jednym z najtrudniejszych w Afryce, że podaje „verbatim" tekst. No a z tą „„kobietą-partyzantem w randze marszałka polnego" to Kapuściński wpadł. Groteskowy Okello też siebie mianował był marszałkiem. A właściwie, jak twierdził. Opatrzność go mianowała.

Wy uważajcie, Kapuściński z tymi tytułami. Wprawdzie Marian Spychalski jest marszałek, „Polski" co prawda, ale on mniej ważny. Ale, na przykład Kaniow marszał Związku Sowieckiego, a Rotmistrow marszał tankowych wojsk, o ile się nie mylę. Co będzie, Kapuściński, jak ONI się obrażą za domniemane wyśmiewanie się ze stopnia? A? Doskaczecie się jeszcze sekretarstwa Podstawowej Organizacji Partyjnej w Biłgoraju, doskaczecie.

Spotkanie z Mitręgą

Ob. Mitręga, minister górnictwa, ten od szampana dla wydajnych górników w „moim ministerstwie" znów się objawił w prasie („Świat" Nr 15-664 Rok XIV, 12.4.64). Oto bowiem górnicy kopalni Zabrze „składają mu meldunek" z wydobycia z jednej ściany 114,6 ton węgla w ciągu 31 dni. Na słowo przyjmuję, iż jest niezwykłe osiągnięcie. Nie rozumiem tylko po co uroczystościowe błazeństwa z tej okazji. Na fotografii bowiem widzimy Mitręgę, tłustego, zażywnego mężczyznę, tak z 86 kilo żywca na oko, w gustownym mundurku z haftem na kołnierzu o surowo natchnionym wyrazie doświadczonego sowbiura, któremu coś tam odwrzaskuje inny tuczny mężczyzna w takimże stroju i z takimże wyrazem twarzy. Jest to Babisz, dyrektor Zabrza.

Tło zbędnej uroczystości stanowią górnicy tegoż Zabrza. Są regionalnie ubrani, okolicznościowo uśmiechnięci i, odmiennie od swoich zwierzchników ... chudzi. Ja bym na miejscu Arskiego (przepraszam znających język angielski, ale to JEST nazwisko naczelnego redaktora „Świata": niczego nie przekręcam) takich antypaństwowych fotografii nie zamieszczał.

PRASA W KAGAŃCU

PIERWSZE ECHA ZJAZDU PISARZY ZIEM ZACHODNICH

W Poznaniu odbył się ostatnio (8-9 maja) zjazd pisarzy Ziem Zachodnich. Wydarzenie to zasługuje na uwagę w obecnym okresie, gdy reżym Gomułki usiłuje zmusić wszystkich pisarzy, którzy podpisali protest do Cyrankiewicza, by publicznie zaprzeczyli poprzednim „oskarżeniom" w sprawie cenzury i braku wolności słowa w Polsce. Oto pierwsze echa tego zjazdu.

Z ostatnich informacji „Trybuny Ludu" (9.5.) dowiadujemy się, że w zjeździe poznańskim brało udział 100 pisarzy z województw zachodnich i północnych oraz 60 z Warszawy. Tak liczny udział warszawskich pisarzy świadczyć może, że władzom centralnym chodziło o stworzenie specjalnej atmosfery na zjeździe. Potwierdza to zresztą wystąpienie jednego z nich, Władysława J. Grabskiego, który — jak stwierdza „Trybuna Ludu" — „w imieniu 60-osobowej grupy przybyłych na zjazd literatów warszawskich potępił wysiłki wrogich Polsce środowisk". Oświadczył on, że „środowiska te do naszych wewnętrznyer dyskusji sączą jad nienawiści oraz usiłują zniesławić nasz dorobek i osiągnięcia".

Z wypowiedzi tych widać, że marcowy protest 34 intelektualistów i pisarzy polskich był jedną z głównych spraw, którą zajmował się zjazd. Wiadomo jednak, że wszystkie środowiska na Zachodzie, które zabierały głos w tej sprawie, nie prowadziły kampanii oszczerczej przeciw Polsce, ani nie zniesławiały dorobku i osiągnięć pisarzy polskich. (FEC)

KONFERENCJA EKONOMISTÓW POLSKICH W LONDYNIE

Dobiegają końca przygowania do konferencji ekonomistów polskich, mającej odbyć się w dniach 5—7 czerwca br. w Londynie. Jak wiadomo, konferencja ta, zwołana z inicjatywy Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, poświęcona będzie zagadnieniom gospodarki polskiej. Udział w niej wezmą ekonomiści polscy, z Londynu, Paryża, Monachium, Sztokholmu i Waszyngtonu.

W piątek 5 czerwca odbędzie się o godz. 5 posiedzenie konstytucyjne członków konferencji. O godz. 6 w sali Stowarzyszenia Techników nastąpi posiedzenie inauguracyjne, na którym prezes Adam Ciołkosz zagai konferencję, po czym referaty wygłoszą pp. Michał Gamarnikow (Uwagi ogólne o sytuacji gospodarczej w PRL) i prof. J. Wszelaki (Ceny towarów w obrocie z ZSRR).

Sobotnie przedpołudnie poświęcone będzie referatom w sprawach rolnych (pp. T. Celt-Chciuk, J. Kazimierski i J. Poniatowski). Popołudniu mówić będą: p. B Brodziński o stopie życiowej w PRL, p. Janina Miedzińska o warunkach społecznych wydajności pracy w PRL, p. Jerzy Szyszko-Bohusz o problemie zatrudnienia i bezrobocia w PRL. Wieczorem p. Mieczysław Sokołowski mówić będzie o handlu zagranicznym PRL, zaś p. Wiktor Martin wygłosi referat na temat: PRL a Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

W niedzielę p. J. Iwaszkiewicz mówić będzie o planowaniu gospodarczym w PRL, p. O.M. Stepan o budownictwie mieszkaniowym w PRL, p. inż. K. Mochliński o przemyśle energetycznym w PRL. Popołudnie przeznaczone jest na zagajenie dyskusji i wnioski prezydium konferencji w sprawie pomocy krajowi. O godz. 7 wieczorem nastąpi zamknięcie konferencji.

Z porządku obrad widoczne jest, że konferencja zapowiada się nad wyraz ciekawie.

EZN

TADEUSZ PODGÓRSKI

W Preston rej wiodą kombatanci

Wjeżdżających od południa do Preston z daleka wita wieża św. Barbary, podobno trzecia co do wysokości w W. Brytanii, tym potężniejsza, że wznosi się na sporym wzgórzu. Miasto, które znałem z kilku szybkich przejazdów, przy bliższym poznaniu zyskuje na ocenie. jest ruchliwe, zamożne, a w samym centrum nawet dość czyste. Kilka monumentalnych budynków na zbyt wąskich dla współczesnego ruchu ulicach, odmienne niż w innych miastach znakowanie autobusów i uzupełniająca, już wyczytana informacja, że w połowie katolickie.

Ale mnie dzisiaj obchodzą przede wszystkim Polacy. Poszukiwania zaczynam od kombatantów, których klub na St Marks Road zastaję w południe zamknięty. Dziwne, bo to przecież sobota Szukam zatem prezesa, w sąsiedniej, nowszej dzielnicy, który też tej soboty pracuje akurat do południa, więc nawet muszę poczekać na spotkanie.

Gdym się wybierał do Preston, wcześniej poinformowano mnie w Manchester, że to „udzielne księstwo braci Wojnarowskich", oczywiście w odniesieniu do tamtejszych Polaków. Konfrontacja na miejscu potwierdza to określenie.

Wysoki blondyn, w sile lat czterdziestu, p. Zdzisław Wojnarowski jest jednocześnie prezesem koła SPK, liczącego 96 członków i kierownikiem sporego Domu Kombatanta, czynnego trzy dni w tygodniu w piątki, soboty i niedziele. Gdy mówi, spokojnie i rzeczowo, o miejscowych stosunkach polskich, widać że sam głęboko przeżywa wszystkie lokalne sprawy, trudności i osiągnięcia, kłopoty i sukcesy. Wraz z bratem Mieczysławem, obecnie członkiem Rady Głównej SPK, oraz kilkoma innymi kombatantami włożyli w pracę tutejszego ośrodka moc energii i samozaparcia. W trudnych warunkach ukształowali stosunki polskie w oparciu o placówkę kombatancką, o której w jednym ze zgrabnych wierszy inny kombatant p. Zbigniew Stankiewicz powiada:

Na świętym Marku kombatanckie koło,
Choć moc kłopotów, ale w nim wesoło.

Z kilku rozmów i wizyt wynoszę przeświadczenie, że osiadła w Preston gromada 450 Polaków jest ze sobą mocno zżyta, umie się szanować i współpracować, a autorytet braci Wojnarowskich i kilku innych działaczy kombatanckich świadczy o stabilizacji stosunków i wzajemnym poszanowaniu.

Życie codzienne to praca zarobkowa. Początkowo prawie wszyscy startowali w przemyśle bawełnianym. Obecnie największa grupa, niemal połowa tutejszych Polaków, pracuje w ogromnej fabryce sztucznego włókna, jak się tu mówi popularnie u Courtaulds'a. Prezes prowadzi nawet tabelę zmian w godzinach zatrudnienia, aby łatwiej było ustalać godziny zebrań. Zarobki wahają się od 14 funtów do 18 funtów. Inna liczniejsza grupa pracuje w słynnych zakładach Leyland Motors, produkujących autobusy, gdzie przeciętne zarobki wynoszą po 15 funtów tygodniowo a z nadgodzinami dochodzi się do 20 funtów.

W Preston jest około 150 polskich rodzin, w tym kilka z małżeństw mieszanych. Charakterystyczne uwagi słyszę o dwóch kategoriach małżeństw polsko-angielskich, jednych powiązanych z działalnością polską i drugich stroniących od niej.

Inną raczej ocenę spotykam co do przyszłości polskiej w tym ośrodku. Wiele osób sądzi, że polskość w obecnych formach istnienia, utrzyma się tu tylko przez jedno pokolenie. Za kilkadziesiąt lat pokolenie następne będzie już miało tylko sentymenty polskie, ale nie będzie polskim z ducha, treści i form życia. Czy ta ocena jest zbyt pesymistyczna — przyszłość okaże. Tak jednak sądzą dziś ci, co czują się za tę przyszłość odpowiedzialni a nie mają widoków aby ją dla polskości należycie zabezpieczyć. Uważają, że skupisko około pół tysiąca Polaków jest zbyt małe, aby mogło ten problem należycie rozwiązać.

Tu nasuwa mi się uwaga, że dotychczas nie wypracowaliśmy właściwych metod działalności polskiej. Obrzędowość wystarcza bowiem dla starszego pokolenia, gdy młodsze, wyrosłe w warunkach brytyjskich już jej nie rozumie. A istotne treści kultury polskiej, mogącej zabezpieczyć oderwane grupy Polaków przed zbyt szybkim wynarodowieniem, są przez ogół raczej lekceważone. Dobra książka polska — jest znana tylko nielicznym. Wspólnota polskiej myśli twórczej w ogóle do mniejszych skupisk nie sięga. Ale może najważniejszym jest tu fakt, że nie umiemy współżyć ze sobą solidarną gromadą. W Preston nie zauważyłem rozbieżności, jakichś dwóch orientacji polskich, czy grup sobie przeciwstawnych, a przecież i tu zarejestrowałem uwagę, że „są tacy co od polskości stronią" czy stwierdzenie, że z grupy nielicznej zresztą inteligencji „mało kto utrzymuje kontakty organizacyjne".

Polska szkoła sobotnia to zaledwie gromadka 36 dzieci. Wedle oceny oficjalnej tylko połowa dzieci polskich z Preston, chociaż z szacunkowego rachunku wynikałoby mi że na 150 rodzin powinno ich być znacznie więcej niż 70, bo w takim wypadku większość małżeństw musiałaby być bezdzietna, co u Polaków nie jest w modzie. Ta nieliczna grupa dzieci, z którą też się spotkałem późnym popołudniem podczas skromnej imprezy, mówi dość dobrze po polsku, umie po polsku śpiewać i bawić się, ale jej zasadnicze wychowanie jest angielskie. Wbrew najlepszym chęciom polskich wychowawców przeważy tu systematyczność angielskiej szkoły i angielskiego otoczenia. Ambitne plany młodej polskiej nauczycielki, panny Jadwigi Mrówkówny, która tworzy w Preston polski teatr dziecięcy, napewno się dzieciom podobają a rodzicom nawet imponują, ale nie ma się co łudzić, że jest to osiągnięcie czasowe i stosunkowo skromne w zasięgu, skoro dla zapełnienia sali na takim przedstawieniu trzeba się zjeżdżać z odległości kilkudziesięciu mil.

Poświęcam tym sprawom nieco więcej uwagi, gdyż w tej właśnie dziedzinie rozwiązania wydają mi się nagląca a każdy rok zwłoki niepowetowaną stratą. Utrzymanie poczucia polskości w następnym pokoleniu, to moim zdaniem utrzymanie ambicji polskich. I to trzeba dzieciom wpoić. Młody człowiek, który zostaje chemikiem czy ekonomistą angielskim ale o polskim nazwisku powinien się czuć propagatorem polskich zdolności. Nie wtapiać w tło angielskiego otoczenia, a wyróżniać się w nim szerszym widnokręgiem, chociażby spraw europejskich. Z wielką przyjemnością spotkałem się kiedyś z młodym nauczycielem polskim, który po to tylko robi drugi dyplom z historii aby móc pisać podręczniki uwzględniające w jakimś stopniu wkład Polski i naszej części Europy do kultury i historii powszechnej. Taka właśnie postawa zadecyduje o roli następnego pokolenia polskiego w W. Brytanii. Będzie ono napewno mniej liczne niż my, jednak jeśli tylko zechce — może mieć większe od nas możliwości służenia sprawie polskiej.

Dziś w Preston żyje pół tysiąca Polaków którzy nawet cieszą się tu ogólną sympatią, ale w układzie miejscowych stosunków niewiele znaczą. W następnym pokoleniu wystarczy dosłownie kilkunastu Polaków z pozycją publiczną by się w mieście z nimi liczono i by mieli jakiś wpływ na miejscową opinię. Rzecz w tym aby obecne pokolenie tych kilkunastu wartościowych następców umiało wychować.

Gdy mowa o polskich wartościach, zadaniach i solidarności nasuwa się jedna więcej uwaga. Mam na myśli Skarb Narodowy. Wystartował w Preston z pewnym opóźnieniem, zajmuje się nim obecnie p. Mieczysław Wojnarowski. Liczy kilkunastu płatników. I znowu wypada się zapytać jak to jest możliwe? Dobrze zorganizowany ośrodek. Wysokie poczucie solidarności narodowej. Względnie dobra sytuacja materialna. A tak znikome zainteresowanie w obowiązku świadczeń na cele ogólnonarodowe. Prawdopodobnie złożyły się na to jakieś specyficzne względy lokalne. Nawet się ich domyślam, chociaż nie chcę wymieniać. Rzecz w tym, że wygodniej omówić mi tę sprawę przy omawianiu ośrodka w pewnym sensie wzorowego. Otóż jest w nas Polakach coś co nazwałbym, brakiem poczucia obowiązku. Łatwo nam przychodzą zrywy, krótkie momenty poświęcenia, niż drobny ale systematyczny wysiłek. A tymczasem zdrowe społeczeństwa rozwijają się właśnie w oparciu o ten wysiłek powszechny. Czas by było o tym pamiętać chociażby obserwując Brytyjczyków.

B.D.I.C

JAN CLAUDE

PRZED „WIELKIM RUSH'EM"

KREACJA „BESS ART" — z lewej: kurtka z szerokim, zawijanym kołnierzem i spodnie z czesanki wełnianej, jerseyowej w kolorze rdzawym. Z prawej: kurtka i spodnie z czesanki wełnianej, czerwonej. (Copyright)

Paryż, w maju 1964.

TERMIN wielkiego „rushu" — wielkich wakacji letnich — jest już za pasem. Każdy z nas dopina ostatnie guziki tego wyścigu po słońce, świeże powietrze, nadmorskie plaże lub ośnieżone szczyty Alp i po wypoczynek. Przede wszystkim ten „wypoczynek"... Gdy pomyślę, że za sześć tygodni wyciągnę moją „Cytrynę" z garażu, załaduję bagażem i rodziną i znajdę się w potrójnym sznurze samochodów, posuwających się z szybkością 5 kilometrów na godzinę w ogólnym kierunku na południe, to już przebiega mnie przyjemny dreszczyk. Mam już przygotowany komplet map, trasa ustalona, no i miejsca popasania według przewodnika „Michelin". Niestety ten słynny przewodnik sprawia mi każdego roku przykre niespodzianki. Jak ogólnie wiadomo jest znany przede wszystkim ze swoich gwiazdek, które przydziela restauracjom. Ten przydział nie ma nic wspólnego z ich oficjalną klasyfikacją, jaką ustala urząd turystyczny. „Michelin" ma swoich własnych inspektorów, którzy nic innego nie robią, tylko jeżdżą po Francji cały Boży rok i w podstępny sposób sprawdzają hotele i restauracje. Wynikiem tego sprawdzania są gwiazdki. Tylko 11 restauracji w całej Francji może się w tym roku pochwalić trzema gwiazdkami, 61 ma dwie gwiazdki i 555 po jednej. W porównaniu do ubiegłego roku to prawdziwa katastrofa, bo trzygwiazdkowych restauracji było 12, dwugwiazdkowych 64 a jednogwiazdkowych 575. To widocznie skutek walki z inflacją i wykonywanie rządowego planu stabilizacji. Oczywiście ta stabilizacja, czy nawet obniżka, nie ma nic wspólnego z cenami, które jak dawniej za czasów nieboszczki IV-ej Republiki w dalszym ciągu ambitnie pną się na szczyty. Przykładem może być słynna paryska restauracja „Tour d'Argent" (trzy gwiazdki z widokiem na Notre-Dame), związana z naszą Wielką Emigracją, bo tam patriotyczna paryska kolonia emigrantów żegnała wieszcza Mickiewicza, gdy ten stanął w potrzebie i wyjeżdżał do Turcji.

W zeszłorocznym wydaniu „Michelina" cena posiłku wynosi 35 do 55 F. (w chwili płacenia cenę tę należy pomnożyć przez dwa), a w tegorocznym 51 do 70 F. Podobnie wygląda to w innej trzygwiazdkowej restauracji, jeszcze bardziej związanej z Wielką Emigracją, (bo jej właścicielem jest p. Topoliński, jej potomek) „Lapérouse". Jest to jedyna wielka restauracja Paryża, która zachowała prywatne gabinety i ich drzwi nie mają klamki z zewnątrz. Kelner, gdy chce wejść, musi za każdym razem pukać i czekać, aż mu konsument otworzy. Ale za to w tych gabinetach są otomany i stare lustra, wszystkie pokryte rozmaitymi inicjałami i abstrakcyjnymi gryzmołami, wyrytymi diamentami. To są oczywiście pamiątki z „Belle Epoque", gdy piękna towarzyszka wytwornego klienta, nim skierowała przytakujący wzrok w kierunku otomany, sprawdzała czy świeżo podarowany brylant jest prawdziwy. Dziś niestety za taką „bagatelle" nikt już brylantów nie ofiaruje. Niemniej wielu gastronomicznych znawców twierdzi, że „Lapérouse" jest obecnie najlepszą restauracją Paryża.

Ale wróćmy do wakacyjnych szlaków. Otóż zainteresowało mnie, która z tych największych restauracji Francji została zdegradowana, bo było ich 12 a teraz jest tylko 11. Znalazłem, to restauracja „Côte d'Or" w Saulieu, w Burgundii, na wielkiej drodze turystycznej N. 6 z Paryża do Lyonu i dalej na południe Francji. Zresztą to nie było takie trudne do wykrycia, bo wszystkie gazety o tym pisały i tę smutną wiadomość umieściły niemal w czarnej obwódce. Nic dziwnego — bo oto jak „Michelin" opisuje te trzygwiazdkowe przybytki gastronomii: „Jedna z najlepszych restauracji Francji; warta specjalnej podróży, je się tam zawsze bardzo dobrze, a czasami cudownie. To chwała kuchni francuskiej, wielkie wina, obsługa nieposzlakowana, szykowne ramy. W takim lokalu cena nie wchodzi w rachubę". Łatwo napisać że nie wchodzi... Ta restauracja „Côte d'Or" straciła swoje gwiazdki i nie ma ani jednej, a ceny poszły w górę z 40 F. na 45 (pomnożyć przez dwa!). Ale dlaczego utraciła? Powód prosty, jej słynny „chef" Dumaine poszedł na emeryturę i jego następca, młody François Minot, będzie musiał wykazać się co umie, nim gwiazdki „Michelina" zaczną powoli na niego spadać.

Obok tego „Michelin" wywołał inne protesty, tym razem niemal dyplomatyczne i nie wiadomo czy z jego powodu nie dojdzie do ochłodzenia się stosunków między Paryżem i Bonn. Otóż „Michelin" wydał przewodnik na Niemcy, po raz pierwszy od czasów sprzed pierwszej wojny światowej. Jak wiadomo „Michelin" zupełnie nie bierze pod uwagę oficjalnej klasyfikacji hoteli i restauracji, ustala swoją własną. Niemcy, przeglądając ten nowy przewodnik, ku wielkiemu oburzeniu stwierdzili, że posiadają w całym kraju tylko 9 hoteli o wielkim luksusie i 8 restauracji pierwszej klasy, a mieszkańcy Hamburga są podwójnie oburzeni, bo w tym największym mieście Republiki Federalnej nie ma ani jednego lokalu tej kategorii. Więcej, „Michelin" nie przydzielił niemieckim restauracjom ani jednej gwiazdki (podobnie jak w Hiszpanii). Trzeba mieć na uwadze, że jego restauracje mają podwójną klasyfikację — ilość skrzyżowanych noży i widelców oznacza stopień luksusu lokalu, ale nie ma nic wspólnego z jakością posiłków, bo stronę gastronomiczną określają właśnie te słynne gwiazdki. Tylko czekać, jak rewizjoniści będą się domagać, obok naszych ziem, również gwiazdek „Michelina".

* * *

Z letnimi wakacjami kojarzy się oczywiście słońce, ze słońcem opalenizna, a z opalaniem się oparzenia i udary słoczenczne. Ileż to pięknych „wczasowiczek", używając demokratyczno-ludowego wyrażenia, po kilku dniach na plaży czy w górach wygląda jak homar wyjęty z wrzątku, dostaje gorączki i okłada się kwaśnym mlekiem, jogurtem czy nawet wzywa lekarza. Oczywiście to nie koniec, bo później skóra schodzi płatami, co w kobiecej walce o plażowy „byt" i powodzenie u instruktorów pływania, czy u przewodników górskich, jest poważnym handikapem, jeśli nie powodem eliminacji już w przedbiegach. Na szczęście każdego roku pojawiają się co raz skuteczniejsze kremy i płyny, które z jednej strony mają zapobiegać oparzeniu, a z drugiej przyśpieszają opaleniznę — niektóre nawet bez słońca. Ale są cery, których nawet te „antysłoneczne" środki nie ochronią. Otóż paryskie salony kosmetyczne zalecają takim osobom różne środki zapobiegawcze wewnętrzne, które należy brać 10 do 15 dni przed rozpoczęciem opalania się. Należą do nich lekarstwa syntetyczne przeciw malarii, jak „nivaquine" czy „flavoquine", następnie witamina PP, którą często stosuje się w różnych chorobach skóry i wreszcie „meladinine", która w silnych dawkach uczula skórę na słońce, a w bardzo małych uodparnia. Z tych trzech grup podobno tylko witamina PP jest zupełnie bezpieczna i nieszkodliwa, natomiast co do innych, to lepiej przed użyciem porozmawiać z lekarzem. Oczywiście osoby wrażliwe na słońce powinny unikać leków, które uczulają skórę, jak sulfamidy, niektóre środki nasenne, czy antybiotyki z grupy tetracycline. Ale obok tych medykamentów, na których przeciętny śmiertelnik mało się zna, jest inna rzecz, która uczula skórę na słońce — a na niej wszyscy się znamy i to dość dobrze. Jest nią alkohol — naturalnie ten przyjmowany wewnętrznie. A więc paniom ze skłonnością do opalania się na czerwono zalecamy gorąco soczki owocowe, mleczko i inne lemoniady. Na whisky można sobie dopiero wówczas pozwolić, gdy skóra zacznie nabierać koloru tego szlachetnego trunku.

KREACJA „BESS ART" — Kombinezon z rękawami w kolorze szmaragdowym. (Copyright)

KRZYŻÓWKA NR 556/64

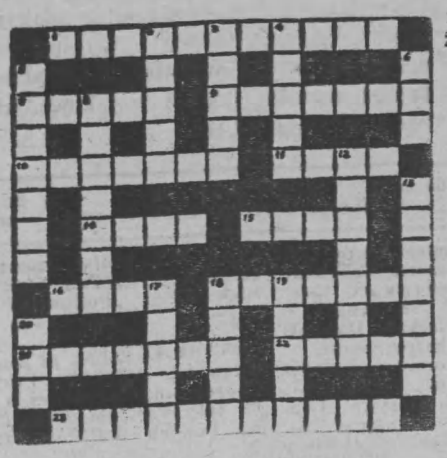

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) prosto (3,8); 7) opłaca się; 9) zagonić tam kogo, to przyćmić własnym blaskiem (4,3); 10) nad nim rusałki; 11) umocnienie obronne; 14) i 15) powiernik; 16) ponownie; 18) bożek miłości (wspak) 21) jeden z dwunastu na niebie?; 22) malowana lala; 23) imię z okrążeniem.

PIONOWO: 2) chętnie; 3) imię (wspak); 4) połączenia niosące śmierć? (wspak); 5) bliźniaki do noszenia?; 6) i 20) przerażające wielkości?; 8) początek babki?; 12) drewniane naczynie; 13) z drzewa na kolei, z farby na obrazie?; 17) myśli; 18) narody; 19) zacinający się pieniądz?

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 555/64

POZIOME: 1) i 5) bezbrzeżny, 3) ach, 8) srebro, 10) ogonek, 11) kulis, 12) przyzwyczajenie, 15) i 18) Bartłomiej, 16) kęs, 20) skon (wspak), 21) krzak, 22) zbór (wspak), 25) ubóstwo, 26) przegub, 27) Duma o Hetmanie.

PIONOWO: 1) biskup, 2) mecz wspak), 4) cielec, 6) żona, 7) efekty (wspak), 9) okowy, 10) oskar, 13) psotny (wspak), 14) premie (wspak), 15) bankrut, 16) karczoch, 17) szałaput, 19) obyczaj (wspak), 23) Etna, 24) Azja.

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

Spór Moskwy z Pekinem, lecz agresywność komunizmu rośnie

Przyjęte na ten wyborczy rok założenie, że spór sowiecko-chiński osłabi blok komunistyczny i zahamuje jego zewnętrzną ekspansję, okazuje się coraz większym błędem. Dotyczy to w pierwszym rzędzie tych właśnie, zajętych tego roku wyborami, rządów W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych, które na tym założeniu swoje przewidywania oparły. Wbrew nim obecnie, zamiast szczycić się osiągniętą pokojowością międzynarodowej sytuacji, Waszyngton i Londyn muszą robić nerwowe wysiłki odwracania pojawiających się lub rosnących zagrożeń i nawet gaszenia rozpalających się ognisk wojennych.

Prezydent L. B. Johnson musi domagać się nowych kredytów na obronę płd. Wietnamu i pośrednio Laosu oraz kłopotać się Kubą, a rząd brytyjski, oprócz wojsk na Cyprze utrzymywanych od dawna i w Malezji, gdzie, prowadzą one ciągłą walkę na Borneo, musi dosyłać nowe do Adenu, a w ostatnich dniach do Gujany. Wszystkie powyższe zarzewia niepokoju są albo pośrednio albo jawnie i wprost następstwem wzmożonej ofensywy komunistycznej, prowadzone są przeważnie sowiecką bronią i zasilane sowieckim złotem. Generalnego błogosławiaństwa walce przeciw „imperialistom" na Środkowym Wschodzie udzielił ostatnio sam Chruszczow, podczas dwutygodniowej wizyty w Egipcie.

Jedyny obszar strategiczny świata, na którym reprezentanci Stanów Zjednoczonych, z samym prez. L. B. Johnsonem i sekretarzem stanu Dean Ruskiem na czele, zapowiadają rodzaj ekonomiczno-kulturowej ofensywy w strefę bloku komunistycznego, to wschodnia Europa. Budzi to w nas uczucia mieszane i winno zaostrzać czujność, bo przypomina rok 1956.

NIESPEŁNIONE PROROCTWA I WYKRĘTNA ARGUMENTACJA

Jak komentatorzy zachodni uzasadniają niepowodzenie swoich przepowiedni, że Moskwa Chruszczowa zamieni się w baranka wobec Zachodu, na skutek sporu z Pekinem? Przeważnie swojego błędu nie przypominają, czego zresztą nikt nie lubi a co nie jest trudne, bo pamięć czytelników jest krótka. Wymyślono w Waszyngtonie natomiast dla wytworzonej sytuacji wykrętny raczej i obłudny argument, który wobec wzmożonej agresywności sowieckiej w okresie sporu z komunistami chińskimi nakazuje szczególną ... pobłażliwość.

Argumentację tę czytamy u rozmaitych sowietologów, głównie amerykańskich (wśród których J. Alsop wysuwa się teraz na czoło), ale użył jej nawet sam Sekretarz Stanu w oficjalnym wystąpieniu. Mianowicie — na przekór wszystkim poprzednim rozumowaniom — powiedział on na majowej konferencji ministerialnej Przymierza Atlantyckiego w Hadze, że „Chruszczow będzie teraz mniej giętki w stosunkach z Zachodem, aby uniknąć przezwiska lokaja imperialistów, ilekroć próbował by uczynić jakieś posunięcie".

Krótko mówiąc, nie gniewajcie się na naszego kochanego Nikitę za świństwa, które nam obecnie wyczyni, bo on tylko z musu i dlatego, że się boi Mao Tse-tunga ... Wznowiony to zresztą argument i użył go już. Ch. Bohlen, jeden z głównych rzeczoznawców Waszyngtonu w zakresie polityki sowieckiej po zerwaniu przez Chruszczowa paryskiego „szczytu" w maju 1960. Jak za panią matką, powtarzali go z kolei wszyscy publicyści, także polscy, inspirowani z tegoż źródła.

NAPASTLIWOŚCI SOWIECKIEJ WINIEN ... PEKIN?

Inne sposoby jakie się stosuje powszechnie z tych samych kół politycznych, to przypisywanie agresywności komunistycznej wyłącznie Pekinowi, jak odnośnie do Laosu czy Wietnamu, czyli Indochin — która to nazwa, w miarę renesansu wpływów Francji zaczyna powracać — albo też przedstawianie bezceremonialnie antyzachodniej kampanii sowieckiej, jako wymierzonej na prawdę w Pekin. Tak właśnie starano się na łamach wielu pism zachodnich, zwłaszcza anglo-amerykańskich tłumaczyć gwałtowne wystąpienia przeciw imperialistom Chruszczowa, podczas podróży egipskiej.

Sowiecki „numer pierwszy" zachęcał Arabów do wyrzucenia wszystkich wojskowych baz „imperialistycznych" — czyli amerykańskich, brytyjskich i francuskich, bo tylko takie się na arabskich terytoriach mieszczą — oraz zapewniał, że w takich celach Moskwa dostarczy im zawsze broni. Komentatorzy niemniej, dowodzili, że były to w istocie wystąpienia ... antychińskie. Dlaczego? bo okazując się tak nieprzejednanym wrogiem „ kapitalizmu" wytrącał Pekinowi argumenty rewizjonizmu i miękkości przeciw sobie. Osobliwa ta logika mogła by doprowadzić tychże sowietologów do pochwały dla Chruszczowa nawet, gdyby — dla wykazania się komunistyczną prawomyślnością — zaczął puszczać bomby jądrowe na Amerykę czy W. Brytanię ... Dobrze, że nie chińskie, prawdopodobnie by wołali.

W tym miejscu nawiasowo dodam, że zasada wyolbrzymiania na łamach zachodniej prasy rozbieżności sowiecko-chińskich, a pomijania objawów współdziałania jest stosowana dalej. I tak, 13 maja br. podpisany został w Pekinie nowy traktat handlowy między ZSSR a Chińską Republiką Ludową, co zostało w tej prasie prawie ogólnie pominięte. Czu En-lai w tychże dniach oświadczył, że ideologiczne spory nie naruszyły przymierza między obu reżimami, co zbagatelizowano lub całkowicie pominięto również.

MIESIĄC CIĘŻKICH NIEPOWODZEŃ

Bieżący miesiąc stał się okresem ciężkich międzynarodowych niepowo- Zachodu, zwłaszcza Ameryki, niepowodzeń, które, oby, skłoniły wyborców w Stanach Zjednoczonych do krytycyzmu w stosunku do dotychczasowych wytycznych polityki waszyngtońskiego rządu.

Pobyt Chruszczowa w Egipcie, to była przykra okazja do rejestrowania z kontemplacji ogromnych błędów, popełnionych głównie w przeszłości a kontynuowanych do czasów ostatnich. Zapora asuamska, której zakończenie budowy w pierwszej fazie dało sposobność do wizyty Chruszczowa, przypomniała i uprzytomniła kardynalny błąd odmowy sfinansowania tejże zapory przez państwa zachodnie, czego winę ponosi przede wszystkim zmarły J. F. Dulles, wybitny skądinąd sekretarz stanu za prezydentury Eisenhowera.

Cofnięcie już raz obiecanej pożyczki 200 milionów dolarów, stało się — jak pamiętamy — punktem wyjścia szeregu wręcz katastrofalnych faktów, jak nacjonalizacja kanału sueskiego, nieszczęsna wojna o Suez i wreszcie oferta pomocy sowieckiej, od której zaczęło się na dobre sadowienie się wpływów Rosji na Środkowym Wschodzie. Chwiejność i dwutorowość polityki amerykańskiej, nigdy dość zdecydowanej, czy zwalczać tam raczej zachodnich sprzymierzeńców czy komunistycznych wrogów, leży u podstaw tych niepowodzeń.

Jedyną reakcją i dowodem, że Waszyngton zdaje sobie sprawę ze zła, jest może odwołanie amerykańskiego ambasadora w Kairze, które nastąpiło, podczas wizyty Chruszczowa. Ambasador ten zresztą, Bogu ducha winien uczony i przyjaciel Arabów, mianowany tam przez Kennedy'ego, od dawna prosił o zwolnienie z dyplomatycznej służby i powrót na katedrę w Stanach Zjednoczonych, co też ma nastąpić.

KLĘSKA W INDOCHINACH

Niepowodzenia na środkowym Wschodzie przesłonięte jednak zostały prawdziwą klęską polityki amerykańskiej w płd. wschodniej Azji. Codzienne sukcesy komunistów w płd. Wietnamie, które spowodowały nową podróż na miejsce McNamary, konieczność podwyższenia kredytów na tę fatalnie kierowaną wojnę i znacznie bardziej pesymistyczna jej ocena, niż wypowiadano ją cynicznie a lekkomyślnie po jesiennym opuszczeniu Diema, uzupełnione zostały ostatnio całkowitym załamaniem się obrony przed komunizmem Laosu, gdzie Waszyngton — przeciwnie niż w Wietnamie — popierał neutralizm.

W rezultacie tej dwutorowości, ani jeden ani drugi tor do niczego dobrego nie doprowadził. Obecnie prestiż Stanów Zj. nie wystarczy nawet, jak można sądzić, do zapobieżenia zwołaniu konferencji 14 państw, która w 1954 i potem w 1962 wzięła na siebie opiekę nad sprawami dawnych Indochin. Tę konferencję proponuje teraz, domagający się linii neutralistycznej na tym obszarze świata Paryż, poparła myśl jej zwołania Rosja, a Waszyngton dotychczas się opierał, lecz ostatnio — coraz bardziej odosobniony — zaczyna się jakby chwiać w swoim oporze. Po utracie twarzy, do czego, niestety, Amerykanie w płd. Wietnamie doprowadzili, trudno najsilniejszemu mocarstwu bronić twardo swojej polityki. I tam zresztą przepowiednie sowietologów z prof. W. Rostowem na czele, jakoby spór Moskwy z Pekinem otwierał swobodną drogę zwycięstwu, jeśli się tylko zachowa przychylność sowiecką, okazały się niebezpiecznym złudzeniem.

Łudziła się także W. Brytania i rządzący nią konserwatyści, że w okresie wyborczym zapewnią sobie spokój. Cypr i Aden, Borneo i Gujana — wszędzie gorące wojenki i wszędzie trzeba wysyłać posiłki wojskowe, aż zaczyna ich braknąć.

Z. S.

KRONIKA TYGODNIA

13—14 maja

Chruszczow i Nasser dokonali inauguracji Tamy Assuańskiej.

W stanie Maryland wybuchły rozruchy protestacyjne w związku z wizytą Wallace'a gubernatora Alabamy, notorycznego zwolennika segregacji.

15 maja

W czterech wyborach uzupełniających w W. Brytanii, konserwatyści odnieśli zwycięstwo w trzech okręgach, co uważa się za zatamowanie przechylania się opinii na stronę Partii Pracy.

W Helsinkach aresztowano Anglika, któremu prokuratura fińska zarzuca szpiegostwo na rzecz Rosji.

16 maja

Chruszczow zrezygnował z kilku wycieczek w Egipcie wskutek przemęczenia.

Koła watykańskie odniosły się przychylnie do myśli o jednolitym tekście Pisma św. dla wszystkich wyznań chrześcijańskich.

17 maja

Komuniści Patet—Lao przystąpili do gwałtownej ofensywy przeciwko rządowi neutralistycznemu. Wojska rządowe są w odwrocie.

Na Monte Cassino rozpoczęły się uroczystości w związku z 20-leciem zwycięstwa polskiego z udziałem gen. Andersa.

18 maja

W wielu miejscowościach nadmorskich Anglii doszło do masowych wybryków huligańskich i walk między „mods'ami" i „rockerami".

Chruszczow obiecał publicznie natychmiastowe dostawy broni dla Egiptu i innych państw arabskich, gdy tylko „zajdzie potrzeba".

Zlot młodzieży we Wschodnim Berlinie doprowadził do demonstracji antysowieckich. Władze komunistyczne okazały się miękkie w traktowaniu demonstrantów.

Zielone Świątki w W. Brytanii i na kontynencie upłynęły pod znakiem katastrofalnej ilości wypadków samochodowych.

19 maja

W ambasadzie amerykańskiej w Moskwie wykryto ogromną aparaturę podsłuchową.

20 maja

De Gaulle wystąpił z inicjatywą „całkowitej neutralizacji" Azji Płd. Wschodniej, domagając się zwołania nowej konferencji w Genewie.

Na Cyprze zabito żołnierza fińskiego z wojsk ONZ.

Dr Kuczuk, turecki wiceprezydent Cypru, oskarżył Makariosa o dopuszczenie do wymordowania stukilkudziesięciu zakładników tureckich.

W wyniku kilkumiesięcznego nieoficjalnego strajku górnicy hiszpańscy uzyskali podwyżkę płac i lepsze warunki opieki społecznej.

21 maja

Adlai Stevenson w mocnym przemówieniu zapewnił Radę Bezpieczeństwa ONZ, że Stany Zjednoczone nie opuszczą Płd. Wschodniej Azji w obliczu agresji komunistycznej.

W W. Brytanii nastąpiła gwałtowna zwyżka cen wołowiny, którą wykupują nabywcy z Kontynentu. Opozycja atakuje rząd, że dopuścił do wywozu bydła, którego hodowla jest subwencjonowana przez podatników.

22 maja

Chruszczow „przychylił" się do propozycji Francji zwołania konferencji 14 państw w sprawie „neutralizacji" Laosu, zajętego już prawie w całości przez komunistów.

Na Kubie nastąpiły lądowania rewolucjonistów demokratycznych. W starciach z wojskami Castro poległo kilku żołnierzy sowieckich.

Konfederacja Malazji zgodziła się na „spotkanie na szczycie" z Indonezją i Filipinami.

23 maja

W Paryżu porwano żonę milionera — producenta samolotów, Magdalenę Dassault, żądając za nią miliona franków (ok. 2 mil. dolarów) okupu.

Prezydent Johnson, przemawiając w Lexington, Virginia, oświadczył, że „Ameryka powinna budować mosty ponad przepaścią, która dzieli nas od Europy Wschodniej".

W Gujanie Brytyjskiej ludność murzyńska zrewoltowała się przeciwko Hindusom i komunistycznemu rządowi dra Jagana. Z Anglii wysłano posiłki wojskowe dla utrzymania porządku.

24 maja

14,000 policji i żandarmów francuskich urządziło obławę w poszukiwaniu pani Dassault. Znaleziono ją w dobrym zdrowiu koło Senlis.

W Casablanca, Maroko, zmarł generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski.

25 maja

Do burzliwych awantur doszło na meczu piłkarskim (eliminacja przedolimpijska) między Argentyną i Peru w stolicy Peru, Limie. Widzowie, niezadowoleni z orzeczenia sędziego, który przy stanie 1:0 dla Argentyny nie uznał wyrównującej bramki zdobytej przez piłkarzy Peru, wpadli na boisko. By opanować zamieszanie policja użyła gazów łzawiących i podobno nawet broni palnej, powiększając jeszcze bardziej zamieszanie. Przerażona publiczność zaczęła się cisnąć do bram wyjściowych, które były — niestety — zamknięte, by nie pozwolić wejść tym kibicom, dla których już nie było miejsca na trybunach. W ścisku i ogólnym zamieszaniu zaduszonych i stratowanych na śmierć zostało około 350 osób. Prezydent Peru ogłosił stan doraźny na okres jednego miesiąca. Tragedia w Limie wywołała wielkie poruszenie w całym świecie sportowym.

26 maja

Na ulicach Limy, stolicy Peru, doszło do dalszych awantur, mimo tak tragicznego zakończenia meczu w dniu poprzednim. Policja dokonała aresztowań. Wśród aresztowanych znajduje się znany awanturnik, który pierwszy wpadł na boisko, by pobić sędziego po nieuznaniu przez niego bramki zdobytej przez piłkarza Peru.

Prezydent Egiptu i Iraku podpisali układ będący pierwszym krokiem w kierunku stworzenia unii federacyjnej tych dwóch państw. Do paktu ma przystąpić Syria.

Chiny komunistyczne poparły żądanie tych państw, które domagają się zwołania do Genewy konferencji 14 państw w sprawie Laosu.

ZGON GEN. M. TOKARZEWSKIEGO

Dnia 22 maja zmarł nagle w Casablance w Maroku gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski, który od dłuższego czasu cierpiał na serce.

Zmarły był dowódcą odsieczy Lwowa w 1918 r., odznaczony orderem Virtuti Militari, Odrodzenia Polski III i IV klasy, Krzyżem Niepodległości z Mieczami, Orderem Łaźni III klasy, francuskim Krzyżem Oficerskim Legii Honorowej i innymi odznaczeniami.

Gen. Tokarzewski urodził się 5 stycznia 1893 we Lwowie.

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii sh. 1/3 — we Francji NF. 0.75 — w Austrii 1.60 Sch. — w Belgii 7 fr. b. — w Holandii 60 cent. w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 3 esc. — w Szwecji 90 öre — we Włoszech 60 lir — w Australii A 1sh 9d — w Argentynie $0.20 (w przeliczeniu) — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjednoczonych 20 cent. — w Szwajcarii 60 cent.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy płatna z góry) Zamówienia i należności przyjmują: W W BRYTANII: „Gryf" Publications Ltd. 169-171. Battersea Church Rd. London S.W.11; miesięcznie 6/- kwartalnie 16/6. rocznie £3.0.0. Zmiana adresu 1s W BELGII: miesięcznie frb 25; kwartalnie frb 75; Mrs J Korab-Brzozowska-Csaky 11b rue Joseph II Bruxelles 4; wpłacać na rachunek pocztowy: J Korab-Brzozowska-Csaky nr 7315.20 podając swój dokładny adres — FRANCJA: N.F.: kwart 8.00, półr 15.00 rocznie 28.00 Admin. „Syreny" 21 rue Legendre Paris 17 Konto poczt.: Edit ELKA-Paris 5507-30; „Libella" Libraire 12 rue St Louis-en-l'Ile Paris IV; nr konta poczt. Paris cc 565150 Francja Północna: inż Eugeniusz Tuszewski 107 rue Royale Lille (Nord) tel 558-50. Dep. Bouches-du-Rhône Var Vaucluse: Stefan Borodyski Ecole des Filles. La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône) — W HOLANDII: mies. fl. 2.00, kwart. 5.50 wpłacać przek. poczt.: Fr. Maleck. Pulpenlaan 17. Lindenheuvel, Geleen (L.). — W NIEMCECH: St Mikiciuk. (13b) München 45 Gablonzerstrasse 7/1. — W NORWEGII: koron: mies 4 kwart. 10 rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii Post box 115, Oslo. — W SZWAJCARII: franków szwajc. miesięcznie 2.00. kwart 5.50; Maria Wasung, 6. rue des Lilas Genève i Janusz Rakowski Mainaustr 28, Zurich W SZWECJI: koron: mies. 3.60 kwart 10.00 rocz 36.00; Polski Komitet Pomocy Jungfrugatan 30/II Stockholm — WE WŁOSZECH: lirów: kwart 700; W Zahorski Associazione Combatt Polacchi Via Licia 19-9 Roma; należność wpłacać przekazem poczt — W ARGENTYNIE: prenumerata roczna $8.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dąbrowski „Libreria Polaca" Serrano 2076 Buenos Aires W BRAZYLII: półrocznie $4.00, rocznie $8.00 — W AUSTRALII: „Vistula" (Australia) Pty Ltd. Daking House Rawson Place Sydney; „Społem" 64 Tapleys Hill Rd. Royal Park Adelaide S.A.; R Gronowski 23 Clifton Str., Richmond E.) Vic kwart £1.0.0A rocznie £3.15.0A W KANADZIE: rocznie $8.00; „Gryf" London lub T. W Krychowski 101 Islington Ave South Toronto 18. Ontario. — W PŁD AAFRYCE: kwartalnie 16/6 rocznie 60/-; prenumeratę przyjmuje bezpośrednio „Gryf" Publications Ltd W STANACH ZJEDNOCZONYCH: prenumerata kwartalna: $2.10 półroczna: $4.00 Przedstawicielstwa: J Bieńkowski 627 Tracy Street Utica. N.Y., Polish American Book Co. 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa". L. Żukowski. 6347 Chene St., Detroit 11 Mich USA: „Polinvalco" 1029, Cuba St., Toledo. 17, Ohio i 6947 Oregon Ave. La Mesa via San Diego Calif

CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez jeden łam £1.5.0 wzgl. 1 cm. przez jeden łam NF. 7.50. Przyjmuje: GRYF PUBL. LTD., 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; Adm „Syreny" 20 rue Legendre. Paris 17. tel WAGram 0045; Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq. London W.C.2: lub Odra Press Ltd., 20 Queens Gate Ter., S.W.7 Tel. KNI 6855

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności

Adres Redakcji i Administracji:

„Gryf" 171, Battersea Church Rd. London, S.W.11. Tel. BATtersea 1445

We Francji: „Syrena" 20 rue Legendre. Paris 17. Tel. WAGram 0045

Konto pocztowe: ELKA cc Paris 5507-30

Printed and published by „Gryf Printers (H.C.) Ltd., 171. Battersea Church Road. London S.W 11 Registered at the G.P.O. as a newspaper.